

45,5
LUDWIK ROMOCKI

HAKATA

POWIEŚĆ

Ty dzielisz pieśń od czynu? Wspomnij Tyrteusza,
Za którym lud lawiną potoczył się w pole!
Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia...
W dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głów
I kreśli pierwszy zarys społecznej budowy,
Którą kończy powszednich pracowników kielnia.
Pieśń nie jest gołębicą, która słodko grucha,
Gdy jej dobrze, a cierpiąc, równie słodko kwili —
Idzie ona do boju jako szermierz ducha,
A nigdy i przed nikim czoła nie uchyli.

(W. Gomułicki).



Stworzyński

KIJÓW.
LEON IDZIKOWSKI.

1912.

Wszelkie prawa przedruku
i tłumaczenia zastrzega się.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI

LEONA IDZIKOWSKIEGO W KIJOWIE.

Rb. k.

- Bard Polski.** Najobszerniejszy zbiór utworów poetów polskich. Zebrał i ułożył *Bolesław Koreywo*. Okładkę rysował Stefan Bukowski 1.25
w płóciennnej oprawie 1.75
- Bohowityn.** Słoneczniki. Powieść z życia kobiet. Wyd. II 1.50
- Dubiecki Maryan.** Młodość Polska w Uniwersytecie Kijowskim przed rokiem 1863. Książka ozdobiona portretami dwóch ostatnich Prof.-Polaków, oraz rzadkimi dziś podobiznami ówczesnych studentów 1.—
— Z przeszłości. Wspomnienia z roku 1861—1862. Treść: I. Zjazd Horodelski. II. Pierwsze wygnanie na stępy Kipczaku 1.50
- Hajota.** Dar Heljogabala. 1.20
- Kleczyński Jan.** Ziemia Snu. Powieść 1.50
- Krzyżanowski Anatol.** Galatea. Powieść 1.50
- Mniszek Helena.** Trędowata. Powieść z życia arystokracji polskiej. 2-ty Wyd. III 2.50
— Ordynat Michorowski. Powieść. Dalszy ciąg powieści „Trędowata“ Wyd. II. 1.60
— Zaszumią pióra 1.50
— Krzyże — —
- Paszkowski Edward.** Podniebie. Z kroniki czwartego piętra na Włodzimierskiej. Powieść z życia młodości warszawskiej Wyd. III 1.50
- Rydel Lucyan.** Poezye. Wyd. III, znacznie powiększone, w ozdobnej okładce J. Bukowskiego 1.35
w ozdobnej oprawie 2.—
- Tetmajer Kazimierz Przerwa.** Melancholia. Wydanie III, powiększone 1.50

HAKATA.

LUDWIK ROMOCKI



35051/I

Członkami Jana Czokołowa w Kijowie.

k 228



I.

Pierwsze lustrum XX-go wieku miało się ku końcowi,—wieku nie witanego przez ludy z nadziejami wolności, jak niegdyś jego poprzednik, starzec, który w lat swych jeszcze polowie wywołał jutrzencę swobody, lecz do grobu złożony został w łańcuchach. Daleko gdzieś pozostał ideał braterstwa ludów, na wiek nowy przeszło hasło tępienia słabszych przez mocniejszych. Jeżeli symbolem, pod którym rodził się tamten, była frygijska czapka, ten wypełził z pod buta militaryzmu, do którego przypadł ustami, liżąc go.

Siła przed prawem, kult bagnetów i kapitału stały mu się zasadami.

— „Jak pan mosz piniondze, to ja z panem godam,—a jak pan nimosz piniondzów, to ja z panem nie godam“.

Były to pierwsze słowa polskie, chociaż skazone niemieckim akcentem, które po dwuletniej prawie nieobecności w stronach rodzinnych, wpadły w ucho doktora Mieczysława Słuszeńskiego na dworcu poznańskim. Kuryer nocny Berlin—Warszawa, zasunawszy się z zgrzytem hamulców, niby dźwiękiem wiezionych kajdan, przed platformę, wyładowywał z siebie na tym przystanku swego pochodu „nach Osten“ nielicznych, zaspanych, jakby niechętnie decydujących się tu wysiąść pasażerów. Przeważnie brzmiała mowa niemiecka.

„Gepäckträger!“—komenderował wojskowy w opiętym mundurze.—

— „Wie geht's?“—

— „Fatale Verbindung,—schlechter Zug“.—

— „Hohensalza“, objaśniali konduktora dwaj wsiadający handlarze bydła czy trzody, których zdrowe maksymy życiowe powitały Słuszeńskiego.

Rozglądał się po słabo oświetlonym peronie za posługaczem, gdyż pierwszy, który się nawinął, sięgnął skwapliwie po kuferki oficer-

skie. Jakiś gruby Niemiec, z pokiereszowaną twarzą dawnego bursza, z miną zwycięzcy, stąpającego po podbitym gruncie, a o niepewnych przytem ruchach i woniejący piwem, popchnął go, usiłując wsiąść do wagonu. Tracąc jednakże przy karambolu równowagę, cofnął się w tył, podczas kiedy Słuszkowski schylał się po stracony swój kapelusz. Zęby zabłysły mu pod czarnym wąsem.

Tamten klął: „Verfluchte Wirtschaft in dieser Pollakei!“

„Wszystko po kolei,—najpierw pozwolić przybywającym wysiąść,—taki «Vorschrift»“,—na te słowa, wypowiedziane za nim po niemiecku a z ironicznym akcentem, grubas obrócił się: „Aeh, Vorschrift...“

Interweniujący, smukły blondyn, kiwnął przez jego głowę przyjaźnie Mieczysławowi, potem zmierzył zimno Niemca.

„Aeh,—pan adwokat...“

„Panie Regirungsracie...“

„Podejmuje się pan niedobrej sprawy,—straconej“. Uchylił jednak z lekka cylindra. Adwokat Jan Zaklika oddał mu ukłon i, nie zwracając więcej na niego uwagi, począł ścisnąć Mieczysława.

„Pół kopy lat się nie widzieliśmy, witaj na polskiej ziemi“, śmiał się wesoło.

Regirungsrat wyjrzał z okna: „Więc bez obrazu, Herr von Zaklika,—ale powtarzam raz jeszcze, szkoda pańskiego talentu“.

„I pomyśleć“,—mówił Zaklika, gdy koledzy ramię w ramię dążyli przez obszerny budynek do dorożki,—„że ten pan Regirungsrat Langer był względnie porządnym człowiekiem jeszcze kilka lat temu. Odbywaliśmy razem praktykę sądową w Bonn, gdzie mnie, jak wiesz, jego ekscelencya minister sprawiedliwości raczył posłać, abym nasiąkł niemczyzną. No,—to mu się nie udało,—za to zaznajomiłem się z tajnikami prawa nieco głębiej, niż niejeden z moich żłopiących piwo kolegów, i ztąd wielce pochlebny dla mnie, niejaki respekt tego gałgana, którego widziałeś przed chwilą. Pokwapił się na Ostmarkenculagi i na szybki awans tutaj na zagrożonych kresach uciśnionej niemczyzny. Masz,—jest w naszym wieku,—trzydzieści jeden, dwa,—i jest już Rat'em, decernentem w kwestyach politycznych, za parę lat zostanie tu prezydentem policyi lub Oberregirungsratem w Berlinie.—Ady na tę dryndę kuferki, ojcze,—to

Wawrzynowicz, mój klient, ma animusz warszawski i czasem przejeżdża ludzi...”

„Ło, ino raz, i to babę, proszę pana mecenasa“.—Dorożka potoczyła się, mimo zapowiedzianej warszawskiej jazdy, dość wolno do Hotelu-Bazaru w centrum miasta. Po drodze Mieczysław szkicował przyjacielowi przebieg swych lat ostatnich, studia swoje w chorobach nerwowych, stacyą w Paryżu, egzamin dyplomowy w Kilonii, służbę wojskową tamże, pracę w jednym z sanatoryów Szwarcwaldu.

„Jeżeli umiesz naprawiać nerwy, to w naszym zdenerwowanem społeczeństwie powinieś znaleźć praktykę ogromną. Ale czy ty to potrafisz?“

„Leczyć czy znaleźć praktykę?“

„Hm, jedno i drugie,—jeżeli umiesz leczyć, znajdziesz jednak w każdym razie praktykę,—lekarzom tu jeszcze jako tako...”

Dorożka toczyła się ulicami, Nowo-Berlińską, potem, mijając kawałek ulicy Św. Marcina, Bismarkowską, Berlińską, placem Wilhelmowskim. Na chodnikach puściuteńko było, w ciemniach jesiennej nocy dygotały światła latarni. Stanęli przed dużym gmachem, w którego bramie za zakratowanemi drzwiami jeszcze jasno

było. Podobne światło zauważył Słuszewski, wysiadając, w bramie przeciwległego gmachu, znanego mu, jako wyłącznie niemiecki, hotelu Rzymskiego. Trwało dłuższą chwilę, zanim wydzwonili zaspanego portyera. Wreszcie nadbiegł pędem, spodziewając się widocznie łajań i starając się uniżoną miną ich wybuch złagodzić. Ale zreknoskowawszy kuferki doktora, odrazu ocenił, że to nikt z „panów“, tylko jakiś „przejezdny“, i z gorliwości spadł do nieukrywanego bynajmniej lekceważenia.

„Na drugie?“ spytał ironicznie.

„Na drugie!“ zdecydował Słuszewski.

„Dużo gości?“ zapytał Zaklika.

„Eh,—jest na pierwszym pani hrabina Grabowska z Dobrowa, co to pan mecenas wie“—i spojrzał się dość bezczelnie—konfidencyjennie na pytającego,—„a na drugim będzie ten pon“.

Na końcu kurytarza obszernego, ale jak wymarłego gmachu trzasnęły drzwi, w ciszę wpadła głośna rozmowa wychodzących kilku mężczyzn.

„Wincio nie bądź taki zły,—że paskudzisz w bridge'a, to jeszcze nie potrzebujesz nam wymyślać“.

„Bauernfängery!“

„Hi, hi,—ja Bauer... ady bije,—adieu lieber Baron!“—i udając przestach, niski, o siwiejących baczkach z pretensjami do młodości ubrany człowiek, przebiegł szybko, za nim rzucona, odbijając się z łomotem od drzwi jakiegoś numeru, padła pod nogi Słuszeńskiego laska.

„Psiakrew z tego Józka,—a możeby mi pan podniósł?“ zaproponował, zwracając się głupkowato do doktora, średniego wzrostu nie stary jeszcze mężczyzna, z przyszyżoną w szpic jasną brodą, widocznie nietrzeźwy,—„nie, pan niechce,—a jakbym zapłacił? Was kost's?

„Kochany baronie, nie hałasować po nocy, bo pana do kozy wsadzą,—wmieszał się Zaklika.

„Prawda,—ci adukaci zaraz z paragrafami,—no morgen“,—i potoczył się dalej. Portyer pobiegł za nim z laską. Ale pijany, zrobiwszy parę kroków, przystanął i rozpoczął znowu z uporem.

„A jeżeli mi się podoba hałasować, was dann, meine Herren?“

„Proszę pana barona, pani hrabina Grabowska się będzie skarżyć“,—prosił portyer.

„Phi,—meine liebe Schwaegerin, ta powin-
na siedzieć cicho, hat alle Ursache, ma wszelki
powód siedzieć cicho, to ja mówię, baron Gra-
bowski,—powiedz jej to, że jej to pan baron
Grabowski kazał powiedzieć,—co się śmiesz,
gałganie,—chcesz laską?—dam ci sto marek,—
bon?“

„Dyć za sto marek“... służący nadstawił
plecy. Laska spadła na nie.

„O jej, boli!“

„A widzisz, gałganie, tak panowie biją,—
a czy ci sto marek dam, czy nie dam, to jeszcze
niewiem, bom ci nic nie obiecał“.

„Da jaśnie pan baron“.

„No, dam, nie dam,—może dam...“

Drzwi z głębi uchyliły się znowu, dając
przejście wysokiemu, tęgemu, jeszcze młode-
mu także, mężczyźnie w futrze, z twarzą po-
spolitą o grubych rysach. Przy nim jak piesek,
dreptała, coś mu z wielkiem rozkładaniem rąk
przekładając, figura w postrzępionym kołnie-
rzyku i cylindrze, o elegancyi szewca, wystro-
jonego na niedzielę, czy podupadłego doszczęt-
nie obywatela.

„Bo widzi hrabia, gdyby ta świnia, ten Wła-
stowski, kart, słowo honoru, nie podglądała...“

„Nic nie widzę, panie“,—huknął tubalny głos,—„ale wiem!“

Hrabia sztywno, towarzysz jego uniżenie, uchylili kapeluszy, przechodząc, i na kurytarzu opustoszało. Zostali tylko na nim dwaj przyjaciele nad rumowiskiem tłumoków, jak nie jeden, ale dwóch Maryuszów nad gruzami Kartaginy. Na koniec targujący się z baronem sługus powrócił.

„No co, dał ci?“

„Gdzie tam, chciał jeszcze raz laską,—ale to dobry pón, on da“.

Wstawił walizki do numeru, wcale porządnego, i nie tracąc słowa więcej, oddalił się.

„Więc to moi przyszli arystokratyczni pacyenci?“ mówił, przeciągając się, doktor.

„Ano, masz próbkę, raczej obywatelstwa, boć arystokracji rodowej w naszym księstwie prawie jak nie mamy,—jednych Radziwiłłów i Czartoryskich,—no i masz też próbkę naszego uświadomionego ludu—ten wyborca, gardlujący może jutro na jakim wiecu na „ślachtę“, a upadlający się przed nimi...“

„Bo upodlony“.

„Ba,—zresztą wśród tych i tamtych niekoniecznie wszyscy tacy, ale il y a plus de vrai

là dedans, que tu ne crois. Będziesz się musiał zapisać do klubu,—pomogę ci,—są trochę trudni w przyjęciu, wymagają bodaj dwunastu pokoleń“.

„Tak, potrzebnem mi to będzie do praktyki“.

„A znowu będziesz musiał lawirować, żeby ci w kołach mieszczańskich tego nie wzięto za złe,—tu wszystko huzia jeden na drugiego“.

„Wobec Niemców?“

„Wobec tych idziemy ramię w ramię,—przynajmniej teoretycznie i głośno, — — po cichu—każdy sobie rzepkę skrobie. Dobranoc,—jutro pogadamy obszerniej“.

Uścisnęli sobie dłonie.

II.

Mieczysław, zmęczony drogą, spał doskonale, pomimo szeregu trosk i niepewności, które, przyjechawszy bez opłacenia biletu pruskiego z nim do Poznania, tembardziej go tutaj, gdy przed blizkie rozstrzygnięcie ich był postawiony, dręczyły. Kwestya walki w obrobie śmiertelnie zagrożonej z zewnątrz i wewnątrz polskiej placówki, nie mniej jak osobista, własnej przyszłości i bytu, w którą wplatały się wybitnie trudne do ziszczenia marzenia o własnem, miłością opromienionem ognisku domowem, marzenia u niego nie skoncentrowane jeszcze w żadnej konkretnej uroczej postaci, ale nie mniej pulsujące z tą siłą, którą przynosi wiek męski lat trzydziestu kilka, u Słuszeńskiego, wychowanego w zachęcającem do tem szybszego naśladownictwa ciepłe atmosfery rodzinnej, tem rychlejsze: wszystko to nie odebrało mu tymczasem snu. W hotelu raz



jeszcze, z klubu w nim ulokowanego, rozległ się hałas kroków wychodzących, potem zapadła cisza, już nieprzerwana, głęboka, do późnego ranka, tak, że dopiero około południa pan doktor zerwał się na nogi. Ale wtedy zagadnienia wróciły z zdwojoną natarczywością. Podczas gdy numerowy, tak samo niby z łaski, jak wczoraj portyer, zajmował się długo, ale niekoniecznie skrupulatnie, zdjęciem pyłu pod różnego z ubrania „numeru“, Mieczysław rozmyślał, od czego rozpocząć swoją instalację w grodzie Przemysławowym jako już stały mieszkaniec tego, obywatel, lekarz ciał, a o ileby się dało, i dusz. Mieli mu dopomódz w tych pierwszych krokach rodzice, których przyjazdu oczekiwał. Drobnii właściciele ziemscy z Kaszub, którzy, dla choroby właściciela, wypuścili mająteczek w dzierżawę, zamieszkując sami z siostrą jedyną Miecicia, Marynią, w kilku pokoikach wynajętego mieszkania w Pucku... Do tego improwizowanego gniazda rodzinnego Mieczysławowi, który pamiętał jeszcze lepsze czasy w skromnej, ale wiejsko rodzinnej sadybie, nie spieszyło się i na rękę mu przyszła propozycja rodziców, że sami zjadą na jego powitanie do stolicy Wielkopolski, z czem, jak

wypływało z dopisku matki, łączyły się jakieś plany matrymonialne, — dla Maryni zapewne. Tej Maryni, widywanej rzadko i na krótko w ciągu ostatnich lat kilku, ostatni raz w przykrótkiej sukni, nie mógł sobie bardzo wyobrazić w roli dorosłej panny, celu zabiegów i marzeń jak własne. Podlot, grymaśny, nudzący go powszedniością, z którym, po za wypadkami codziennego życia, nie było o czem mówić, — czy i te inne „siostry“ są takie? Podobno mężczyźni, mający kobiece rodzeństwo, najmniej są podatni do roli marzycieli miłosnych. Sam znał z kobiet, od chwili ukończenia gimnazjum wiecznie w Niemczech, z wyjątkiem jednego semestru w klinice w Paryżu, tylko niemki różnych typów, od sentymentalnej Gretchen, do ultra-modern córki Geheimrata, umiejacej mu wyjaśnić nuance talentu Böcklina, i szalenie sprytną paryżankę o angielskiem wychowaniu, bawiącą się przez kilka miesięcy jego „naiwnością“. Ale polki? — Nie znał ich. Matka, z gburów kaszubskich, pocziwa kobiecina, bynajmniej nie dama, nie widząca nic i nie interesująca się niczem po za obrębem rodziny i gospodarstwa, nie zdawała mu się, przy całym winnem uczuciu dla niej, szacunku

i wdzięczności, być tą polką par excellence, w całym rozkwicie tradycyjnych zalet rozumu i przymiotów serca, wykwintny kwiat cywilizowanej rasy,—tem mniej siostra. Po za tem wiadomości jego o polkach, na własnem doświadczeniu przy przelotnych i powierzchownych tylko zaznajomieniach się zdobyte, były równie niedokładne, jak wielką chęć poznania a zdobycia na żonę przedstawicielki tego typu, o którym jednak ludzie niegłupi, pierwszorzędni pisarze i myśliciele, tyle powiedzieli dodatniego a któremu, wyrażając swą obawę przed nim, wyrazili sprawiedliwość nawet obcy, wrogowie.

Czy to były wszystko iluzye?

Zaciekawiały go zwłaszcza te, które widywał jedynie z daleka czasem, w przejeździe w stolicach europejskich, te panny z domów obywatelskich, urodą i manierami, zewnątrznie przynajmniej, po większej części niechybnie potwierdzające pochlebny sąd ogólny. Co prawda ta warstwa społeczna, w której wyrósł, krytykowała je, lżyła nawet, powtarzając z upodobaniem plotki lokajskie,—że lalki, zmanierowane,—„he, he,—przypadeczki—trafiają się często!“ Miał jednakże dosyć rozsądku, żeby

wiedzieć że sądy te wydawane były prawie zawsze zawistnie, na ślepo. Miały też te kobiety cały urok rasy dla chłopskiego syna. Ojciec jego, co prawda, za młodu służąc wojskowo, jako oficer na awans, pisał się „von“ i jakoś to się utarło, a heroldya pruska eks-oficera nie nagabywała o legitymacją. Może nawet i rzeczywiście z drobnej szlachty Kaszubskiej pochodzili, pomimo braku dowodów, w każdym razie tak zchłopiałej i zmieszanej z krwią chłopską, że Słuszewski mimowolnie, próbując czasem się sam analizować, odnajdywał w sobie przewagę tych pierwiastków, manifestującą się w pewnej ciężkości, niezdarności i nieśmiałości, które częstokroć przeklinał. Miał też w sobie, o czym wiedział mniej, podejrzliwość i jednostronność chłopską, a z braków wychowania absolutne wyrażanie, nieproszony, swego sądu o wszystkim i wścibstwo. Ciężka filozofja niemiecka, zwłaszcza Stirner, i lżejszy dyletantyzm francuzów, redukujący się w nierobieniu sobie nic z jakichkolwiek zasad, à la Willy, kłębiły mu się trochę w głowie, ale przeważały na ogół zdrowsze pojęcia, wpojone w domu rodzicielskim, oparte na dwóch pozostałych filarach, miłości rodziny i kraju, bo

pierwszy filar, miłość Boga, w myśl zasady „tres physici, duo athei“, był runął definitywnie.

Przynosił Mieczysław Słuszewski jednak przedewszystkiem, wbrew przygniatającemu ciężarowi kultury i wiedzy niemieckiej, na służbę krajowi równie szczerą chęć poświęcenia się tejże, jak wrodzony wstręt polaka do Niemców.

Wstręt ten, niechęć i nienawiść buchnęły w nim znowu, gdy, tym razem tramwajem, dążył po rodziców na ten czysto niemiecki dworzec, który mu już w nocy przedstawił się jako jedna z kotwic, którą silnie zapuściła Germania w dno polskie. Konduktor tramwaju oczywiście posługiwał się tylko mową państwową; Mieczysławowi przypominał się czytany niedawno w dziennikach opis zajścia, przy którym jakiś współpasażer zwrócił się do rozmawiających po polsku z zakazem: „Hier wird nicht polnisch gesprochen“. Wypadki takie powtarzały się zresztą typowo.

Mógł zauważyć też, że germanizacya idzie od niejakiego czasu gwałtownie przyspieszonym tempem. Znikły doszczętnie, pod surowymi karami policyjnymi, nawet na domach pol-

skich tabliczki z nazwami ulic po polsku, znikły prawie w tej, bogatszej i więcej ożywionej dzielnicy miasta, firmy polskie; już gdy Mieczysław na rogu placu i Wilhelmowskiej, kiedyś Napoleńskiej, ulicy czekał na nadejście tramwaju, w przewijającym się tłumie próżno nadśluchiwał na dźwięk mowy ojczystej. Plac sam, z swemi „anlagami“, pomnikiem jednego z cesarzy na jednym, teatrem niemieckim na drugim końcu, sztywnymi linjami ulic i kamienicami, równymi pod sztrych, jak rekruci, niczem się nie różnił od zupełnie identycznego w któremkolwiek niemieckim większem mieście. Publiczność w wagonie tramwajowym, do którego wsiadł, także była przeważnie niemiecka, ile że była to pora obiadowa, w której urzędnicy licznych biur i instytucji podążali do odległych często mieszkań. Deszczyk pokropywał, zimno było i wietrzno; Mieczysław rad był, że zdobył ostatnie wolne miejsce dla siedzących w wnętrzu wagoniku, do którego chronił się kto mógł. Tylko dwóch oficerów w opiętych mundurach a, o ile regulamin na to pozwalał, spóźnioną modą szerokich spodniach wystawiało piersi bohaterskie na podmuch wrogiego polskiego wiatru, ulegając prze-

pisom szyku wojskowego, który tylko od niechcienia i przelotnie, więc na platformie, pozwala ukazać się półbogowi-lejtnantowi w demokratycznym tramwaju, gdy skromna gaża nie pozwala mu rozpierać się w dorożce. Już konduktor zadzwonił i miano ruszać z przestanku, gdy, przeprowadzone krytycznem, admirująco-zwycięskim spojrzeniem synów Marsa czy Wodana, wskoczyły jeszcze, jedna za drugą, obładowane paczkami i pakiecikami, dwie panie, ładne i eleganckie. Oczywiście spieszące się zawsze i zawsze się spóźniające polki; Mieczysław widząc, że nikt z publiczności ani nie pomyśli o zrobieniu miejsca, wstał. Starsza z pań, z nieznacznem skinieniem głowy w formie obowiązkowej podzięki za rzecz, rozumiejącą się przez się, usiadła. Za młodszą, trochę tęgą, ale o małych rączkach i nóżkach i skończenie harmonijnych ruchach średniego wzrostu brunetką, doktor wysunął się na zewnątrz wagonu, gdzie, lokując się a przypominając sobie doświadczenia z Gretchenami i rady paryżanki, że tylko śmiałość z kobietami popłaca,—otarł się całym ciałem o stojącą przy drzwiach pannę. Nie drgnęła nawet, uważając widocznie w ścisłym ruchu ten za mimowolny

i naturalny. Co do tego nie mógł mieć wątpliwości, widząc iż, ignorując zupełnie tak jego badawcze spojrzenia jak krygowanie się oficerów, uspakaja tylko na migi przez szybę swą towarzyszkę, z współczuciem patrzącą się na niewygodne miejsce, które się tamtej dostało. Ale Słuszewski był wścibski. Więcej go jeszcze interesowało, z jakiego powodu te eleganckie, niewątpliwie pierwszego towarzystwa panie jadą tramwajem, zkad, dokąd i z czym, niż sam fakt urody, którą, sam niskiego wzrostu i przenosząc dla tego wysokie kobiety nad inne, ocenił, ale osądził, jako nie do swego gustu.

„Panie zapewne z prowincyi?“ zagadnął z dezinwolturą swoją sąsiadkę.

Ta spojrzała na natręta, jak się patrzy na dzikiego, chińczyka czy murzyna. Było w tym wzroku wszystko, i zdziwienie i wstręt i pogarda,—obok pewnej nielitościwej ironii.

Ale też to była jedyna odpowiedź, jaką, ku głośno wymienionej satysfakcyi wojskowych, otrzymał. Jeden z nich, niby zwracając się do drugiego, ale pod niedźwiedzio wyraźnym adresem „gnädiges Fräulein“, zaczął ją za dobry gust komplementować, lecz „gnädiges“, przygryzłszy tylko z lekka usta, patrzyła ponad

nimi tak, jak gdyby przed nią znajdowało się tylko powietrze, więc utknął. Na nadchodzącym przestanku opróżniło się kilka miejsc w wagonie i piękna brunetka pełnym godności, a gibkim równocześnie ruchem wsunęła się do wnętrza.

Tylko, kiedy przed dworcem wysiadały, rzekła do swej towarzyszki, z podobieństwa wnosząc, siostry, tak, że doktor mógł usłyszeć: „Paradni są ci panowie z «intelligencyi!»“

Usiłował jeszcze nie stracić ich z oczu, oglądając się równocześnie za rodzicami, gdy, z podzielonem dosyć uczuciem, ujrzał przodem przed rodzicami biegnącą Marynię, witającą się z intrygującemi go damami. Tak, to była Marynia, z zadartym noskiem i wystającemi trochę kośćcami policzków, tylko wyrosła i, w jakimś szarym kostyumiku do szczupłej figury, nie było jej najgorzej. Nie potrzebował się jej tak bardzo powstydzić, wobec tych pań. Do wie się, kto one, może się nawet będzie mógł im przedstawić,—tylko co zrobią znów za miny? Tymczasem witał pozostałych w tyle za córką rodziców, zauważając, że ojciec, który z swemi rozłożystemi wąsami jeszcze parę lat temu mógł uchodzić za pięknego, chociaż niekoniecznie arystokratyczną urodą, w sile wieku

mężczyznę, starzał się pod wpływem choroby nerek gwałtownie, podczas kiedy dawniej zaw-sze starszej od niego wyglądająca matka, jak często bywa u starszych kobiet, gdy się codziennych kłopotów z małemi dziećmi, z ubiegowaniem się w kłopotliwym gospodarstwie, pozbędą, zdawało się, odżyła pogodną jesienią. Pochylił im się do rąk.

Po pierwszych krzyżujących się zapytaniach o zdrowie i podróż już matka objaśniła bez pytania jego ciekawość, wskazując, poza wrażeniem z oglądania jedynaka jednakże zostawiwszy miejsce na widoczną emocję z wysokich znajomości córki, na grupę, od której się ta właśnie oddzielała.

„Pani Żarkowska, hrabianka Łużycka z domu, a to jej siostra Jadzia,—były z Marynią u Urszulanek i Marynia kilka tygodni raz u nich była“.

Pani Żarkowska, podchodząc, przypominała starej Słuszeńskiej wspólną podróż do Wrocławia, jedna po siostrę, druga po córkę, ojciec się kłaniał, całując obu paniom rączki, Marynia, wyściskawszy brata, rekomendowała go z pewną dumą.

„Mój brat, doktor Mieczysław Słuszewski,—prosto z Paryża“.

Szłała trochę, bo brat opuścił Paryż już przed dwoma laty, i rekomendacja ta nie zrobiła też zbyt wielkiego wrażenia. Pani Żarkowska podała przedstawionemu tylko końce palców, mierząc równocześnie bardzo zimno pana z tramwaju, którego w nim musiała poznać, panna uśmiechnęła się trochę złośliwie, wyciągnęła jednakże prostym, męskim ruchem do niego rękę w angielskim shakehand, ściskając jego prawicę dosyć silnie. Musi być sportowa,—dedukował doktor, nie wiedząc jednakże czy wypada oddać ten splot palców równie energicznie, czy też właśnie—wypada.

Marynia zaczęła jeszcze, w siostrzanej gorliwości wyrobienia bratu odrazu sławy lekarskiej, wabiącej klientów, opowiadać szybko o jego sukcesach naukowych, ale panie miały się ku odwrotowi. Odwrót ten jednakże był nieco utrudnionym. Tłum świeżo wylądowany ludu robotniczego z za kordonu, tu tak zwanych galicjan, dążących za zarobkiem na zachód, zalegał cały dworzec, czekając pociągów, mających zabrać to „bydło robocze“. Tłum tłoczący się, bezradny, wbrew napisom „rechs

gehen“ i „links gehen“ pchający się nawet tam, gdzie przecież widniały tablice „Verboten“. Urzędnicy kolejowi, krzycząc na „polnisches Vieh“, nie mogąc się dać zrozumieć, w obcym całej tej gromadzie języku, nadkładali wymyślaniami, szturchańcami. Brakło im tylko długich batów zaganiaczy, żeby sceny te odtworzyły obrazy z „Chaty Wujka Tom'a“. Któryś popchnął kobietę z dzieckiem na rękę, nie rozumiejącą jego komendy, tak silnie, że upadła. Dziecko uderzyło główką o wystawkę muru, ukazała się rana, krwią zapływająca. Kilka rąk nachyliło się po dziecineczkę. Pomruk przeszedł przez tłum najbliższy. Starszy jakiś dygnitarz kolejowy zaczął strofować surowo i winnego i równocześnie matkę i posyłał po lekarza kolejowego.

Nadchodzący Słuszewski pośpieszył z swojemi usługami.

Ale Bahnhofsvorsteher, gdy mu wymienił swoją kwalifikację i nazwisko, odsunął ręką schylającego się nad dzieckiem. „Do tego jest lekarz kolejowy,—potem ci ludzie mogą mieć niewiedzieć jakie pretensye do kasy państwowej o odszkodowanie“.

„Ależ, jestem lekarzem i znam swój obo-

wiązek pod każdym względem,—tamten kolega nie nadchodzi...”

„Taka barbarya jest tylko w Prusach możliwą” — wybuchnęła Marynia, „nasi posłowie będą wiedzieli o tem”.

„Swoich posłów uwiadamiaj pani, ile chcesz, a licz się pani z swemi słowami «Fräulein»”, — zwrócił się przeciwko niej urzędnik, — „kto pani jesteś?”

Ale panna Łużycka, rozczzerwieniona także, odpowiedziała zamiast niej, po niemiecku, chociaż z wyraźnym polskim akcentem:

„Ja jestem hrabianka Łużycka, i proszę mi oddać to dziecko, ja się niem zajmę”.

W kraju, gdzie parlamentaryzm jest tylko czczą formą, odwrotnie tytuł zawsze robi swoje.

„Ależ moje panie, ja nie mogę...” zaczął nieco grzeczniej.

Nadbiegł lekarz dyżurny, młody, niesmacznego wyrazu twarzy Niemczyk.

„To dziecko upadło, zraniło się, obejrż pan...”

„Jakto, upadło?”, zaoponowała ostro hrabianka, „ja widziałam, że je wraz z matką przewrócono,—wszak tak doktorze?” zwróciła się do Mieczysława.

Przybyły lekarz brał się do opatrunku. Na słowo „doktor“ podniósł głowę i zapytał: „Kolega już zbadał pacyenta?“

„Nie pozwolono mi“, odpowiedział Słuszewski.

„Pan tutejszy?—zapewne nowy kolega, bo nie słyszałem nigdy o nim?“—patrzył się na niego jak na samozwańca.

Mieczysław milcząc wyciągnął legitymację.

„Dziecku nic nie będzie“, pocieszał kolega,—„skóra zrośnie się,—przypuszczać otrząśnienia mózgu niema powodu, zresztą te polskie głowy takie twarde, że każdy mur rozbija“. Śmiał się z własnego konceptu, nie odczuwając nawet wcale w tym wypadku jego cynizmu, z tą grubiańską naiwnością, z jaką niemiec klepie francuza po ramieniu: „A co, dobrze wam daliśmy pod Sedanem?“

Na razie nie było nic więcej do zrobienia. Hrabianka wręczyła swój bilecik wizytowy z adresem matce dziecka i panie te pożegnały się z Słuszewskimi.

Tym razem Mieczysław uściśnął rękę panny Łużyckiej silniej, a ręka ta też nie zwolniła w uścisku. Przeszło po nich pewne sympatyczne ciepło, doktor czuł, że nawiązała się

po między nimi nie, — na tle wspólnej polskości.

„Ale to dzielna panna“, streścił swą obserwację do Maryni, — „no i ty się stawiałaś, — mogli cię zapakować do kozy“.

„To i co? — Paulina Styczyńska, — wiesz, dopytuje się zawsze o ciebie, — przecież tydzień siedziała za nauczanie dzieci, a u mnie tylko, chwała Bogu, się nie wydało“.

„Kobiety najszcześniejsze są, jak im się uda coś przemycić“, zażartował, ale powiedziała mu tak krótko i węzłowato: „głupis“, że zamknęła mu usta.

III.

Starzy Słuszewscy nie stanęli w Bazarze, tylko w jedynym drugim hotelu polskim Poznania, skromniejszym znacznie, „Francuzkim“. Tu zamieszkiwali przeważnie księża, dzierżawcy, mieszczaństwo prowincjonalne, w pobycie w stolicy, troskliwie unikając Bazaru, nie tylko jako niewiele droższego, ile żeby nie protegować „szlacheckiego“ hotelu. Co prawda i w francuskim stawał czasem który z obywateli wiejskich, z jakichkolwiek racyi zniechęcony do tamtego, ale na odwrót się nie zdarzało. Pod tym względem solidarność mieszczańska przedstawiała się tak samo jednolicie, jak pogarda tamtych dla „łyków. U Słuszewskich staniecie w wybranym hoteliku było tradycją familijną z czasów, gdy jeszcze ów Bazar rozgrzmiewał hulankami „panów“, równocześnie gości i akcyonaryuszy, niechętnie znoszących

obcych pomiędzy sobą; dziś gmach przebudowano i rozszerzono, ale—panów nie stało, świecił prawie zupełnemi pustkami. Przydatnym był jeszcze na większe, rzadkie zjazdy i zebrania. Rywal jego wskazywał w swych murach nieco więcej codziennego ożywienia.

Tutaj więc w antraktach pomiędzy barszczem zabielanym, sztuką mięsa, rybą i pieczeniem,—wszystko z dodatkami wcale smacznie, chociaż niekoniecznie czysto za tradycyjnego talara podane,—obmawiano szczegóły przyszłych losów młodego doktora. W zasadzie one już dawno, zgodną jego i rady familijnej decyzją, były rozstrzygnięte. Miał osiąść w samym Poznaniu. Uciążliwa a mało dochodna praktyka na prowincyi nigdy się ani jemu ani rodzinie nie uśmiechała, zwłaszcza gdy w dzisiejszych czasach wszelkie posterunki rządowe, jako to lekarza powiatowego, czy przy szpitalach, dla polaka były tak, jak wykluczone. Poznań co prawda na kilkadziesiąt tysięcy swojej ludności polskiej miał nieomal tyle jednostek doktorskich, a w tych dwóch społeczeństwach, polskiem i niemieckiem, żyjących obok siebie ale nie z sobą, prędzej wiele Niemiec potrochu i na polską klientelę mógł liczyć niż

odwrotnie,—jakiż pozostawał jednak wybór? Chyba się ekspatryować!

Robili to ten i ów, jeden z assystentury uniwersyteckiej przechodząc do praktyki w danem mieście, drugi ożeniwszy się na obczyźnie,—tak dalece po co—nie było do niej spieszyć! Młodsze pokolenie, w części pokierowane wprost przez rodziców, widzących, po blisko dwudziestoletnim peryodzie wzmożonego ucisku, napór ten spotęgowanym w ostatnich latach w stosunku kwadratu, szukało już nowych dróg; tam gdzie chwilowo polskość miała najlepiej, pod berłem Habsburgów nie potrzebowało się cierpieć pod brzemieniem grzechu pierworodnego, że się urodziło polakiem. I to była Polska, tylko inna jej prowincya, i tam można było ojczyźnie służyć, lepiej, skuteczniej. Na szczęście konserwatywna natura poznaczyków, ich ciężkość, którą wraz z gruntownością niemiecką przesiąkli, trudność w zmianie poddaństwa, zdawania egzaminów na obcych uniwersytetach, ograniczały jeszcze ten exodus,—w jednostkach, nie znajdujących pola w karyerach handlowych i przemysłowych, kierujący się do Królestwa. Dzienniki jednakoż przestrzegały już przed nim, zowiąc go

dezercją z posterunku. Ale odpowiadał na te zakłęcia argument, potężniejszy nad wszystkie: głód. Mamyż tu umierać z głodu, w bezużytecznem poświęceniu?

Mieczysław nie wiele znał co prawda Poznania samego. Skończywszy gimnazjum prowincjonalne, najczęściej nie dotykał go nawet w przyjazdach swych do domu. Nie leżał mu po drodze. Pobytu jego w domu, w ostatnich latach dość rzadkie i krótkie, nie pozwoliły mu także naocznie dokładniej zgruntować, czy i jakie robi postępy germanizacya „kresów wschodnich“. Dzienniki niemieckie to tryumfowały, to wściekały się oporem czy zwycięstwami polskiego wroga, polskie tryumfowały także, to piętnowały sprzedawczyków, to zwracały się hymnem błagalnym do sprawiedliwości Boskiej, to dźwięczały starą nutą: Jeszcze nie zginęła. Jednakże czuł wiele przemilczeń w szumnych nieraz artykułach wstępnych, wykazujących, że nietylko nic nie straciliśmy, ale wciąż zyskujemy na sile i oporności. Wobec tych wyzywających, w twarz germańskiej potędze rzucanych rękawic, z metodycznem uzasadnieniem statystyką urodzin i głosów wyborczych, wyliczeniem obszaru odzyskanej z rąk

niemieckich ziemi, dziwnie detonowały na ostatniej stronie, w wiadomościach potocznych, drobnym drukiem, a to wiadomość o petycyi kilkunastu robotników polaków, zatrudnionych przy kolei, proszących o pozwolenie na zmianę nazwisk na niemieckie, to fakty przejścia gospodarstw polskich w najrdzenniejsze jeszcze naszych powiatach w ręce niemieckie. Statystyki, nawet przy pobieżnej przecenie, różniły się wielce, tak polskie, nieurzędowe, utrudnione przez niemożliwość często skontrolowania wiarygodności źródeł oficjalnych, wykazujących zawsze tylko to co chcą,—jak niemieckie, podług tego, czy miały udowadniać tryumf, czy uciśnienie niemczyzny. To też wszelkie profesorskie dedukcyje, tak jednej jak drugiej strony, przedstawiały się bez wielkiej wartości.

Walka o ziemię wahała się. Z Saksów i z Ameryki przychodziły miliony zaoszczędzonego grosza chłopskiego, szukając w zamian kawałka ziemi, na który tak łapczywym jest chłop jakiegokolwiek narodowości, bijąc się zacięcie z przeważniejszymi milionami kolonizacyi. W walce tej w jakimś wyciętym z statystyki peryodzie kilkoletnim mogła wyjść superata w posiadaniu ziemi po stronie narodowej.

Nie zmieniało to jednakże faktu, że już oddawna znacznie więcej niż połowa, blisko trzy piąte ziemi w Poznańskim pozostawała w rękach niemieckich, z których czasem wysuwał się znowu nieznaczný jej szmat, wynagrodzony równym nabytkiem w innej stronie. Tylko, że zamiast zasiedziałego tu już, zżytego z polakami „uczciwego“ Niemca, jedyne go często-kroć na całą wieś obcego, nowonabywcą była kolonizacya, wyrzucająca natychmiast wszystko, co mówiło polskim językiem, sprowadzająca w to miejsce nową krucyatę z całych Niemiec.

Z polskiej strony szydzono czasem, że jeden i drugi z zbieraniny tej, pomimo obietnic i zapomóg rządowych, pobrawszy ostatnie a rezygnując z pierwszych, opuszczał piękny, schludny domek, oddany mu za iluzorycznym czynszem, gdy mu jeszcze wprost za to, że tu mieszka, nie chciano dopłacić, ale domki, raz wystawione, pozostawały i znajdowały innych, przynoszących niemiecką oszczędność i pracowitość lokatorów, i rosło ich coraz więcej, jak grzybów po deszczu, widne, gdziekolwiek było przejeżdżać, przez to biedne Księstwo, obrosłe niemi jak pleniącemi się, obcemi własnemu ciału, naroślami. A to były już obszary stracone

radykalnie dla polskości, obszary, bez mała pół powiatów niektórych wynoszące. Tak na Gnieźnieńskie, kolebkę orla białego, zakasała się kolonizacya. Za czterysta milionów, prawie pół miljarda, można już coś kupić. Ale osadzono za nie jeszcze nie setkę tysięcy głów niemieckich. Na blisko trzymiljonową ludność Księstwa, w dwóch trzecich jednakże jeszcze polską, odsetka znaczna, ale nie decydująca. Króliki pocieszały się, że się szybciej rozmnażają.

Mieczysław kiedyś zagadnął spotkanego w Berlinie, dawnego kolegę, teraz redaktora jednego z pism prowincjonalnych. Wyczytał mianowicie korespondencyę lokalną z znanego sobie kąta, w którym ostatnie ślady polskości już za jego pamięci do szczytu zacierać się zaczęły, z jednego z miasteczek obwodu rejencji bydgoskiej, w którym pod wpływem hakatystycznego landrata i niemniej gorliwego burmistrza, niedobitki polskie zamierały w „Kriegervereinie“; korespondencya brzmiała jak fanfara, donosiła o gorącym poczuciu polskości i uświadomieniu samoobronnem obywateli. Była świadomie nietylko przesadzoną, ale wprost kłamliwą, wybryk kogoś, któremu może wstyd

się zrobiło upadku rodzinnego miasteczka wobec sprawodzań z działań po innych, jakie wyczytywał w gazetach. Zainterpelowany redaktor przyznał się, że okolica ta jest mu nacośnie znaną, nie bronił nieznanego zresztą sobie korespondenta, ale był zdania, że prasa ma obowiązek podtrzymywać i budzić ducha, chociażby kosztem ścisłości cyfr. „Przecież my wiemy, i nawet to już po ostatnich wyborach niepodobna było ukryć, że głoski polskie w całym północnem Księstwie rosną co prawda, boć nie próżnujemy, ale niemieckie rosną równolegle jeszcze szybciej,—a że po tych małych miasteczkach bywa różnie, to też wiadomo. Gorzej teraz z większemi,—Inowrocławiem, Gnieznem. Kolonizacya planowo pierścieniem otacza ich mury i wygląda wprost kupców i rzemieśników naszych, sprowadzając dla kolonistów rękodzielników i zakładając im sklepy własne, gdzie taniej i na kredyt. Ludziska, w strachu, chociaż im to napewno nic nie pomoże, zaczynają się płaszczyć przed wysokimi władzami, ba, denuncyują się nieraz już wzajemnie o polskość,—upodlenie moralne, to jest najgorsze, i to będzie coraz gorzej“.

Z tem wszystkiem przecież słyszał i widział

Słuszewski, że i na roli i w handlu i w karyerach, tak zwanych naukowych, tysiące ludzi jeszcze znajdowało u swoich i pomiędzy swoimi chleb, suchy czasem, może więcej sobie wzajemnie wyrywany niż dawniej i niż gdzieindziej, ale żyli przecież, niektórzy się nawet dorabiali. Nie widział więc powodu do patrzenia się zbyt czarno w przyszłość.

Miał zresztą pewną dozę lekkomyślności, na pieniądze dotąd nie potrzebował zarabiać, mając, po stryju księdzu, zapisany sobie wyłącznie dosyć poważny kapitał, z którego co prawda znaczną część, o czym rodzice nie wiedzieli, w przydłuższych swoich semestrach uniwersyteckich stracił, ale posiadał jeszcze około dziesięciu tysięcy talarów, sumę, aż nadto na przetrzymanie kilku lat, zanim praktyka poważniejsze dochody dawać zacznie, wystarczającą. Mógł, nie wdając się wcale w męczącą, nudną i niedochodną praktykę w sferach uboższych, czekać spokojnie chociażby lat kilka na ową „praxis aurea“, to, do czego dążył, zaufanie zamożnej, bogatszej mieszczańskiej, czy mianowicie obywatelskiej, klienteli. Miał przecież swoją specjalność, nerwy, a specjalista zawsze pobiera wyższe honorarium.

Koniecznem się jednakże będzie co rychlej ożenić. Lekarz nieżonaty nie wzbudza zaufania. Z kim?

Właśnie przy leguminie poruszyła, a raczej wszczęła na nowo ten temat Marynia, twierdząc, że skoro ożenić się musi,—głupstwo, którego oczywiście ona, będąc mężczyzną, nigdyby nie zrobiła,—i to w interesie karyery jak najszybciej, nie może nic zrobić mędrszego, jak pobrać się z znaną mu oddawna Pauliną Styczyńską, która tylko na to czeka. Rodzice przywtarzali, matka zasadą matek, życzących sobie widzieć synów nareszcie ustatkowanymi, ojciec z względu na to, że Paulina, córka słynnego handlarza win węgierskich, przedstawiała dobrą partyę.

„Nad czem się wogóle namyślasz“, parła siostra, ujęta widocznie oddawna przez adorkę jej brata, „jeszcze ci ją kto inny z przed nosa zdmuchnie,—tam się może nawet jaki hrabia zakręcić,—nie patrz tak kwaśno w tę leguminę, bo doskonała“.

„To też chciałbym ją spokojnie zjeść, a potem wam odpowiem“.

„E, nie; przy czarnej kawie to panowie

zawsze popadacie w pewną ociężałość,—gadaj zaraz“.

Mieczysław nie miał zamiaru, na wszelki wypadek, zrażać sobie tej szansy, ale myśl o gruszkowatym nosie i łopacianych rękach przyszłej żony nie uśmiechała mu się.

„Mogłaby być ładniejszą“,—odburknął,—
„niema nic wdzięku“.

„Ale ma bejmy!“

Te „Böhmen“—czeskie—niekoniecznie arystokratycznie zadzwoniły w uszach doktora tego beau monde'u, który kwestyi pieniężnych nie zwykł tak brutalnie traktować,—a Mieczysław Słuszewski już się w myśli poczynął wżywać w zwyczaje i sposób wyrażania się tego świata, w którym życzył sobie praktyki na przyszłość,—ale bądź co bądź nie miał przeciwko temu, że Marynia umówi z Pauliną wieczorne spotkanie w teatrze i potem na wspólnej zobopólnych rodzin kolacyi. Wizyty u osobistości i rodzin, u których rodzice mieli go przypomnieć lub wprowadzić, miały mu zapełnić czas aż do tej pory, przecinając refleksyę.

IV.

W teatrze, ledwo dostrzegalnym od ulicy Berlińskiej, bo schowanym w dziedzińcu za domem dochodowym, dziedzińcu ciemnym i słabo rozświetlonym kilku suchotniczo płonącymi latarniami, ale na którym sterczał nieunikniony stróż porządku publicznego w pikelhaubie i przy pałaszu,—pustki były. Grano tuzinkową sztuczkę francuską, z zwykłą sceną łóżka, zamienionego jednakże, przez wzgląd na prowincję, na kanapę, a, odźwierciadlającą naganny cynizm niemoralności. Aktorka rozbierała się tylko o tyle, że—wyjmowała szpilki z włosów. Nieliczna publiczność małego, ale wcale ładnego teatru słuchała i patrzyła z skupieniem i zadowoleniem, tylko z parteru studenckiego, ciemnej klitki za krzesłami, wpuszczonej pod łóżę pierwszego piętra a przeznaczonej za złotówkę dla gimnazyastów,—dawniejszy dyrektor teatru, zacny Franciszek Dobrowolski, na

patryotyczną sztukę, gdy chłopak poprosił, to go i darmo puszczał, egzaminując jednakże potem z treści,—odezwał się podczas clou sztuki głos: „A to sobie ulżyła!“—Policyant, który tymczasem, nie zdejmując hełmu, rozparł się w przynależnem policyi krześle parterowem, obrócił się, jak sprężyną ukłuty, szukając piorunującym wzrokiem śmiałka. Ale, ponieważ nie chodziło o przestępstwo polityczne, ograniczył na tym ruchu zamanifestowanie czujności opiekuńczej.

Marynia, lepiej znająca Poznań od brata, bo, nie licząc krótszych bytności, spędziła tu, trochę dla dokształcenia się, trochę dla karnawału, całą zeszłą zimę, wyjaśniła mu, który przypominał sobie, że kiedyś widział tenże sam teatrzyk nabity publicznością, iż tylko w sobotę, gdy dają z reguły premiery, i w niedzielę, lub podczas karnawałowych ostatków, bywa pełno, i z tych przedstawień teatr się trzyma nawet finansowo nieźle, ale zresztą w dni powszednie zwykle aż litość bierze nad aktorami, zmuszonymi mówić do pustki. Poznań nie ma dosyć zamożniejszej i inteligentniejszej publiczności polskiej, żeby jej starczyło codziennie chociażby na siakie takie uprowido-

wanie krzeseł. Obywatelstwo, przyjeżdżając za interesami do Poznania, mając wszędzie nieomal kolejkami podjazdowymi komunikację do domu tak wygodną, że, załatwiwszy w dzień, co potrzeba, można na wieczór powrócić, częścią z ostentacyjnej trochę, za wzór podawanej oszczędności—w drobnych rzeczach, przy rozrzutności nieraz w większych,—częścią może, że na wykwintniejsze, za granicą zadawane podniebienia artystyczne, ubogi i lichy teatr rodzinny nie działa przynęcająco, rzadko, chyba w karnawale, zjeżdżając wtedy na tydzień, dwa, do stolicy, dąży do teatru.

„Zresztą bywa zwykle tak, jak dzisiaj“.

Z Pauliną Styczyńską, siedzącą obok, w dziewiczej białej sukni, będącej jakąś śmiałą fantazyą prowincjonalnego gustu na temat kroju reformowego, luźnej, bez stanu, którego też u właścicielki jej trudno się było dopatrzyć, a nasadzonej z hojną obfitością najrozmaitszymi pęczkami, pomponikami i wstążeczkami, począł liczyć obecnych, rad że znalazł na wypełnienie antraktu rozmowę obojętną, a nie zrażającą. Przekonał się był, że gruszkowaty nos nie wyklasyczniał, i mniej, niż kiedykolwiek, czuł się dysponowanym do tego małżeń-

stwa. Impresyonował go jednakże ojciec Pauliny, tęgi mężczyzna w średnim wieku, z czerwoną twarzą i z nosem tego samego kształtu który odbił się w córce, tylko u papy odróżniał się zawodowym kolorem fioletowym. Siedział w głębi łoży, z rękoma założonemi na brzuchu. Ręce były brzydkie o tłustych i pokurczonych równocześnie palcach, ale na jednym z nich błyskał soliter brylantowy, któremu doktor nie mógł odmówić uznania. Może trochę za duży, tak jak masywny złoty łańcuch od zegarka, z licznymi brelokami, ale ozdoby te przedstawiały w każdym razie solidną wartość. Paulina etalowała także, obok niepozornych, panińskich wyblakłych turkusików w uszach, broszkę brylantową, której jedynie nieodpowiedniość jej, jak dla panny, można było zarzucić. Chwaliła się nią, jako pamiątką po zmarłej matce. Oprócz fizycznych cech podobieństwa pomiędzy ojcem wdowcem a córką, było pomiędzy nimi uderzające instynktowne porozumienie i rozumienie się w zdaniach i sądach, bez słów nieomal. Ojciec z dumą i zadowoleniem patrzył na córkę, gdy z cokolwiek otworzyła usta, córka, z zaufaniem, zdawała się skierowywać każde swoje zwie-

rzenie pod adresem rodziciela. Tylko na punkcie sztuki nieharmonizowali widocznie. Gdy ona mniej czy więcej trafnie interesowała się nią, papa, kiwając przytakująco głową, zdawał się tymczasem więcej rozmyślać nad jakością ostatniego transportu win, traktując pobyt w teatrze jako przykry, ale konieczny czasami, patryotyczny, dzisiaj specjalnie i ojcowski obowiązek. Zresztą wobec młodego zachowywał się z rezerwą. Różnica wieku i danej sytuacji była pomiędzy nimi zbyt wielką, żeby móżdż zbliżyć męskim koleżeństwem, zbyt małą, żeby wytworzyć *modus vivendi* na podstawie uszanowania i szacunku z jednej, ojcowskiej życzliwości z drugiej strony.

— Trochę mi za stary wróbel i za przetarty,—przewijało się najpewniej papie Pauliny na widok konkurenta.

— Trochę za młody—nie nie da, a czekać?—odpowiadał mu milcząco młody. I podejrzliwość doktora miała w dalszym ciągu znaleźć potwierdzenie. Tymczasem liczył z córką publiczność.

Okazało się, że w krzesłach, łącznie z policyantem, było osób trzynaście, co dało powód do kilku złowróźbnych uwag o szansach życia-

wych nieszczęśliwca, feralną trzynastką naznaczonego,—pikelhauby,—w prosceniowej na parterze wyglądała z za kotary bardzo pięknie utoczona ręka kobieca, widna aż do łokcia, z którego zsuwała się jasnopopielata rękawiczka,—Paulina zaraz zauważyła, że u rękawiczki brak jednego guziczka,—obok rozpierał się bardzo młody jeszcze mężczyzna w smokingu, ziewając czasami z takim rozwarciem białymi zębami świecącej paszczęki, jakby cały teatr chciał połknąć, to z desperacją lornetując na okolo. Lornetka jego zatrzymała się chwilę na łoży pierwszego piętra, którą wypełniali Słuszewscy z Styczyńskimi, uwydatnieni w kadrze sąsiednich pustych łóż, przesunęła się po krótkim, widać nie zadawalniającym egzaminie po sąsiadce doktora,—Marynia usadowiła go, umyślnie chcąc tem zadokumentować ich wzajemną przynależność wobec świata, na froncie, sama trzymając się za nim,—i uporczywiej przez chwilę zatrzymała się na nim samym. Młodzieniec z prosceniowej, rozłączywszy się już raz z nim, powrócił nawet po raz wtóry do niego, przemówił potem w stronę łokcia, opartego na balustradzie, podsuwając temuż lornetkę, ale, niestety, łokieć się nie ruszył.

Widząc jednakże, z jakim zajęciem Marynia z Pauliną śledzą, najmniejsze poruszenia smokingu i łokieć, Mieczysław chciał przynajmniej wybić z zainteresowania się pierwszego jego osobą kapitał dla podniesienia swojej glorioli i zażartował.

„Piękność moja męska zwraca ogólną uwagę!“

„Eh, ty malcze“, przycięła mu Marynia, szcycząca się zawsze wyższym swym wzrostem,—„twoja męska piękność!—Tu w Poznaniu, jak tylko ktoś obcy się ukaże, gapią się zaraz na niego, jak na osobliwość, bo tu się wszyscy znają i pan Edek Duleński, chociaż mnie zazwyczaj nie poznaje, nawet tańczył kiedyś ze mną“.

„Raczył“, zaakcentowała z przesadą panna Styczyńska, „ze mną nigdy“.

Mieczysław czuł się trochę upożarzonym, bo pomimo przykrótkich nóg i niezgrabnego tułowia, dość regularnych ale niczem nie wybitnych rysów, był szczerze przekonany, że jest bardzo przystojnym mężczyzną; dawszy jednak za wygraną, próbował wyciągnąć z panien trochę wiadomości o interesującej go więcej od Edka szarej rękawiczce. Obrął ku za-

spokojeniu swej ciekawości podług wszelkich reguł psychologicznych drogę wywołania oburzenia cnoty kobiecej.

„Zapewne siedzi tam z jaką—piękną panią...” zauważył lekceważąco, podkreślając brzmiałym bliżej nieoznaczonemi podejrzeniami akcentem niewinne oznaczenie.

Panny rzuciły się na nie, jak, podług zapewnień rzeczoznawców, pędzą indyki na podstawione czerwone sukno, dziobiąc je i rozszarpując,—o ile nie drapną przed niem, lub nie miną go obojętnie, co w zoologii jest spornem.

W przeciągu kilku minut dowiedział się Słuszewski o kontynuacyi pięknego ramienia tyle rzeczy niepięknych, haniebnych i potępienia godnych, że mimowoli musiał zrobić refleksyę, że nie sposób, żeby wszystkie były prawdziwe. Nie rozwódka i nie separatka, ale na mocy cichej czy wyraźnej dobrowolnej umowy tak jak nie żyjąca z mężem, obierając sobie stale mieszkanie w mieście, gdy znacznie starszy od niej mąż naprzemian siedział to u siebie na wsi, to cierpiał na delirium tremens po lecznicach, pani Marietta z Duleńskich Grabowska, podług płynącej o niej z ust sąsiadek

Mieczysława na wyścigi, ale nie miodem, relacyi, była potworem w kobiecej „niczego“ postaci, nie tylko zaniedbującym obowiązków żony, matki i obywatelki, ale wprost sobie cynicznie i ostentacyjnie z nich urągającym. Wstydem było, podług panny Pauliny mianowicie, że taką panią jeszcze przyjmowano i tolerowano w towarzystwie, że porządne kobiety zmuszone były „obcować“ z taką „ścierką“ spotykając ją na balach i wentach dobroczynnych, na których ci panowie, oczywiście, wkoło niej się tłoczyli. Ale taka miała czoło rezykować wszystkie afronta. Na zeszłorocznym balu na Magdalenki,—bo już na Czytelnie ludowe, to trudno, tam i najgorszą hołotę w imię idei trzeba było tolerować—pani doktorkowa Samkiewicz z panią radczynią sprawiedliwości Miler, gdy przypadkiem Grabowska w tańcu, by odpocząć, przysiadła na krzeselku nieopodal nich, wstały ostentacyjnie i usiadły o parę krzeseł dalej, a gdy to za mało zostało zauważonem, wyszły wraz z córkami z sali.

Alé na to ktoś z obywatelskiej młodzieży zrobił tylko głupi dowcip, że chwała Bogu ubyło kilka krzesełek z sali i będzie luźniej do tańca.

Paulina jednakże zaklinała się, że ją żadna figura mazurowa nie zmusi do podania ręki „tej pani“, choćby z tego miał być skandal.

Nawet ojciec Słuszewski, pomrukujący dotąd tylko chwilami, zabrał głos na poparcie jedynaczki, wyrażając ciężki wyrok, że takie mogą sobie jeździć do Karlsbadu, który po za właściwościami kuracyjnymi symbolizował u niego stek wszelkiej niemoralności, ale niech nie zatruwają czystej atmosfery życia poznańskiego.

„Niech mi pan rękę da, że pan z nią nigdy nie będzie tańczył“,—zażądała panna Paulina, i Mieczysławowi nie pozostało nic innego, jak potwierdzić ten pakt uściskiem dłoni, poczem, ulegając wrodzonemu pociągowi do eksperymentalnej złośliwości, pozostawił własną rękę na kolanie swej sprzymierzonej, konstatując, że ciało ma jędrne i może więcej warte od twarzy. Udzielając mu jeszcze kilku objaśnień o rodzaju zachowania się pani Marjetty, panna Styczyńska nie zdawała się zwracać uwagi na tę poufałość, tylko w małych oczkach błyskało jej podburzeniem krwi.

Ojciec jej, pochyliwszy się naprzód, zauważył także poufały kares doktora, zaświeciło

mu w oczach jakby zdziwieniem, ale więcej rodzajem figlarniej wesołości, jakby chciał powiedzieć: „No, no, mój panie, znamy się na tem“,—ale niebawem twarz jego przybrała wyraz filozoficznej obojętności, którą Słuszewski przetłomaczył sobie mniejwięcej słusznie: „o ile ten młodzik nie będzie zbyt dopierał o bejmy...“

Przedstawienie dobiegało do końca, wlokąc się w samotni i w nudach. Skrupulatnie przeprowadzone dodawanie wykazało, że gdy w krzesłach jest osób trzynaście, w dwóch łóżach pierwszego piętra i dwóch, jak to w pauzie, przechodząc w około kurytarzami, Mieczysław stwierdził, jedynie zajętych parterowych, łącznie z liczącymi, znajduje się jedynaście i nie dochodzi dwudziestu na drugim i w amfiteatrze, tak że, razem z kilku wyrostkami w ciemniach parteru studenckiego, wszystkiego jest w teatrze nie wiele więcej nad czterdzieści osób. Marynia zapewniała, że bywało często mniej.

Nie była bardzo zadowoloną z wpół obojętnego, jak twierdziła, wpół studencko nieprzyzwoitego zachowania brata, które mu ostro zganiła, gdy po przedstawieniu, upatrzyła chwilę sam-na-sam.

„Szczęściem że przecież podaliście sobie

w dobrym celu ręce“,—zakonkludowała, upatrując w tem symbol przyszłego związania dłoni przed ołtarzem.

Po teatrze raz jeszcze, jakkolwiek zadecydowana już przedtem, rozwiniętą została kwestya, gdzie spożyć wspólną kolacyą. Umowa była, że w Bazarze. Styczyński pokazać chciał, że stać go na to, i wobec szlacheckiego bądź co bądź przyszłego zięcia zadokumentować, że on sam i jego rodzina na tym terenie szlacheckim tak samo są w domu, jak ktokolwiek bądź inny, zięć ów też wydawał mu się dosyć eleganckim i tak pięknych, nawet może za światowych, manier, że mógł się pochwalić przed swoimi odbiorcami tym ich quasi równym, w ostatniej chwili jednakże, zwłaszcza na myśl, że prawdopodobnie tam będą siedzieli także Duleńscy i jeszcze jedna, zauważona w teatrze, wiejska rodzina, Włastowscy, którym nie bardzo wiedział, czy się kłaniać jako klientom, czy wykrzywiać się, chociażby jako szlachcie, poczuł się wobec tego trochę niepewnym; byłby wolał iść do starej winiarni Cichowicza, jeno że kobiety nie bardzo chciały, albo do Francuskiego, lecz tu córka się wręcz oparła; tam mieszkali Słuszewscy i zrozumiał, że nie-

wypada towaru swego zbyt pretendentowi narzucać; wspomniał jeszcze o Domu Przemysłowym i o Krenzu, jedynych dwóch do wyboru pozostających średniej miary polskich restauracjach, ale Paulina parła do Bazaru. I ona chciała pochlubić się swym konkurentem, właśnie w nos tym paniom, które na sali balowej nie zwracały na nią uwagi.

Na obszernej sali bazarowej, pomimo że była godzina dziesiąta,—przedstawienie skończyło się wcześniej,—na gwałt dwóch kelnerczyków zapalało światła na żądanie rodziny obywatelskiej, która Słuszeńskich i Styczyńskich tu dotąd poprzedziła. Obydwie grupy w rozświetlających się dopiero ciemnościach stały zwarte, o kilka kroków od siebie, ukontentowawszy się wzajemnym lekkim ukłonem, Słuszeńscy znali tamtych, ojca, matkę, syna i córkę Włostowskich z Włostowa dość dobrze, ale, znajdując się w towarzystwie miejskiem, po kilku ruchach nieznacznych i ironicznych spojrzeniach tamtych poznali, że od razu sami zaliczeni zostali do „miasta“.

Korciło to najmocniej Mieczysława. Czuł się bądźco bądź pochodzeniem i pojęciami przynależnym do sfery średnioszlacheckiej—w Niem-

czech nieraz poznał, co za przywileje daje owo „von“,—w ojczyźnie już chociażby sposób służby hotelowej gatunkowania gości na panów i nie-panów dał mu przedsmak archaicznego rozłamu warstw, którego, mało dotąd przebywając w kraju a mając w pamięci łączące, pomimo uwydatniających się już tam różnic majątkowych i socyalnych, wszystkich studentów polaków w danem mieście koleżeństwo uniwersyteckie, nie spodziewał się, mimo zasłyszanych z różnych stron przepowiedni, znaleźć tak zaakcentowanym, jak to przebiegało w wszystkich odezwaniach się takiej Janiny Styczyńskiej, potwierdzone uwagami jego siostry i milczeniem rodziców.

Kelner, podkelner i dwóch piccolów, reprezentujących zmobilizowany sztab restauracyjny, zajęli się in gremio państwem Włastowski i, dopiero kiedy Styczyński po kilkakrotnem bezowocnem brzękaniu w szklanekę huknął na cały głos: „panie ober!“ ober—vel kelner, dając zbolalą miną obskakiwanym przez siebie państwu do zrozumienia, że tylko obawa skandalu z strony tamtego ordynarnego gościa skłania go do opuszczenia ich na chwilę, podsunął się ku ostatniemu z rozwiniętym bardzo

długim jadłospisem, z którego jednakże okazało się, że oprócz flaków i jakiejś potrawy, reszta potraw były tylko ozdobami kaligraficznymi.

Nie liczono tu w ogóle bardzo na gości.

„Niech będą flaki“, zgodził się jednak Styczyński, „dwie porce, ale z tych większych“, — podczas gdy od tamtego stolika dochodziło ubolewanie szpakowatego, od początku posepnego pana z napoleonką, że „flaki, to ja i w domu jeść mogę, — nic już w tym Bazarze dostać nie można, lepiej niechby budę zamknęli“.

„Żebyśmy byli przyszli o pół godziny później, bylibyśmy ją napewno znaleźli zamkniętą“, wtórował syn, z wyblakłą fizyognomią bumlera. „Berlin o tym czasie dopiero żyć zaczyna. — Co za dziura! — Powinna rada nadzorcza w to wkroczyć, — ojciec ma przecież jakąś akcyę?...“

„Sprzedałem“, wycedził tamten.

„Co jaśnie państwo pić będą?“ zapytywał ober, otaczając znowu jaśnie państwa swoją pieczołowitością.

„Piwka“, zdecydowała głowa domu.

Synalek skrzywił się. „Mógłby też papa raz sekta postawić, — opiszą nas zaraz w gazetach, czy co? — To i co zresztą!“

Ale panie zaprotestowały energicznie, prosząc o herbatę, ojciec zresztą nie brał na serio propozycji lalusia.

„Panie ober“, krzyczał już znowu Styczyński,—„za moją pieniądze niech trochę podyrda“,—tłomaczył swoim,—„jabym się napił jakiej rzetelnej kapki,—co my to pili tu podczas wystawy przemysłowej z naszymi gośćmi z Krakowa,—ta jedna niezła,—tak, to odemnie nie wezmą, woła, żeby jakiś zbankrutowany pan obywatel na agenturze im wkręcił...“

„Sprowadzamy prosto z Węgier“.

„Wiem, teraz tak,—a czemu to nie użyćcie swojemu, żeby też coś na tem zarobił?—ale tak,—zamiast popierać stan kupiecki, woła sami zarobić“. Starał się przekonać doktora o słuszności tych żalów. Zaczem panna Paulina pośpieszyła go objaśnić, że Włastowscy są bankruci, ojciec niedołęga, syn utracyusz i gracz, majątek ich, Włastowo, zapewne pójdzie niedługo na kolonizacyę. To ostatnie zdanie wypowiedziała tak głośno, wprost wyzywająco, ażeby było słyszanem na całą salę, że Włastowski, który, podparłszy głowę na dłoni, siedział z wzrokiem wlepionym bezmyślnie w jadłospis, podniósł oczy, w tej chwili tak bo-

lesne, straszne i groźne, że nawet Styczyńska zmieszała się trochę, a Mieczysław odczuł wstyd pałacy za nią i litość ogromną dla tego piętnowanego już z góry, trudno było orzec, o ile odpowiednio do winy, człowieka.

Teraz Paulina zbrzydła mu doszczętnie i próżne były usiłowania Maryni, aby odczute u brata przykre wrażenie zatrzeć, naprowadzając rozmowę na inne tory. Sama zresztą nie sympatyzowała z przyjaciółką w większości jej ostrych sądów. Ale te nieszczęsne „bejmy!“ Rozmowa nie kleiła się.

Duleńskich na sali nie było. Przymaszerowująca jednakże przez salę z tacą homarów i butelką szampańskiego ku drzwiom w drewnianem przepierzeniu, stanowiącem jedną z ścian sali, służba naprowadziła doktora na domysł, że zapewne tam znajdują się gabinety i w którym z nich piękna pani z bratem. Nie mógł wytrzymać i zapytał się jednego z przemaszerowujących, który potwierdził jego przypuszczenie.

„Czy jeszcze kto z nimi?“ badał z babską ciekawością.

„Pan mecenas Zaklika“.

„O, patrzcie go“,—wyrwało mu się.

Panna Paulina skrzywiła się pogardliwie: „Ten mógłby dalej dojść, gdyby się lepiej nas trzymał,—naturalnie, paniczek, nie pasuje mu!”

„Zdolny,—ale phi“, potwierdził papa Styczyński „chce wykreść podobno dla Duleńskich jakiś związek rodzinny,—niby to ziemi bronią, ale więcej własna chwała!“—

Tymczasem Włostowscy mieli się już wcześniej ku odwrotowi i Słuszewski zapytywał się w duchu, czy i ich potem z tego lokalu za drzwi nie wyproszą, chociaż przyszły teść najwidoczniej zamierzał dzielnie się bronić, bo już druga „kapka“ stała się zawiązkiem baterii pomocniczej, gdy wszedł jeszcze jakiś spóźniony gość, młody, może trzydziestoletni człowiek z blond wąsem, bardzo skromnie ubrany, który, jak doktor widział przez wystawione drzwi od zakamarku, służącego za garderobę, postawił tamże niesiony mały kuferek.

Kelnerzy rzucili się zaraz ku niemu z zadziwiającą gorliwością, przybysz przywitał się grzecznie z Włostowskimi,—Styczyński wstając, złożył mu ukłon. „Hrabia Zieliński“,—objasniał. „Ma w kuferku świeży kołnierzyk i kontrakt kupna majątku“, uzupełniała jego córka, dodała jednak: „Na tego,—teraz pan

Mieczysław się już nie skrzywi,—trudno coś złego powiedzieć,—chyba, że wielka arystokracya“.

„Matka księżniczka Zasławska“, wtrącił stary Słuszewski, rad, że może się odezwać, nie wzbudzając przykrego oddźwięku.

„Dzielny obywatel i polak, jak cała rodzina“,—chwaliła z przekonaniem Marynia.

„Ino, że oni nic nie piją,—ani węgierskiego, ani sekta,—chyba na jakim ślubie, i to jeszcze, jak raz jeden wypił dwa kieliszki, to go się chcieli wyrzec“,—krytykował Styczyński, „nic na nich zarobić nie można!“—I dla tego się tak głęboko uklonił.

V.

Od rana Śluszewscy starzy i młody wybrali się znów z wizytami. Ludzi pracujących najlepiej w tej porze można było zastać, zresztą o dwunastej mieli iść, jak całe miasto, na zapowiadziany wielki wiec Straży. Straż, wzorem czeskim założona, jako zespół całego narodu a w każdym razie jego odłamu pod panowaniem pruskim, ku uniwersalnej obronie interesów politycznych, zarówno jak ekonomicznych, nie prosperowała. Myśl wielka i pożyteczna podjęta została z skarbca doświadczeń i rezultatów pobratymczego narodu niestety przez osobistość, zbyt mało mającą miru i wpływu w społeczeństwie, zrażonem przez fiasco polityki ugodowej, na której czele stał, ongi łaską Wilhelma II-go zaszczycony, Józef Kościelski. Polityka ta niezaprzeczenie dała Poznańskiemu arcybiskupa polaka, Stablewskiego, już po Niemcu na prymasowskim krześle,

Dinderze, i trochę ulg w konsekwentnie germanizacyjnym systemie szkolnym. W łeb wzięła dzięki polskiemu gadulstwu jej menera; cesarz nie mógł darować swemu zaufanemu walenrodowskich enuncyacyi. Biorący wszystko osobiście, za zdradę karał fałszywych polaków.

Spółeczeństwo polskie widziało uzyskane chwilowo ulgi, skompensowane znacznie in minus, wybrykiem tego samego człowieka, któremu już nieomal skłonne powierzyć było swoje losy i słusznie winić go, nie widziało w nim gwarancyi jako w kierowniku akcji politycznej na przyszłość. Bóg wie, co znowu za mówkę kropnie! Był to wódz, który szczerym polskim patryotyzmem mógł jeszcze zwerbować sobie szeregowców, nie mógł już znaleźć trzeźwiejszego zaufania oficerów. Gdy równocześnie z klęską polityki ugodowej, polityki szczerze czy na pozór kontentującej się prawami prusaków polskiego języka a usiłującej, w zamian za faktyczne zrzeczenie się praw narodowości, wytargowywać, z coraz mniejszym skutkiem, koncesye czasowe i lokalne, stronnictwo radykalne doszło do steru, pod hasłem: Precz z mirażami! Nie płaszczyć się bezowocnie,—nie ustępować ani na jotę z tego, co dały nam

boskie i ludzkie prawa, z praw narodowości, terytoryalnie związanej z pruską, ale odrębnej i równej tejże, nie jakiegoś podgatunku, bronić się z męstwem ludzi, którym śmierć wróża,— wtedy dawniejszy przewodnik pierwszego kierunku wykonał salto mortale polityczne, próbując okazać się jeszcze radykalniejszym od będących u władzy swych następców, i on, który najpierw zalecał współrodakom, żeby tylko pracować cicho, nie akcentować niczem swej odrębności polskiej, i oburzał się na krzyki patryotyczne pism, dał projektowi Straży wygląd niby głośnego wskrzeszenia odrębnego państwa polskiego w granicach czarnobiałych słupów, organizacyi narodowej, idącej równolegle z instytucjami państwowymi, mającej, o ile możliwości, wyprzeć i zastąpić te instytucye. Zszeregowanym miał być cały lud polski pod zaborem pruskim w karne dziesięciny i seciny, pod komisarzami i starostami, władze Straży miały być równocześnie i władzami polsko-politycznemi i biurami pośredniczącemi w kwestiach handlu i przemysłu i z składek udzielać zapomóg kupcom i rzemieślnikom i dostarczać porad prawnych w wszelkich sprawach czysto czy quasi-politycznych, i funkcjonować same

jako sądy polubowne, u których w sprawach wszelkiego rodzaju, przy działach rodzinnych i w sporach kontraktowych, jednym słowem: zamiast udawać się do sądów państwowych w procesach, polskie społeczeństwo miało czerpać sprawiedliwość.

Olśniewające te idee na pierwszy rzut oka wykazywały się w przybliżeniu wykonalnymi tylko pod dwoma warunkami: Gdyby znalazło się idealne społeczeństwo tak karne i tak abnegacyjne, a równocześnie takie zaufanie mające do swoich prowodyrów, żeby przelało na nich wszystkie prawa władzy państwowej i—gdyby znalazło się państwo, któreby na takiego noworodka w własnym ciele pozwoliło. Trzeźwi Poznańczycy odrazu ocenili fantastyczność tych projektów, uważając ją za obliczoną tylko na pociągnięcie za sobą najmniej oświeconych mas. Zresztą centralna władza narodowa w ręku niefortunnego eks-ugodowca?! Opinia niemiecka, stropiwszy się na razie, doszła też odrazu do przekonania, że ma przed sobą jeden z tych tak częstych polskich wynalazków—bez jutra. Rząd więc nie stawiał tak dalece oporu zawiązywaniu tej organizacyi, patrzył na nią, jak na każdą organizację polską, niechętnie, ale bez

obawy, chociaż pewien, liczebnie i jakościowo niewielki, odłam społeczeństwa poszedł za nią. Było to kilku, nielicznych, osobistych przyjaciół założyciela, trochę tych, którzy wszędzie i zawsze, gdzie jest jakiś hałas i jakaś robota patryotyczna, produktywna, czy nie, muszą się znaleźć,—choć gatunek ten w przesiąkniętem chłodem niemieckiej praktyczności Księstwie rzadszym zawsze był, niż w innych dzielnicach Polski,—jeden i drugi, „ugodowiec“, urażony forsownem a nietaktownem nieraz rugowaniem z stanowisk politycznych zasłużonych często ludzi przez rządzącą partję na korzyść osobistości bez żadnych dotąd zasług,—i nakoniec skrzydło najskrajniejsze stronnictwa radykalnego vel ludowego, widzące w nowych hasłach przybliżenie do socyalistycznych, z energicznym, samodzielnym selfmademanem, młodym posłem szlążkim, Korfantym, na czele.

Ale wszystkie te jednostki, tak różnorodnych, zgoła dyametralnie przeciwnych poglądów, nie zjednoczone żadną prymującą nad nimi powagą, mogły urządzić kilkanaście wieców z pięknymi mowami, zapisać pewną cyfrę gotowych na członków Straży, rozebrać pomiędzy siebie urzędy, lub powyznaczać na nie

odpowiednie jednostki,—jakiegokolwiek trwałej, jednolitej organizacyi stworzyć nie były na siłach.

Właściwe stronnictwo ludowe patrzyło na ten eksperyment tak świeżo nawróconej głowy ugodowców z nieufnością, dawni jego zwolennicy polityczni zarzucali mu wprost karygodną ambicję osobistą, obywatelstwo nominacye na „starostów“, podpisane przez małomiasteczkowych Robespierre'ów, brało z strony humorystycznej, — odsyłało wspaniałe dyplomy z wzmianką: A ja pana mianuję mandarynem chińskim.

Po roku egzystencyi Straż miała zamiast zapowiadanych szumnie stu tysięcy członków, zaledwie kilkanaście tysięcy, i to na papierze. Olbrzymia większość, opłaciwszy raz składkę minimalną jednomarkową, uważała że zrobiła dosyć, o ile za ową markę włościanin, z kwitkiem za uiszczenie tej opłaty, przy najbliższym procesie granicznym z sąsiadem, lub gdy jego baba nawymyślała sobie z kumoszką od takich i owakich, nie szedł jak w dym do biura porady prawnej Straży, żądając zwrotu swojej marki, gdy nie chciano uznać interesu publicznego w jego sprawie; od rzemieślników zaś

napływały prośby o wsparcia i dopytywania, gdzie się podziwia krwawica ludu,—czy na dyplomy starostowskie?

W znacznej liczbie powiatów organizacja nie mogła być zaprowadzoną dla braku chętnych do podjęcia urzędów kandydatów, i miejscowy landrat napróżno poszukiwał swego polskiego kolegi.

U założyciela i prezesa co prawda można było oglądać ofiarowaną mu tabliczkę pamiątkową, fatalnie przypominającą denko od pudełka od cygar, ale zaopatrzoną dedykacją: „Hetmanowi Straży“; stanowiła ona pendant do szkicu fregaty z własnoręcznym podpisem Wilhelma II-go, który swojemu Admiralskiemu podarował tą pamiątkę.

Jednakże powtarzano sobie słowa sprytnego Regierungsrata Langer: „So lange der alte Józio noch lebt, wird die Sache mit dem türkischen und jüdischen Gelde“,—po stryju Kościelskim-baszy i żony, córki warszawskiego bankiera Blocha—„gehalten,—aber nachher ist es aus“.

Ostatecznie stronnictwo ludowe, sarkając na niewdzięczną rolę naprawiania rzeczy od początku w połowie chybionych, ale rozu-

miejąc, że po obrzuceniu przesadnych reklamowych zapowiedzi, wykreśleniu rzeczy, wkraczających w zakres w Księstwie już na każdym polu oddawna, zgodnie z naszym charakterem narodowym, najlepiej oddzielnie funkcjonujących organizacyi politycznych i ekonomicznych, oraz humorystycznego archaiczno-biurokratycznego porządku rang, w niektórych gałęziach swojej działalności Straż może przynieść, rozumnie prowadzona, realne korzyści, — biuro obrony prawnej przedstawiało jeszcze najkonkretniejszą, — zdecydowało przystąpić w osobach kilku swych wybitniejszych członków do prezydyum i zarządu, i tej właśnie reorganizacyi celowej miał być poświęconym wiec osobny.

Tak się przedstawiała kwestya w rozmowie, która się wszczęła między Słuszewskimi a wiekowym doktorem Bronowiczem, do którego się trzeba było wybrać bardzo rychło, w godzinie ранnego przyjęcia pomiędzy ósmą a dziewiątą, bo potem wychodził na wizyty po pacjentach, a ranna ta pora jeszcze była wolniejszą od poobiednich, w których przyjmował znowu. Gdy przyszli punktualnie o ósmej, Mieczysław zauważył z niejakim zadowoleniem

że poczekalnia bynajmniej nie była przepelnioną. Z dwoma pacjentami, szukającymi jego pomocy, stary z znaną swoją szorstkością załatwił się dość sumarycznie, zapewniając im, że im właściwie nic nie brak, i zatrzymał swoich gości nawet trochę dłużej nad zwykłą godzinę swojego rozkładu czasu.

„Tu widać nikt nie umiera“, zauważył dosyć niewczesnie młody doktor. Stary zmierzył go bystro z pod okularów. „Myli się kolega,—umierają tu jak wszędzie—i nawet opłacają się za ten przykry mus“,—dodał złośliwie—„tym co na to dybią“. Był jednakże, tak w imię dawnych stosunków przyjaźni z ojcem, jak najwidoczniej z tą cechującą uczciwych i dobrych ludzi chęcią pomożenia każdemu, nadzwyczaj życzliwym dla młodego kolegi, objaśniając go o stosunkach, udzielając trafnych rad i wskazówek.

Mieczysław słuchał ich trochę ironicznie, bo chociaż Bronowicz miał praktykę niezłą, jednakże z tego, co młody słyszał o nim często z różnych stron, podług niego powinien być mieć o wiele większą. Lekarz był dobry, sumienny, stosunki miał, sam będąc poznańskiem dzieckiem, a ożeniony z panną ze wsi,—

nie lubił tylko leczyć zdrowych. Brał żywy udział w życiu politycznem i jako przyjaciel pierwszego wodza stronnictwa ludowego, redaktora Szymańskiego, należał do tegoż stronnictwa.

„A kolega jakich jesteś przekonań?”

Słuszewski zawahał się, kwestya ta zaskoczyła go trochę nieprzygotowanie. Spory partyjne mało go obchodziły i, zwłaszcza z obczyzny patrząc, wydawały mu się dosyć błahe.

„Przyznaję się, że niewybrałem jeszcze“, rzekł w końcu.

„To podług was przekonania polityczne wybiera się jak rękawiczki? dziękuję za taki system,—jak zasięgnę młodości mojej, my zawsze mieliśmy przekonania,—w waszym wieku już nieraz odpokutowaliśmy za nie,—coraz gorzej z tymi młodymi“—obrócił się, usiłując reprimendę w żart obrócić, do Słuszewskiego ojca.

Mieczysław usiłował bronić się, że przedewszystkiem jest się Polakiem, a potem dopiero przychodzi kwestya zasad i form ustroju politycznego społeczeństwa.

„Nie“, przerwał gorąco stary, „czytałem za młodu, bo my wtedy czytywaliśmy powieści

polskie, powieść Edmunda Chojeckiego „Alkhardar“. Otóż tam dwóch spiera się w tej samej kwestyi. I ten co ma rację, niby ja,—przytacza, że zanim się zacznie sadzić drzewka, trzeba się najpierw zdecydować, który gatunek“. Stary Słuszewski jednak zauważył, że przed sadzeniem jeszcze idzie spulchnienie ziemi.

„I, u nas dosyć spulchniona,—zmierzwiona nawet,—aż do rozkładu!“ Powstawał przeciwko obywatelstwu wiejskiemu. „Ot, masz rodzinę mojej żony, Włastowskich,—to tam która panielka czasem trochę dzieciaki pouczy,—mężczyzni obowiązkowo, bo to już i weszło w tradycję, którą szanujący się obywatel obserwować musi, jak nabożeństwo niedzielne, będą na zebraniach kółek rolniczych, wyborczych, zapłacą swoją składkę, ale to wszystko forma, martwa forma, dla zadośćuczynienia przyzwoitości. Jak w Włastowie rozgości się kolonizacya, byle dobrze zapłaciła, ręczę że nie będą płakali!“

Mieczysław mając w pamięci ten straszny, pełen niemego bólu wzrok Włastowskiego, który mu utkwiał wśród wrażeń wczorajszego wieczora, zaoponował tym razem energicznie, opowiadając swoje wrażenie.

Bronowicz słuchał go niechętnie i nieprzekonany. „Co najwyżej wstydzi się, że wylatuje, bo to u nich jedyny punkt ambicyi, być dobrym gospodarzem. Parę lat temu chciał Włastowo kupić mój kuzyn, Wize, trochę lepszego gospodarza i lepszego polaka od Włastowskiego, ręczę ci, z jednej z tych rodzin, co oddawna sercem goręcej przyglęły do Polski od niejednej z tych rdzennie polskich,—nie było jeszcze tyle długów na Włastowie, byliby wyszli z kapitalikiem,—jeszcze teraz daje nad wartość,—ale oni chcą jeszcze coś dla siebie. Stary Włastowski, niby oszczędny, lubił i lubi jeszcze dziś szyki wielkopańskie w domu, lokaji, strzelca, dobrą kuchnię jak u bogatszych sąsiadów,—synalek zgrywa się w karty.—Ale co do widoków materyalnych dla was, młody kolego, to sędzę, że macie niezłe, jako „specjalista“.—Wymawiał ten wyraz z pewnem uszanowaniem. Mieczysław, zlustrowawszy okiem ubożuchne i prymitywne instrumenta lekarskie i przestarzałą biblioteczkę tego doktora, który jeszcze antiquo modo był „do wszystkiego“, pojmował ten szacunek i nakierował rozmowę na swoją gałąź wiedzy, rzucając kilka nowszych poglądów naukowych.

Stary jednak nie był w tem taki zupełnie „tabula rasa“, jak sobie to Mieczysław początkowo wyobrażał. Dał mu przytem zaraz praktyczną radę, żeby się nie rekomendował wyłącznie jako specjalista od nerwów, ale i, do czego był ogólnie uprawnionym a co obejmowało szerokie, nie tak ściśle ograniczone pole, także od chorób wewnętrznych. „Bo ludziska gotowi pomyśleć, że kolega wyłącznie od wariatów,—a na to mamy już Kowanówko, i tam jakoś pustki,—wołą widać chodzić na wolności,—a mieszkanie weź w centrum miasta, u nas publika taka wygodna, że jak o parę ulic to już nie pójdzie,—chcecie szukać dzisiaj?—ach tak,—idziecie na Straż...”

Na zakończenie przypomniał sobie jeszcze jedno i już we drzwiach zalecił: „A ożeń się“.

Mieczysław widział na biurku fotografię młodej osoby a wiedział, że Bronowicz ma córkę. Ta zdawała się jednakże jeszcze brzydszą od Pauliny. Przy prostoduszności starego konsyliarza tenże nie mógł być posądzonym o to, że odrazu jego miał na celu jako zięcia. Uwaga była—po prostu ogólnie życzliwą.

„Kwestya zaczyna robić się palącą“,—pomyślał.

Stała mu znowu na oczach, tym razem w obrazku wdzięcznej główki dziewczęcej o złotawych lokach, wychylającej się przez drzwi przy następnej wizycie u doktora Mileckiego.

„Owszem, ojciec jest w domu“.

Był to także człowiek starszy, szanowany. Pochodząc z szeroko rozsiadłej w Wielkopolsce i zbogaconej, chociaż pochodzącej z drobnej szlachty, rodziny, miał przeważnie praktykę na wsi; znanym był również jako trafny dyagnosta, jak jako słynny dystrakt. Był przytem człowiek, niesłuchanie uczynny i dobroczynny, płacący miejskim pacjentom swoim jeszcze na lekarstwa i gotów im oddać ostatnią własną parę butów,—ale równie niepraktyczny.

Przyjął młodego kolegę niesłuchanie serdecznie.

„Bardzo chwali się młodym, gdy chcą pracować,—jest u nas wiele, wiele do zrobienia,—naprzykład słownik polski lekarski gwałtownie wymaga opracowania, to jedna z najpilniejszych potrzeb naszego społeczeństwa“—urwał goniąc tę myśl, czy porzucając już jej wątek. Mieczysław pomyślał, że są pilniejsze, ale milczał, czekając z uszanowaniem.

W to milczenie wpadł głos budzącego się z zadumy doktora:

„No, więc rozbieraj się pan!”

Zapominał, że ma przed sobą gościa, i zwracał się do mniemanego pacyenta.

Pożegnał ich zapewnieniem, że czem tylko może, gotów młodemu koledze zawsze służyć,—tylko, że oczywiście było, iż oprócz wartościowej zawsze sympatyj zacnego człowieka, pomoc ta czy rady nie wiele mogły znaczyć.

„A pamiętaj”,—zwrócił się jeszcze do starego Słuszeńskiego,—„z twojem zdrowiem nie żartuj,—nasz ksiądz arcybiskup mi też wierzyć nie chciał, ale mu powiedziałem, że ma najwyżej na rok”.

Ojca ta przepowiednia widocznie podrażniła, bo gdy wyszli,—Mieczysław oglądając się jeszcze z żalem, czy gdzie złotawej główki nie dostrzeże,—rzekł: „Złoto człowiek, ale—pesymista”.

Przed wiecem Mieczysław chciał jeszcze być w redakcyi Gazety Poznańskiej, tam się zarekomendować, bo uprzedzono go, że redaktor jest drażliwym na ominięcie jego jowiszowego trójnogu. Zachęcił go do tej wizyty Zaklika, mający tam stosunki i ofiarowujący się,

byle go z sądu ztelefonował, go wprowadzić. Ojciec wrócił do pań.

Gdy szli ku redakcyi, przyjaciel wskazał na dom, który mijali właśnie. Widniało na nim złotemi głoskami.

„Ostbank“,—bank kolonizacyi.

„Pamiętaj, żebyś się nigdy nie omylił i tam czasem nie wszedł“.

„Czy zastaniemy gromowładnego? Może się było telefonicznie zapytać?“

„Bój się Boga, zrobiłbyś sobie z niego nieprzyjaciela na całe życie, telefon to jedna z jego zmór...“

„Jest naczelny?“ —pytał poufale, ściskając dłonie na prawo i lewo i przedstawiając towarzysza.

„Jest, pracuje“.

„Wstępny?—Ubił Bülowa, czy darował mu jeszcze życie?“

„Gorzej,—od redakcyi. O zdziczeniu naszej młodzieży,—pośliznął się niedawno na ulicy na skórcie pomarańczy“.

„To będzie rozstawionemi literami: My...—no trudno, trzeba już zrezykować przerwać natchnienie,—tylko miodem, w zdwojonych dawkach, miodem,—wszystko przełknie“.

Naczelny podniósł olimpijskie czoło, które, troskami brzemienne, pochylał na dłoni. Przed nim leżały wielkie nożyce. Starzec z wszelkimi cechami śledziennika. Musiał zapewne, jak każdy dziennikarz, znosić nie jedno w ciernistym zawodzie, ale już osobistą cechą było, że wszystko brał do siebie.

„A, sługa pana mecenasa“, powitał dość łaskawie, „a kogo tam pan Bóg prowadzi?“

„Doktor Mieczysław Słuszewski, po skończeniu maxima cum laude uniwersytetu w Kilonii i praktyce jako asystent w Sorbonnie paryskiej, zamierzając osiąść na niwie ojczyściej i osiedlić się w Poznaniu, uważał sobie za obowiązek, pierwszą wizytę tutaj skierować do szanownego pana redaktora, aby mu się przedstawić, licząc na jego znaną obywatelską życzliwość i poparcie. Bo bez szanownego pana oczywiście ani rusz...“ rekomendował Zaklika.

„A, tego, bardzo pięknie,—na ojczyściej niwie, zanotuję,—ale od czego pan właściwie jest, panie doktorze Słuszewski? bo to są od serca, od żołądka i od głowy,—choć ja tych, panie, wcale nie potrzebuję“, silił się na ciężki dowcip.

„Od nerwów i chorób wewnętrznych“.

„Od nerwów“, spojrzał się trochę podejrzliwie—„ano właśnie, czy to nie od tego, co to tu?“—i puknął się palcem w czoło.

„Nie wyłącznie,—w każdym razie, gdybym szanownemu panu redaktorowi w czemkolwiek...

„No nie, panie“, wrzasnął już z gniewem, „co pan sobie myśli?“

„Przepraszam“, uzupełniał copędzej Mieczysław, „ale po trochę żółtej cerze szanownego pana,—daruje pan oku doktora,—obowiązkiem naszym jest przestrzegać,—mogą być lekkie początki cierpienia“.

„Wątroby,—wiem,—lekkie początki!—Pan to nazywasz lekkie.—Zmiłuj się pan, toż trzebaby chyba być z żelaza w obec tych ciągłych inwektyw i prześladowań najwięcej w całym Księstwie szacunku godnego człowieka...“

Najwięcej w całym Księstwie szacunku godny człowiek z złością przeszywał nożyczkami jakiś leżący na biurku list.

„Wie pan od kogo to?—No, pan znasz, panie mecenasie, od tej“,—obejrzał się, „wścieklej baby, Zaruckiej z Rzemplowic. Zamieściłem korespondencyę z Ostrowa, bardzo udatnie na-

pisana i patryotycznie, o przedstawieniu amatorskiem,—niech się lud kształci,—a ta mi pisze, że tam potem były jakieś niemoralne tańce i kilku młodych obywateli z okolicy sobie zanadto pozwalało,—w okolicy oburzenie i w Ostrowie oburzenie, a najwięcej na ten artykuł. Pisze mi więc w tym liście na ośm stron, że obowiązkiem Gazety jest pomieścić znów sprostowanie i naganą. Obowiązek, rzeczywiście obowiązek prasy, o tem wiem, notować każdy objaw społeczny i wydzielać zdobne pochwały i surowe nagany, tylko ta cała historia mi nie pasuje, truję się znów od dwóch dni tym listem“.

„Eh, baba napewne przesadza,—są ważniejsze rzeczy,—od czego koszt redakcyjny,—do kosza z tym listem“.

„Pan tak mówisz, panie mecenasie,—ale wy młodzi zbyt lekko pojmujecie swoje obowiązki,—a zresztą, jak nic nie umieszczę, pani Zarucka napewne zatelefonuje,—o...”

Telefon zadzwonił. Na szczęście ktoś tylko dopominał się o zaległy numer. Redaktor rzucał rączkę aparatu z ostatecznem przygnębieniem. Zbyt był zazdrosnym o swoją władzę, żeby pozwolić załatwiać drobniejsze interesy

któremu z swoich podwładnych, wołał napawać się goryczą i żółcią o każdą bagatelę.

„Mam dla szanownego pana i dla Gazety wiadomość“, zaczął adwokat, „niestety, zupełnie pewną,—o źródle wspomniałem panu kiedyś,—dawniejszy kolega mój, dzisiaj w rejeneyi—wywłaszczenie jest w kołach rządowych zadecydowanem, projekt wygotowany“.

„Czytałem coś o tem w hakatystycznych dziennikach“, odpowiedział tamten dosyć lekceważąco,—„błogie projekty hakatystów, ale nie ośmielą się nawet wystąpić z takim projektem przed Europą“.

„A ja jestem na nieszczęście zupełnie pewny, że się ośmielą—znam przecież Niemców, bom pomiędzy nimi lat kilka siedział, i wiem do czego są zdolni,—zimno i systematycznie. Obowiązkiem prasy ostrzegać, zagrzać społeczeństwo, żeby się zawczasu gotowało do obrony“.

„Jak? chociaż to przecie jeszcze niepotrzebne...“

„No, już związki rodzinne ku temu mogą posłużyć, zakładać ich jaknajwięcej, członkowie mogą potem wzajemnie obciążyć sobie hipoteki majątków do wysokości, w której kolo-

nizacya będzie musiała już tak szalenie przepłacać, że jej zadanie w każdym razie będzie utrudnionem“.

„I, wiem,—pisałeś pan o tych związkach,—tylko nie bardzo pamiętam...”

„Ale trzebaby powtórzyć w związku z wywłaszczeniem, popchnąć, dopilnować, bo to rzecz nagła...”

„Mój panie,—mówił mi inny prawnik, że przy wywłaszczeniu na hipoteki nie patrzą...”

„Patrzą,—bo granica obhypotekowania jest w Niemczech zwykle równomierną z granicą wartości majątku,—a dostać na krańcową hipotekę pieniądze niemieckie, to napewne przy wywłaszczeniu nie spadłyby, lub danoby pokój wywłaszczeniu”.

„A zkąd, mój młody panie, weźmiesz pieniądze niemieckie?”

„A ztąd, mój panie redaktorze, że dla zysku i hakatysta je da,—mało to Bank Szceciński napożyczał na polskie majątki, a Nationalbank, pomimo całych wrzasków prasy hakatystycznej, wysługuje się naszemu Bankowi Związku Spółek Zarobkowych. Toż mi mój Niemiec sam mówił, śmiejąc się: Jeżeli pan masz jakiego dobrego przyjaciela, to mu pan poradź,

niech nabierze na swój majątek możliwie wiele hipotek z końcową niemiecką.—Bank w rodzaju naszego ratunkowego Banku ziemskiego, tylko potężniejszy, centralizujący w sobie wszystkich, czy większą część właścicieli ziemskich polaków, pośredniczący w obhipotekowaniu się wzajemnem i dostarczaniu finalnych pieniędzy niemieckich,—zrobić to, zanim kłamka zapadnie, a będzie to nie patyk, ale kij gruby, wsadzony w koła maszyny germanizacyjnej, która, co najmniej, będzie się musiała trochę namęczyć, nim go zdruzgocze. Tymczasem unikniemy tej grozy, którą zawiesi nad naszym życiem politycznem takie prawo, grozy gorzej od wywłaszczenia samego“. Mówił z zapalem i przekonaniem, ale redaktor słuchał go, jak się słucha baśni o żelaznym wilku.

Słuszewski oparł się na głównym przeciwnym argumencie: „Ale, pomijając kwestyę solidarności, te pieniądze niemieckie...“

„Bez solidarności, na mniejszą skalę, nie byłoby i banku ratunkowego i spółek zarobkowych,—a co do pieniędzy, jak Niemcom pokażesz geszeft, pierwsi na niego pójdą. Ostatecznie i bez banku centralnego inaczej można próbować. Są jeszcze w prawie formy akcyj-

ne, do których przypuścić jako jednego członka, nieszkodliwego, bo w mniejszości bez znaczenia, którykolwiek bank niemiecki. Stojący za tym ostatnim akcyonaryusze podnieśliby ładny krzyk, gdyby całość w ich osobie chciało pokrzywdzić. Korzyści realne, jakieby się takiemu wierzycielowi czy akcyonaryuszowi Niemcowi zapewniło, opłaciłyby się sowicie“.

„Rozumiem cię“, pochwycił Słuszewski, „owe zapewnione Niemcowi wierzycielowi czy akcyonaryuszowi wyższe procenty lub zyski byłyby rodzajem asekuracji przeciwko wywłaszczeniu, albo zmuszałoby rząd do płacenia wygórowanego szacunku“.

„Tak, tylko dzisiaj wolno sobie jeszcze każdemu na tę transakcję pozwolić, naturalnie nie fikcyjnie,—gdy prawo wyjątkowe przejdzie, nazywałoby się to przeciwko prawu“.

„A ja jednak o tem wywłaszczeniu nic nie napiszę“, orzekł redaktor, „po co ludzi straszyć na próżno,—gdyby naprawdę, to będzie czas“.—

— Do ogródkowego lokalu Lamberta, posiadającego największą salę na Poznań, ciągnęły tłumy: rzemieślnicy i kupcy i okoliczni włościanie, inteligencya miejska z Poznania oraz

z innych miast Księstwa przybyła, księża i obywatele wiejscy; tych ostatnich było proporcjonalnie najmniej, ale byli. Nadchodzące grupy rozprawiały żywo, ale z powagą. Widocznem było, że odczuwano zupełnie wagę chwili, mającej decydować o egzystencyi instytucyi, która miała być wszystkim, była niczem, mogła być czemś. W porządku wyszkolone, szeregi wyborców zajmowały liczne rzędy krzeseł, kupiły się na wolnych przestrzeniach boków sali, zapępniały szczerlnie niezastawioną przestrzeń za krzesłami. Napływało ich coraz więcej, nie było jednak tłoku, popychania, poddawano się natychmiast wskazówkom utrzymujących porządek mężów zaufania, a gdy troskliwie przy drzwiach czuwający nad wypełnieniem przepisów policyjnych o bezpieczeństwie publicznem policjanci zadecydowali, trochę przedwcześnie, że sala już przepełniona, spóźniający się bez słowa oporu, chociaż markotnie, zawracali od zamkniętych już drzwi. Zebrało się ludu około dwóch tysięcy. Widok był imponujący. Rzesza ta, pomimo różnic zdań i opinii politycznych, jednakże jednolita, karna, zebrana tu, pełna dobrej woli i gorliwości ku sprawie publicznej, mogła poświadczyć, że uświadomienie parla-

mentarne i samodzielność polityczna słuszną stanowiły chlubę wielkopolan.

Na estradzie zasiadło prezydium, wśród niego, żywo obserwowani, mający od teraz wlać w nie nowe życie, poseł do sejmu Felicyan Niegolewski, ulubiony przez wszystkie stronnictwa, jasny i prawy charakter, a niesiony ogromną falą popularności dziada z pod Samosierry i stryja Władysława, który odkrył i zdemaskował prowokacyjny spisek Bärensprunga, i mający się wysunąć później na jedno z naczelných miejsc w kole polskim ludowiec Władysław Seyda.

Przewodniczący zagaił posiedzenie staropolskiem: Niech będzie pochwalony!

Na wstępie jednak zdarzył się incydent. Z prezydium przypomniiał jakiś formalista o zwyczaju: Jeżeliby kto z panów posłów lub byłych posłów znajdował się na sali, prosimy na estradę.

Słuszewski dostrzegł siedzącego opodal między publicznością Włostowskiego. Ten był przez którąś kadencją posłem. Teraz, nie chcąc zwracać na siebie uwagi w obec wiadomej ogólnie, bo poruszonej przez pisma, nieuniknionej sprzedaży Włostowa i, czując się win-

nym, że, chociaż pośrednio, rzeczywiście słuchał propozycji z strony komisji kolonizacyjnej, bladł i czerwieniał się, gdy zawezwanie z trybuny zwróciło kilkoro oczów na niego. Najchętniej byłby pozostał niepostrzeżonym,—teraz to już było niemożliwem. Zostanie na miejscu, w obec zwracających się ku niemu coraz więcej głów, byłoby przyznaniem się do występku. Wstał więc i zaczął sobie torować drogę ku trybunie.

Ale w tej chwili padło kilka jednomyślnych wykrzyków:

„Sprzedawczyk!“—podchwyciły liczniejsze głosy: „Precz z sprzedawczykami,—hańba,—bezczelność!“

„Panowie, uciszcie się!“—próbował z rozwianemi bokobrodami ów mąż z estrady, który niewczesnie wywołał tę burzę—„bądźco-bądź zwyczaj parlamentarny...“

Nie słuchano go. Włastowski zawrócił na miejscu i, blady jak kreda, szedł przez rozstępujący się, jak przed zapowietrzonym, tłum, ku wyjściu. U drzwi komisarz policyi zaszalutował mu przychylnie.—Zabrał głos pierwszy programowy mówca i obrady potoczyły się harmonijnie i spokojnie. Oczywiście były róż-

nice zdań, nawet dyаметralne od tych, którzy sławili Straż jako panaceum, do tych, którzy zaprzeczali jej w ogóle racji bytu, były sprzeczne żądania centralizacyi i decentralizacyi, ale dyskusya szła rzeczowa, popierana argumentacją i przykładami. Oprócz przeciągniętego patosu przewodniczącego, inne mowy brzmiały trzeźwo, realnie. Szukano konkretnych wyników. Biuro obrony prawnej, gromadzenie materiałów sądowych, mogących służyć za precedensa, działalność sekcyi kulturalnej jako uzupełnienie Towarzystwa Czytelni Ludowych, ekonomicznej sekcyi w wynajdywaniu i wskazywaniu miejsc osiedlenia, dających jeszcze rodakowi byt, oto, co, wyciśnięte z mgławicy przesadzonych zapowiedzi, mogło mieć pewną trwałą wartość praktyczną. Olbrzymi, czas i pracę na czczych deklamacyach i sporach pochłaniający aparat wystarczał zredukowany do kilku osób dobrej woli, mogących i chcących się szczerze zająć swemi zadaniami.

Z tem uczuciem, że jednakże coś, chociaż małowczko, wyniknąć i przyjść może sprawie publicznej z tego, że dołożyli do niej ręki, opuszczali wiecownicy w spokoju ducha i wzorowym ładzie miejsce zebrania po obowiązko-

wem: „niech żyją“ na cześć prezydium, w którym ster miał więc odtąd przejść do partii ludowej.

W Kasynie Miejskim, w którym się doktor znalazł wieczorem, komentowano więc, jego przebieg i wyniki w różny sposób, odpowiednio do składu klubu, założonego jeszcze przez Potworowskiego, a mającego jednoczyć całą inteligencją. Biust jego jednak,—jednego z tej trójcy, która po 48-ym, dawszy na przyszłość za wygraną wszelkim orężnym próbom wywalczenia niepodległości, wydała hasło pracy organicznej, — hasło, podotąd brzmiące, ale w jaki sposób najczęściej rozumiane i wykładane! — trójcy ongi, Potworowskiego, Libelta i Marcinkowskiego,—spoglądał zapewne z zdumieniem i odrazą, bo tego się chyba nie spodziewał założyciel, po zielonych stolikach, na których ograniczała się działalność tego klubu.

„Po co on tu stoi, kiedy nie gra,—dziwny człowiek“, kpił sobie jeden z klubowych, szambelan Starzecki. — Słuszewski poznał w nim tego osobnika, który to z chichotem zmykał przed ciśniętą za nim laską barona. Duch pruski z tradycyi po dziadku, także pruskim

dygnitarzu, nie biorący udziału w życiu narodowym, chyba w znaczeniu ujemnem. On to najgłośniej wyśmiewał i przedrzeźniał dzisiejszy wiec, używając malowniczego dyalektu polsko-niemiecko-żydowskiego.

„A kikste, — zebrali się polaczki i robią Polskę, — geweld, a grojse sache! Koschelskiemu to tam u góry zapamiętają, — Niegolewski, no, stryj jego mawiał, że mu zapach kożuchów chłopskich najmiłszy, — auch ein feines Parfüm! a die ganzen ludowcy koennen mir gestohlen bleiben! Polska ma być? Gdzie? Kiedy? mam ją w nosie! — I ja jestem polak, może nie? —” — bił się w piersi — „ale zawsze byłem przeciwko jakimś polskościom!”

Słuchano go bez protestu, przyklaskiwano nawet, śmiano się z conceptów. Gdy kto próbował się oburzyć, perswadowano mu: „Ależ daj pan pokój, ten Józiek to warjat, — on tylko tak gada!” — mieszczuchom imponował swoim szambelaństwem, był popularnym, wołał tu przesiadywać, niż w Klubie Szlacheckim; prawda, że tam zwykle nie bywało żywego ducha. Radzi więc nieradzi panowie ze wsi, należący do ekskluzywniejszego klubu, gdy zajeżdżając do Poznania, nie zastawali tamże nikogo, fa-

tygowali się, z wyjątkiem kilku ultra-arystokratów, odpychających z oburzeniem od siebie myśl podobną, do wzgardliwie tak przezwaną, „Częstochowy“, do „odpustowego“ towarzystwa. Sztaam Kasyna tworzyli lekarze, adwokaci, inżynierzy i kilku kamieniczników, chociaż należeli do niego po większej części i ciż obywatele wiejscy, jak na odwrót znaczna część członków Kasyna była członkami Klubu. Nawet z racyi towarzyskiej obydwu obok siebie nie bardzo miały rację bytu i kilkakrotnie podnoszono kwestyę połączenia ich, ale rozbijało się to przedewszystkiem o niechęć do szewckich manier, manifestowaną przez wodziarę klubu, owego hrabiego, którego Słuszeński spotkał także wtedy na kurytarzu hotelu, o ruchach i zachowaniu zaganiacza bydła i łapach z czarnemi paznokciami, stale tak brudnych, że się karty do nich przylepiały; ale miał znaczną fortunę, więc wysoce go szanowano. On i Starzecki byli amis-cochons.

Mieczysław wprowadzony do Kasyna przez kolegę lekarza, którego odnalazł na wiecu, nie bardzo mógł zrozumieć, widząc tu sporo ludzi, tychże samych, którzy będąc na wiecu, na seryo zdawali się uczestniczyć w pracy oby-

watelskiej, sami nawet poważnie głos zabierając, tutaj nastrajających się do pokpiwającego sobie ogólnie z tamtej działalności kamer-tonu, z łatwością która nasuwać mogła przypuszczenie, że ten ostatni jest naturalnym, a tanto tylko przybraną od oka szatą.

Zwierzył się z tem swemu mentorowi.

„Bah, co chcecie,—my tamtych szopek już tak zwyczajni,—tu każdy myśli, z czego chleb“.

„A nie będę wam tego chleba zabierał?“

„Eh“, odparł zapytany, starszy od niego o parę lat praktyką, podobno nieszczególną, doktor Buszkiewicz, „toć spróbujcie“,—a jeżeli chodzi o praktykę tu“,—pokazał na zielone stoliki, „to już zależy od zdolności i szczęścia“.

Dowody tychże miał Słuszewski złożyć jeszcze tego wieczoru, i to w klubie, dokąd go, dzięki przypadkowej znajomości w modę wchodzącego bridge'a, do partyi dla nudzącego się tamże samotnie Worskiego, hrabiego o brudnych łapach, szambelan z baronem Grabowskim zawiedli.

Wygrał nawet kilkadziesiąt marek,—no, i grał w bardzo dobrem towarzystwie.

VI.

Rodzice odjechali, oblokowawszy jeszcze jedynaka na własnych śmieciach. Udało się znaleźć mieszkanie przy ulicy Wiktoryi, prawie w centrum miasta, bo niedaleko od Placu Wilhelmowskiego, na którym się zbiegają interesa Poznania, a już nie tak drogie, jak na której z wpadających doń bezpośrednio ulic. Doktor nie potrzebował się co prawda tak bardzo, mając swój dostatni kapitalik, liczyć z każdym groszem, a gdy procenta i tak nie starczyły, już było, zdaniem jego, mniejsza o to, czy więcej, czy mniej z kapitału wypadało doczerpnąć. Ale matka i siostra, tem bardziej że nie wiedziały nic o uszczupleniu tegoż, obliczały każdy grosz, i dumne były z wynalezienia tego okazyjnie taniego locum. Mebli trochę miał, trochę mu dosłano z domu, trochę dokupił i, chociaż zbierana, całość wypadła wcale przyzwoicie, aż za pięknie może na

spartański Poznań. Ale liczył na to, że tem właśnie pewien miły i zachęcający efekt wywrze na pacjentów. Najwięcej było zaniepokojenia i zgryzot z polskimi rzemieślnikami, którzy, lubo podwzorowani już na swych kolegach zachodnich, nie zdołali się zupełnie wyrzec narodowej niepunktualności. Ale że rzemieślnik ten po większej części świeżo powstał z tego ludu, któremu, jak twierdzi autor „Bartka Zwycięzcy“, święta ziemia daje przykład niepunktualności, więc trzeba było te przeciwieństwa cierpliwie znosić; o zamówieniach u Niemców, chociaż doprowadzony nieraz do ostatecznej pasyi, Słuszewski oczywiście nie pomyślał, zresztą byłoby to już z tego względu niemożliwem, że pisma polskie bacznie ogłaszały nazwiska tych, którzy się sprzeniewierzyli hasłu: Swój do swego. Ale rzemieślnicy też wiedzieli o tem doskonale, wyzyskując sytuację. Na koniec każdy mebelek był na swoim miejscu, w bramie i na drzwiach widniały tabliczki z napisem:

Dr. Mieczysław Słuszewski

Lekarz praktyczny.

Dr. M. von Słuszewski

Praktischer Arzt.

Jakgdyby „niepraktycznym“ lekarzom w Niemczech przyznawano osobne stanowisko. U dołu dwujęzykowy dodatek dodawał: Specjalista w cierpieniach nerwowych i chorobach wewnętrznych.

Wyglądało to wcale nieźle i okazaźnie.

Kilka maszyn i aparatów, drogich strasznie, do elektryzowania, masażu i kąpeli świetlnych, zdolne były zaimpresyonować pacyenta. Stanowiły przedewszystkiem przedmiot uwagi i podziwu lub zawiści rewizytujących go kolegów.

— „Bycze instrumenta,—«volk» zgłupieje!“ zachwycał się Buszkiewicz.—

— „No, no, a to kolega ma wspaniałości“, dziwił się Bronowicz, a Mieczysław uśmiechał się, przypominając sobie ubożuchne instrumenta, jakie u tego widział.

Inni przyznawali się w prostocie ducha, że nie mają pojęcia, do czego te historye mają służyć, a Milecki, odkręciwszy w roztargnieniu kurek prądu elektrycznego, omal maksymalnym prądem nie zabił siebie i gospodarza.

Gazeta Poznańska umieściła notatkę, w której było i maxima cum laude i na ojczystej niwie.

O pierwsze doktor, który złożył egzamina normalnie, ale bez odznaczeń, trochę się pogniewał na Zaklikę.

„Czyś ty kiedy czytał, żeby jaki polak zdał kiedykolwiek inaczej, jak maxima cum laude?—ja przynajmniej jeszcze nigdy!“—odpowiął go tamten.

Nawet z pacjentami było niezgorzej. Bronowicz odesłał mu kilku, którym zapowiedział, że są najzupełniej zdrowi i Pana Boga obrażają swemi wyrzekaniami, ale jedynie hydroterapia, masaż, czy coś tam podobnego, mogą im nie zaszkodzić, od Mileckiego przyszło kilka bied, ale gotowych rozgłaszać chwałę zdolności i dobroci młodego lekarza, przez kilka pierwszych tygodni na koniec zjawiali się raz po raz szukający porad, których sam nie wiedział, czy zawdzięcza swojej specjalności, czy notatce w Gazecie. Na brak zajęcia więc, jak na początek, nie mógł się uskarżać. Rozrywek było mniej i zwłaszcza z wieczorami nie wiedział bardzo, co począć. Teatr w porównaniu z zagranicą, a nawet, jak zaręczali przejezdni goście z Królestwa, w porównaniu do tamtejszych trup prowincjonalnych, był tak lichy, że dla wykształconego jakkolwiek gustu

artystycznego nie był przynętą. Życia familijnego, towarzyskiego, za którem w włóczędze po uniwersytetach się stęsknił, nie było. Raz, czując się zachęconym wzmianką Bronowicza, żeby bez ceremonii kiedy doń zaszedł, wybrał się wieczorem i został bardzo uprzejmie przyjętym, jednakże z pewnem zdziwieniem i niepewnością, jak się w obec tego gościa znaleźć, znamionującymi, że tego rodzaju bezpretensjonalne bywanie w domu, nawet dawnymi stosunkami z jego rodzinnym złączonym, wydawało się czemś niezwykłym. Była córka w domu. Obyczaj niemiecki każe wtedy tylko zwracać uwagę na pannę, kiedy się upatrzyło w niej „die Hausfrau“,—mężatka jest własnością męża. Dość naiwnie okazał mu się Bronowicz przesiąkniętym tą samą zasadą, wyrażając swę zdziwienie: „No, no, mówili co innego,—przebolełeś pan już pannę Styczyńską?“

Ubodło to Słuszeńskiego, bo najwidoczniej, jak plotka miejska połączyła ich już z Pauliną, tak niepokazywanie się ich więcej razem przetłomaczyła odkoszem. Lepiej było się i tu odrazu wycofać, nie narażając się na podobną wersję.

Do pracy w dalszem kształceniu się teo-

retycznym, ślęcząc nad książkami po zajęciu dziennem z pacjentami, czy też po więcej denerwującym jeszcze oczekiwaniu na nich, gdy się nie zjawiali, jednym słowem po tym najwięcej nużącym sposobie spędzenia dnia po trochu na pracy a po części na wyglądaniu jej, nie czuł się na razie zdolnym. Pozostawało tylko Kasyno, dokąd został przyjętym jak również, pozyskawszy sobie Worskiego bridgem, do Klubu, z kartami, przeplatanemi przeżuwaniem rzadkich nowin dnia. Do pracy społecznej się zapisał. Był członkiem Straży, Towarzystwa Wyborczego, Czytelni ludowych, Przyjaciół Nauk i różnych dobroczynności, ale,—oprócz składek—czy nie wymagano od niego, czy nie było też rzeczywiście tam nadmiernego zapotrzebowania pracy,—pomimo że stawał najpierwszy do apelu, pojął bardzo szybko, że w instytucjach tych, przeważnie nakreconych jak dobrze uregulowany zegarek, jest do roboty względnie mało, a to, co jest, rozebrano już dawno pomiędzy chętne, czy ambitne, jednostki.

Przynajmniej tak zadecydował, może nie-nazbyt daleko od prawdy.

Wspominał o tem kiedyś Paulinie, z którą,

ożgrozo, przechadzał się w którąś niedzielę w południe po Placu Wilhelmowskim,—muzyka wojskowa grywała tam o tej porze, jak w każdym mieście niemieckiem, różne marsze i inne, do trąb i spaceru nadające się, kompozycye. Spotkał ją z jakąś ciotką w kościele u św. Marcina, gdzie „inteligencya“ korzystała z przywileju miejsc w zakrystyi, i Styczyńska kiwnęła na niego, tak, że, nie chcąc jej zrażać, nie mógł się nie przywitać. I ona, chociaż, jak się wyraziła do Maryni, zniechęcona jego gapiostwem, nie dała za wygraną i, przedstawivszy go swojej duennie, wiodła go za sobą. Miał jej opowiedzieć, co działał tymczasem, jak się urządził i—co zresztą ma jej do powiedzenia. Gdy wymienił jej z niejaką dumą swe obecne kwalifikacye społeczne, dziewczyna machnęła na to ręką lekceważąco. „To tam można tak nebenbei,—a posłem, do czego to mogłoby posłużyć, zostać doktorowi praktyka nie pozwala, i dyetami każdy w Berlinie ledwo starczy,—za to wejdź pan do Przemysłowców albo do której z kas oszczędnościowych. Pan ma trochę pieniędzy, kup pan akcye, żeby dostać się potem do zarządu i rady nadzorczej,—to i patryotycznie będzie i można na tem coś za-

robić. Tatuś tam wszędzie jest,—jak poproszę, to pana popchnie“.

Rada była niezła i pierwszą część tego programu doktor wykonał ale, że jasnem mu było, że, jako nieznany, z kandydaturą swoją chociażby na członka jakiej podkomisyi rewizyjnej narzucać się nie może, więc częściowe jego bezrobocie trwało dalej.

Już w ogóle myśl o ognisku domowem nie przedstawiała go dręczyć. Ożenić się, czuł, że musi i w interesie ustalenia praktyki i chociażby z nudów.

„Żadna uczciwa kobieta do kawalera nie przyjdzie!“—zapewniła go Paulina.—A nieuczciwych w Poznaniu niema—odpowiadał sobie w myśli.

Z tą Pauliną! Właściwie wypadło, po takim zapewnieniu a po różnych niedwuznacznych dawniejszych zachętach przez Marynię i wprost, na miejscu się oświadczyć, ale—nie mógł się zdecydować. Żeby była chociaż troszeczkę przystojniejszą. To już prawie Bronowiczówna z swą twarzą obstruganego kartofla była ładniejszą; przynajmniej cerę miała zdrową. Gdzież u diabła były te ładne polki, których pełno w poezjach, nawet w wyobraźni

wrogów, hołdujących przed „schöne Polin“. Te kilkanaście panien i pań, które mu pokazywano na mieście, jako należące do towarzystwa, zaiste do urody pretensyi mieć nie mogły. Tak, w porównaniu do takiej panny Łużyckiej, oprócz Mileckiej,—ale rudej,—pokojóvkami im chyba było być. Dwie żony lekarzy stanowiły chlubny i zachęcający wyjątek; dlaczegóż on miał się żenić z zdecydowanie brzydką? Przecież nie potrzebował tych bejmów tak koniecznie. Tę rację zdawała się uznawać i panna Paulina, nie biorąc mu definitywnie za złe, że przewlekał,—z tym praktycznym w gruncie bon senssem zmysłowej, ale ani za grosz sentymentalnej dziewczyny, która sobie mówi: No, jak nie będzie ten, - ostatecznie znajdzie się zawsze inny, chociaż—wolałabym tego.

Mieczysław postanowił sobie w każdym razie doczekać karnawału. Potem już klamka zapadnie. Poza swą prowincją, z wrodzonym konserwatyzmem poznańczyka, niechętnieby szukał żony, zresztą powinna mu być wniesć jako część posagu i swoje stosunki miejscowe. O tem ultimatum, które sam sobie postawił, napisał do Maryni, nalegającej natarczywie o Paulinę.

— Wy mężczyźni wszyscy jesteście ci sami,—odpisywała mu siostra,—jak dzieciaki sami nie wiecie, czego chcecie. Podle jest przytem, tak, podle, piszę ci to wprost, wodzić tak długo za nos pannę, która ci zawierza, odstręczysz ją i pójdzie za innego. —

Ale list ten, pomimo całej pocziwości i zamaszystości siostrzyczki, która z niego wyzierała, go nie przekonał; wiedział, czego chciał, a w miłość Pauliny, któraby ją przyprawić mogła o katastrofę sercową, nie bardzo wierzył. Przeciwnie, gdyby się jaki „hrabia“ nadarzył, kto wie... Liścik Pauliny do siostry, który ta w kobiecej niekonsekwencji ku przekonaniu go, oczywiście pod największym sekretem, załączała, mówił co prawda co innego.

— Jeżeli twój nieznośny M. mnie nie chce, to zobaczy, że się kropnę za innego,—pisała. Groźba dowodziła odwrotnie stałości jej uczucia.

Grudzień był i karnawał za pasem,—można było wytrzymać.

Odpisał Maryni w tym sensie, zachęcając ją do przyjazdu na karnawał, do czego nie miała wielkiej ochoty. Uczyla tam dzieci pokryjomu. Tęskniła za latem kiedy pod pozorem przechadzek łatwiej było można zgroma-

dzie ich kilka, gdzie na łączce, czy w lasku,
i zaśpiewać im:

Przyszło Krzyżok w twardy blasze,
Polił wse i miasta,
Za to jego cepy nasze
Grzmoceły lat dwa sta.

Nigde do zgube
Nie przyńdą Kaszube!—

A chórem—to jeszcze, jako wstęp, umiały
zdawna:

Tam gdzie Wisła od Krakowa
W Polsce morze płynie,
Polsko wiaro, polsko mowo
Nigde nie zaginie.

Nigde do zgube
Nie przyńdą Kaszube!

Tymczasem dwa wypadki, jeden po drugim, miały przypomnieć Mieczysławowi, że zamieszkał i on na terenie walki i ucisku i że żelazna obręcz, którą państwo niemieckie ścisła z największą pieczołowitością swoich polskich poddanych, zaciska swoje koło i nad nim. Najpierw przyszedł—sztraf za niezameldowanie się w biurze policyjnym. To była drobnostka, zawiniona zresztą, chociaż od uznania władz

policyjnych zależało, karać takie drobne uchylenia przeciwko ich atrybucyom opiekuńczym, lub nie. Ale, w dodatku, komisarz okręgu policyjnego, w którym zamieszkał, wzywał go do stawienia się osobiście w biurze, odwołując się na jakiś paragraf, pozwalający władzom przekonywać się de visu o osobistości pierwszy raz w jakimś mieście zamieszkującego obywatela. W żadnym z miast rzeszy niemieckiej, w których przebywał, nie zdarzyła mu się podobna pretensya. Ale zaciągnięta opinja prawnicza brzmiała pytyjsko. Nie wolno oczywiście w konstytucyjnem państwie ciągać spokojnego obywatela po biurach policyjnych, czas mu zabierając i stawiając go w roli „poddanego“, jedynie dla zrobienia sobie przyjemności skonstatowania, czy rzeczywiście ma nos w środku twarzy, ale, skoro tylko jest jaki ważny powód, a o ważności tego powodu rozstrzyga faktycznie widzimisię urzędnika, a nawet bez powodu, gdy ogólny powód może się znaleźć w lokalnych stosunkach, w interesie bezpieczeństwa publicznego, formułce, którą można osłonić wszystko..., sprowadzić może przez policyanta, a opierać się temu,—nuż usankcyonują jakiś najbłahszy powód,—to opór przeciwko władzy,

karany bez pardonu miesiącami więzienia... Poszedł więc. Komisarz policyjny przyjął go dość grzecznie, najwidoczniej chodziło mu tylko o zadowolenie swojego poczucia władzy; mając wynotowane personalia, zapytywał tylko o dawniejsze miejsca pobytu i czy należy do jakich stowarzyszeń, n. p. do Straży. „Może pan zresztą odmówić odpowiedzi“, — dodał. Mieczysław nie widział powodu tać się z tem ostatniem,—Straż była najlegalniej dozwoloną.

„A zameldowano też pana jako członka?“ rozśmiał się komisarz, — „pewnie nie, bo to polskie porządki,—będzie znowu sztraf, najlepiej się pan wykreśl!“

Doktora prawie że śmieszyło to redukowanie kwestyi politycznej do kwestyi finansowej, z drugiej strony oburzała go ta propaganda polityczna, na którą sobie urzędnik pozwalal. Zaciął jednak zęby i nie odpowiedział nic na propozycję.

„Pan jest oficerem w rezerwie, będzie pan miał niemiłe kolizye“,—ubolewał jeszcze urzędnik na pożegnaniu.

Jako też na drugi dzień zastał zawezwanie od Bezirkskommando, nadzorczej władzy wojskowej, do stawienia się natychmiast. Tam-

tego dygnitarza, starego wysłużonego majora, już znał, bo podług przepisów wojskowych, przedstawił mu był się zaraz po przyjeździe do Poznania, co odbyło się wtedy w krótkich formach militarnych. Teraz zastał go nabuńczuczonego strasznie.

„Herr Kamerad,—odebrałem przykrą wiadomość, że pan, jako oficer pruski, należysz do tej—ach—Straży. Nie wiem osobiście, co ten nowy djabeł polski ma za cele, ale wystarczy przykrość, którą mi sprawiło, że jeden z członków korpusu oficerskiego zasłużył sobie na to, że policya zwraca nam na niego uwagę, i spodziewam się w przeciągu dwudziestu czterech godzin usłyszeć od pana, że pan z tego niestosownego dla oficera towarzystwa się wycofałeś. Powstrzymam się tym razem, ponieważ zapewne zawiniłeś pan nieświadomością, od dalszych konsekwencyi, chociaż, u diabła, wiedzieć pan przecie mógłbyś, że przynależność królewskiego oficera do socyaldemokratycznych lub polskich stowarzyszeń jest wykluczoną“.

Ta zasada konstytucyjnego państwa, które wymaga od swych poddanych bez różnicy, żeby służyli wojskowo, życzy sobie od nich,

gdy posiadają kwalifikacye, żeby się starali zostać oficerami, karząc niechętnych nieprzyznaniem im ulg i przywilejów tego stanu,—ale odejmuje im w odwet za te przywileje wolność obywatela,—była znaną doktorowi. Nie wiedział tylko, że, pod wpływem reorganizacyjnego wieca, zaczęto podciągać i Straż pod kategorię stowarzyszeń, jeżeli nie prawnie to moralnie w państwie pruskiem zakazanych. Zwrócił na to nieuzasadnione legalnie stanowisko policyi zwierzchnikowi uwagę.

„Eh, ostatecznie wcale nie wymagam od pana, żebyś z wielkim éclat wystąpił z tej głupiej verfluchte Straż,—znam szowinizm pańskich rodaków i rozumiem względy na praktykę, wykręć się pan pod pierwszym lepszym pretekstem,—my sobie skandalu o armją wcale nie życzymy,—przedłużam panu termin, ale spodziewam się raportu pana o załatwieniu tej sprawy w duchu panu wskazanym niezadługo“. Podniósł dwa palce do skroni: „Dziękuję panu, panie lejtnancie“. Audyencya była skończona.

Wojskowy dryl pruski tak silnie tkwi w człowieku, który raz mu podległ, że wyszedłszy z audyencyi, Słuszewski w zamyśleniu masze-

rował przez Plac Wilhelmowski jeszcze ruchami sprężynowego automata, wyrzucając z korpusu nogi nienaturalnym prostokątnym rzutem parademarszu. Nieunikniona na tem miejscu o południowej porze Paulina skrzyżowała jego drogę z uśmiechem. Przywitał się machinalnie. Zkąd? dokąd? po co? co za hece wyprawia w mundurze? czy po konsens małżeński? przecież tego tylko czynni oficerowi muszą się dopraszać,—a on jest tylko w rezerwie,—ach tak, zawsze w rezerwie... Przyjmowała swoją rolę odstawionej, o ile by się coś lepszego nie znalazło, jak ją sama określiła, wpoł z irytacją, wpoł humorystycznie, zapewniając że jeszcze na kolanach będzie musiał prosić. Opowiedział jej swoje przejście.

„No, i co się pan tak burzy? —trzeba będzie z Straży wystąpić..“

„Pani mi to radzi?...“

„Ano“, przywtórzyła, „to złodzieje paskudne,—tylko, że jednak z tej Straży więcej hałasu, niż pożytku, mówił tatuś, i“—obtarła się o niego jak kotka—„bardzo panu w mundurze do twarzy,—i lejtnant u Niemców to tyle znaczy, wciąż będzie panu przydatnym w karyerze...“

Po niej wpadł na szambelana, robiącego w towarzystwie obywatela o wyszarpanych kołnierzykach, byłego właściciela ziemskiego, Makockiego, przegląd piękności kobiecych na tej linji.

„A, doktorek,—będzie wojna?”

Powtórzył i temu swoją przygodę. Trochę niejasno zaświeciło mu w głowie, że szambelan ma duże stosunki, z prezydentem policyi chodzi pod rękę i może jakoś potrafi, jeżeli zechce, go z tej historyi wypłatać, tak żeby był wilk syty i owca cała. Oczywiście to było głupstwo, i szambelan wyprowadził go zaraz z illuzji.

„T-hi, cóż pan chcesz być,—ein polnischer Seeulan, jak Koschelski-Admiralski?—Ino bądź rad, że ci niemcy tacy przyzwoici ludzie...”

Prawda, przypomniał sobie, że gdy Wilhelm II po słynnej mowie o czelności polskiej zjeżdżał do Poznania i społeczeństwo całe wyglądało od tych, którzy dworskie pruskie urzędy posiadali, żeby wybrali pomiędzy dworskiem sługusostwem a godnością narodową, tak, jak imieniem cesarza ministeryum dworu dawało im ten sam wybór, ściągając telegramami tych, którzy próbowali skryć się pod

wode, — ten sam szambelan, na którego społeczeństwo, mające z nim już dawne porachunekczki, z tem większą spoglądało odrazą, zarezykował, pomimo pogróżki kijów, pierwszy się bez prynuki stawić i, chociaż kamienie posypały się do szyb dorożki, mężnie przez młoch polski przejechał. —

— Żółtowski cisnął ministeryum pruskiemu fraczek szambelański pod nogi. —

Nieszczęście Mieczysława chciało, że tego dnia miał się do skutku nadziać w swoim mundurze na wszystkich możliwych, bliższych i dalszych, znajomych. Widział kilka spojrzeń niepewnych, kogoś odwracającego się wprost pogardliwie. Pani Marjetta Grabowska z bratem wychodziła z składu bławatnego. Znali się dotąd tylko z widzenia i pierwszy raz miał przynależną do szarej rękawiczki, intrygującej go tak pierwszego wieczoru jego pobytu w Poznaniu, wysoką, smukłą i elegancką figurkę osławionej piękności tak blisko o dwa kroki przed sobą. Miała pyszne blond włosy i oczy nieco przygasłe o powłóczystem spojrzeniu. Niby odżywając przelotnie ciekawością czy prądem zmysłowym, błysnęły ku niemu tak, że mimowoli po żołniersku stanął frontem.

Odwróciła się wtedy, nie patrząc na niego ale powoli, kokieteryjnie, pozwalając mu napić się wzrokiem konturów jej kibici, i poszła dalej.

Panią Marjetę miał szczęście niebawem oglądać u siebie, jako szukającą porady. Ogólne zdenerwowanie, bezsenność. Była bez brata. Gdy zaczął ją badać, opukując i osłuchując bardzo dokładnie, patrzyła z zimną ciekawością, gdy się palce doktora, trochę drżące, przesuwały po jej atlasowej skórcie. Zajrzała mu przytem raz prosto w oczy tak, jak wtedy na ulicy, ale w tej chwili zapięła spokojnie stanik i zapowiedziała dość wyniośle, że dalszym badaniom się nie podda.

O tej wizycie wiedziało nazajutrz całe miasto. Widział to z Pauliny piorunującego wzroku, przed którym zmykał, nie mając ochoty wysłuchiwać po raz drugi zdania jej o „ścierce“.

Ale gorzej zirytował go Zaklika. „Wiesz, pani Grabowska twierdzi, że jesteś—gapa!“ Śmiał się, ubawiony widocznie jakimś komicznym utrawestowaniem auskultacyi, które pani Marjetta musiała puścić w kurs.

Masz tobie, podług Pauliny gapa i podług pani Marjetty gapa,—pokaże im w karnawale!

Z wystąpieniem z Straży Mieczysławowi różni radzili różnie. „Jak się możesz nawet wahać, — kpij sobie z pruskiej lejtnanckiej skóry!” albo „to już każdy z własnem sumieniem musi załatwić“, ale wielu: „ustąp pan,—jako na lekarza, tysiączne sposoby mają, żeby ci zaszkodzić“.

Sam przed sobą Słuszewski przyznawał się w duchu, że mu troszkę żal było i munduru, w którym, jak stwierdziła Paulina, jego z gruba ociosana niska figura wydawała się smuklejszą, i więcej utraty tego nimbu i faktycznego znaczenia, który ma dla Niemców „lejtnant“,—doszła do tego jeszcze uwaga, którą ktoś zrobił, że może nawet w interesie Straży lepiej nie robić z tego faktu kwestyi gabinetowej; tylu do Straży należy rezerwistów, chociaż nie w randze oficerskiej,—nuż i tym sprowokowani zakazą członkostwa? Koniec końców z list jej dał się wykreślić, i część znajomych mu to zdecydowanie zganiła, część pochwaliła roztropność. Jemu pozostało mianowicie to wrażenie, że dosięgło go przy pierwszej próbie korzystania z swych praw obywatelskich żelazne, przygniatające ramię państwa pruskiego.

Inna wizyta pacyenta dopowiedziała mu że się od lekarzy czasem różnych rzeczy wymaga. Stara baba, Marjanna Olejnikowa, którą mu matka zgodziła jako kucharkę i służącą w jednej osobie, - i z wyjątkiem przesadzonych porządków i przekładania mu wciąż książek na biurku był zupełnie z pocziwej duszy zadowolonym, - zameldowała mu pana „hrabiego“ Włastowskiego; jako poznańskie dziecko знаła wszystkie wybitniejsze rodziny prowincyi, a Włastowscy hrabiami się pozwalali tytułować chociaż bez uprawnienia do tego, i byli nimi dla gminu.

Sprzedaż Włastowa na kolonizację stała się tymczasem faktem dokonany. Mówiono, że Włastowski chce przynajmniej, aż pokąd pierwsze larum przeminie, wyjechać za granicę, ale po synu okazało się tyle długów, że podróż wpadła w wodę, i Włastowscy odrazu sprowadzili się na bruk poznański z synem, graczem nieuleczalnym. Sprzedawczyk bywał i co wieczór w Kasynie gdzie nie tylko uniewinniano go, ale go wprost brano, irytując się na tych przeklętych dziennikarzy, w opiekę. Jednakże Słuszewski słyszał, że Zieliński na obiedzie w Bazarze bronił zasady, co prawda

faktycznie nigdy nie wykonywanej, że sprzedawczykom nie powinno się ręki podawać, i, przyznając Włastowskiemu łagodzące okoliczności, chwalił przykład tych dwóch jedynych rodzin w Wielkopolsce, które miały publicznie odwagę wyrzec się wszelkich dalszych związków z winnymi krewniakami, Bnińskich i Grabskich, gdy większość wściekała się na drukowany spis sprzedawczyków, Czarną Księgę, zawierającą nazwiska, niektórych rodzin w pół tuzinie wypadków, i będącą smutnem uzupełnieniem herbarza Niesieckiego.

Włastowski był tem wszystkiem strasznie przygnębiony. U doktora wprost zaczął od zapytania, czy człowiek odpowiedzialnym jest za to, co czyni w rozdrażnieniu nerwów; sam nie wiedział, co zrobił, podpisując kontrakt sprzedaży. Z trudnością Mieczysław zdołał mu wyperswadować niefortunną myśl zrozpaczonego mózgu, szukania pod osłoną jego autorytetu lekarskiego publicznego przebaczenia winy.

Miał litość nad nieszczęśliwym, ale z tem wszystkiem już sam tak zaczynał przesiąkać atmosferą prowincjonalnego miasta, gdzie dyskrecya lekarska, jak wszelkiego rodzaju, jest

wprost braną za złe, ulatniając się pomiędzy południowym spacerem na placu, przez poobiednią kawę w kawiarni, do wieczornych plotek klubowych, że nie zachował sekretu tej wizyty.

„Aj waj“, zakrzyknął Starzecki „jabym sobie co robił z te hałasy i krzyki!—ale doktorku, co chciała u ciebie Marjetta la bella!—wdam się w to, pamiętaj, że i ja jestem jakoś przez babki jej krewny!“

Mieczysław był podejrzliwym i, nieznając jeszcze tego typu kobiet, które wtedy są najpochwytniejsze, gdy się wydają najmniej pochwytnemi, ustalił w sobie zdanie, że piękna pani tylko żartuje sobie z niego, i powiedział sobie, że nie będzie więcej na nią zważał.

VII.

Nad ścieśnionym już i tak, maluczkim skrawkiem horyzontu polskiego, wsuniętym pod kopułę potężnych Niemiec, zaczęły się ściągać chmury coraz gęstsze, coraz czarniejsze, zalewając pozostałe łany ziemi polskiej ulewą germańską, przycinając przy korzeniu gradem wnikaających w najskrytsze tajniki życia prywatnego reskryptów i zarządzeń wszelkie objawy myśli polskiej, uderzając piorunami ustaw wyjątkowych w podwaliny życia narodowego i druzgocząc je. Nici siatki praw i przepisów, któremi państwo policyjne, jakim od Fryderyka Wielkiego są Prusy, opiekując się każdym krokiem traktowanych jak nieletnie dzieci poddanych, trzyma każdego z nich na ciągłej uwięzi, na „kresach wschodnich“ pogrubiały do postronków, w których miało się wkrótce miotać całe społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim bezsilnie, jak ryba na piasku,

Skorczyński

pod zawisłą nad nią dłonią rybaka pruskiego, niemcząc się jeżeli nie językiem, to duchem. Nie bez własnej winy. Odcięte kordonem granicznym od rdzenia pod zaborem rosyjskim, nie próbowało w ostatnim pięćdziesiątku lat utrzymać czy utworzyć sobie luki, któremiby przez wzniesiony zaborczą dłonią obcych rządów mur chiński przenikać mogła doń od pnia myśl polska, ta myśl, której żaden mur nie powstrzyma,—straciło kontakt z resztą kraju, sprowincjonalizowało się i zlokalizowało w własnych interesach i dążeniach. W wielkiej, jasnej postaci nie tylko żołnierza i wodza ale dyplomaty i polityka o szerokim widnokręgu złożyło Księstwo do grobu w Winnogórze ostatniego z prawdziwie wielkiej miary swych synów, Dąbrowskiego, poznańczyka, syna niemki, co przez rzeki i morza dążył przez Poznań do Warszawy, serca Polski, myślą i szablą, słowem i pracą. Ale wnukowie jego maleli. Nie dorósł mu już ani Działyński ani Niegolewski Władysław. I oni pojmowali jeszcze Polskę jedną, choć granicami rozdartą, od morza do morza, ale i dalszą im już była jej postać dawna, mgląca się w przestrzeni lat, i sercem tak, ale głową nie sprostali tamtemu

i ulegali otoczeniu, coraz więcej dającym bezwiednie, pod wrażeniem przynależności politycznej, przystęp wpływom cudzym z zachodu niemieckiego a odstającym od bratnich polskich z wschodu. Jednakże właśnie połowa dziewiętnastego wieku, lata po 1848-ym, stanowiły pewną regeneracją idei narodowościowej, usypiającej już pod systematycznym, a, pomimo szeregu procesów politycznych i ukracania swobód i praw, lżejszym dla jednostek, niż w tamtych dwóch zaborach, naciskiem polityki germanizacyjnej. Hohenzollernowie zbierali już owoce przezornej dewizy swych rządów: *Fortiter in re, suaviter in modo*. Polacy garnęli się do służby w dyplomacji, wojskowej i rządowej, niemcząc się w niej raz po raz. Do Podbielskich, Bogusławskich, Leszczyńskich, wnuków kadetów, których jeszcze Fryderyk przemocą kazał zabierać z domów rodzicielskich, przybyli Radolińscy, tymczasem jeszcze z polską końcówką, nim mieli zostać czysto pruskimi Radolinami. Wielu starszych obywateli owej epoki lepiej i chętniej mówiło po niemiecku, niż ojczystym językiem. Ruch 48-go roku, chociaż czysto lokalny i w związku z rewolucją Niemiec, czy jednak rozbudził

poczucie narodowe, czy właśnie pod on czas żyjąca generacya należała do dzielniejszych; dość że wtedy wyszło hasło ratowania usilnego tego, co jeszcze pozostało z dóbr narodowych, materyalnych i duchowych, mnożenia ich—cichą skrzętną pracą, podniesienia stanu mieszczańskiego, uświadamiania ludu. Obok wymienionych już przodowników Marcinkowskiego, Potworowskiego, Libelta, cały zastęp dzielnych obywateli wyteżał swe siły w urzeczywistnieniu tych celów. I zostały one w znacznej części osiągnięte przez owo i następne pokolenie. Lud, nad którym pracowano usilnie, mianowicie w Kółkach włościańskich, stał się najsilniejszą warownią polskości, wkłady do kas i uczestnictwo w przedsiębiorstwach kupieckich przyczyniły się niemniej do podniesienia mieszczaństwa, jak ogólny rozwój ekonomiczny coraz potężniejszych Niemiec. Przystano się wyzbywać z lekkim nieraz sercem ziemi, ustały subhasty polskich majątków przez landszaftę, udzielaniem wysokich pożyczek wprost spekulującą na przysłowiową u Niemców lekkomyślność polską i „polnische Wirtschaft“. Na polu umysłowym miała Wielkopolska swego Cieszkowskiego, Koźmiana, całą

plejadę poetów, epigonów Mickiewiczowskich. Gdy syn obywatelski, zmuszony naciskiem i przykładem ogółu prowadzić protokół na zebraniu wyborczym, podpisał się na nim jako chrabia przez „ch“, wyśmiewano go nielitościwie, a gdy dopuścił się postępku nieobywatelskiego, pan Gustaw Potworowski zawieszał nad nim słowem swej nagany infamię towarzyską.

Ale gdy zbrakło tych przywódców, uznanych przez całe społeczeństwo, nie znaleźli się nowi tej samej powagi oraz miru. Grzmiał jeszcze Kantak z trybuny, ale ani Koło poselskie w Berlinie ani najwyższa narodowa władza na Księstwo, Prowincjonalny komitet wyborczy, ani, po śmierci Marcinkowskiego, już zgoła Resursa Miejska, ni czysto klubowy, obywatelski „Szlachecki“, ani żadna pojedyncza jednostka nie połączyła w sobie tej powagi, żeby móżdż prowadzić społeczeństwo, chociażby próbować tworzyć opinią. Szło jeszcze wszystko dawnym, ustalonym trybem z systematycznością i rutyną, przyswojoną sobie z wielkim pożytkiem przez Poznańskie z wzorów niemieckich, ale tymże samym wzorem żywotne pojęcia wolności i prawdziwego pa-

tryjotyzmu schodziły do czczości form i w nich nieraz zamierały. Więc w miejsce obywatela, pracującego z zapalem nad młodszą bracią a który znał i „Ojcie Nasz“ Cieszkowskiego i w „Księgach Pielgrzymstwa“ widział działań swych, konfederatów barskich, gnanych w lody Sybiru, pojawiać się zaczął aż nazbyt często typ, nie uchylający się co prawda od musowej pańszczyzny bywania po chłopskich wiecach, ale traktujący to, jako rzecz, robioną obowiązkowo z względu na tradycję i, aby przecież mu zaniedbania nie wytknięto, a kulturę duchową czerpiący, o ile wogóle „przynaszej najważniejszej trosce o pomnożenie dobrobytu jednostki a razem społeczeństwa“ jej nie uważał za rzecz zbyteczną albo zgoła godną pogardy, z teatrzyków berlińskich i sympatycznej literatury kolejowej. „Das Buch der 100 Witze“. Ta, u wielu jako jedyny ideał z pomiędzy rzędu dawnych pozostała, gloryfikowana jednostronnie, jako tak przednia cnota obywatelska, że wobec niej brak innych jest nieomal pożądanym, skrzętność w zbieraniu grosza, w następstwie mająca sądenie ludzi li tylko podług ilości tegoż, bez względu na to, w jaki sposób zebrany, cechy typowo prowin-

cyonalne a spotęgowane w Księstwie w imię hasła „bogaćmy się“, gorliwie akceptowanego przez te wszędzie liczne jednostki, którym z niem było najwygodniej, bo, li tylko wypełniając własną kieszeń, promowały się na najprzedniejszych obywateli, rzucaną nawet nieraz było z dumą jako niedoścignięty przykład sąsiedniemu Królestwu, nie mogącemu się, w nierównie gorszych warunkach politycznych i ekonomicznych, podnieść po katastrofie 63-go, która kraj zrujnowała na pół wieku.

Od tych biedaków z za Torunia,—głupców czy lekkomyślników,—zapożyczać chociażby tylko tak zwanych skarbów duchowych!

— Na tak już podminowany grunt padło pierwsze złoto kolonizacyi, straszna pokusa dla ludzi, dla których właśnie w około tego metalu skupia się cały i jedyny interes życia. To też odrazu posypały się majątki na kolonizacyę. Pierwszy jeden z Mielżyńskich, zkądinąd zasłużony i szanowany obywatel,—sprzedał Ryńsk i—nie wzięto mu tej operacyi finansowej,—miał za wiele ziemi, żeby ją mógł utrzymać a o polskiego nabywcę, któryby dobrze zapłacił, było trudno,—tak dalece za złe. Niekrologi czciły go jako jedną z chlub

Księstwa. Poszły setki majątków innych zanim się opamiętano, zanim zdrowsza moralnie część społeczeństwa ustaliła zdanie, że fakta takie dobrowolne zawsze są hańbą i że wymówka, iż tylko w ten sposób można było jeszcze uratować część mienia swego, a więc i narodowego, jest żadną, gdyż wiele mniejszem nieszczęściem, jeżeli owa jednostka, a nawet przez nią inne, straci swoją część w ogólnonarodowem bogactwie, niż gdy szmat kurczącej się wciąż ziemi polskiej przejdzie w ręce niemieckie bezpowrotnie; tamto się wrócić może, a to już nie. *Coûte que coûte* trzeba się więc trzymać kurczowo ziemi do końca, ulegając chyba komornikowi.

Raz ochłonawszy, rzucono się też do obrony i do przeciwalki. Okoliczności sprzyjały. Z „Saksów“, Westfalji zaczynały napływać talary, uciulane przez chłopą polskiego, którego niespożyta siła roboczą rozwój rolnictwa i przemysłu niemieckiego umiał ocenić, bez której się nieomal nie mógł obyć. A chociaż przyłgał tam jeden i drugi na zawsze i Maćka Grzechowiaka dzieci już jako sztygar Albrecht Grschechowiack i Dienstmaedchen Elsbeth Greckowjak pozostały jedno za Bochu-

mem, a drugie w Hanowerze, a Nowak Jan jako Hans Nowatzki trzymał doskonale prosperujący skład cygar w Hamburgu, jednakże, wychodząc z kraju, każdej chłopskiej duszy myślą i marzeniem było, uzbierawszy grosza na obczyźnie, kupić potem doma kawałek gruntu. I większość to wykonywała; pieniądze nadchodziły do pozostałych w domu starych, to do brata czy śwagra, — do proboszcza, gdy fameli nie bardzo uważał wychodźca za przeznaczone dowierzać. A chociaż początkowo one talary wędrowały w węzełkach do skrzyni, — za radą proboszcza i dziedzica, a potwierdzeniem obeznanych już z tamtejszemi kasami oszczędnościowemi właścicieli, poczęły napływać do podobnych polskich kas. Patronem tychże po części bywał ksiądz, a prałat Wawrzyniak, domorosły ekonomista, jeździł po całym Księstwie, rewidował i utrzymywał porządku, aż się Niemcy dziwowali. Ludność mniejszych miasteczek Poznańskiego bogacieć się zaczęła, gdy siła kupna okolicznego włościanstwa wzmogła się i kupiec znajdował coraz większy odbyt na swoje towary. By sam mógł robić tańsze i większe zakupy, kredyt gotówkowy okazał się koniecznym, kredyt,

którego, wobec dobrze prosperującego interesu, odpowiednie instytucje mogły mu śmiało udzielać; tutaj więc kasy te przechodziły w typ Spółek zarobkowych. Pieniądze więc były ogólnie i chęć kupna. Poczęto parcelować wsi szlacheckie z doskonałym politycznym i finansowym rezultatem. Tam gdzie ratunkowy Bank Ziemski, z natury rzeczy ciężka machina, jako instytucja polska, quasi publiczna, skrzępowana tysiącznemi obwarowaniami grosza akcyonaryuszy, nie mógł dotrzeć, działały lotniej banki parcelacyjne prywatnego charakteru i pojedyncze jednostki o zmyśle spekulacyjnym.

Z drugiej strony i ziemianie sami kupowali niejednokrotnie od swoich i od Niemców. Wyjątkowo szczęśliwa konstelacya zawisła nad rolnictwem niemieckiem w ogólności. Rząd, przestraszony rozwojem socjalizmu, tem silniej się chciał oprzeć na swoich, z natury rzeczy konserwatywnych, posiadaczach rolnych, zabezpieczając im wszelkie możliwe korzyści. Zamknięta wciąż od wwozu bydła, pod pozorem imaginacyjnych chorób, granica rosyjska pozwalała na znakomicie rentującą się tucz, i woły poznańskie tysiącami szły do Berlina. Pod patronatem rządu, jak twierdzili socjaliści,

zabezpieczony wysokimi cłami od zagranicy, powstał syndykat spirytusowy na całe Niemcy, normujący ceny alkoholu dowolnie. Prawie każdy większy majątek poznański miał tradycyjnie gorzelnię. Ziemie kujawskie i kościańskie równie chętnie rodziły buraki jak pszenicę; cukrownie dawały dywidendy niebywale. Rzeczywistość zadała najzupełniejszy kłam czarnym przepowiedniom najsłynniejszych niemieckich ekonomistów z przed lat zaledwie dwudziestu, — jak Schmoller i inni, że ziemia w Niemczech, wobec konkurencyi importu produktów rolnych, w innych częściach świata kilkakroć mniejszym kosztem zbieranych, spadnie do roli przedmiotu, mającego wartość tylko dla amatora, nie pokrywając kosztów uprawy, dając, jak w Anglii, jako pastwiska, zaledwie 2^o/_o renty. Stało się wprost przeciwnie: gospodarstwo zrobiło się doskonałym interesem, złotodajnym. Od importu zagranicznego zasłoniły się potężne Niemcy dowolnymi cłami, w kraju robiły wszystko ku protekcyi rolnictwa. Krzyżeli socjaliści na niesprawiedliwe, krzywdzące ludność, zwłaszcza fabryczną, sztuczne podrożenie najpierwszych artykułów spożywczych, — w interesie państwa nie leżało

powiększanie ludności fabrycznej, socjalistycznej.

Z warunków tych korzystało obficie, wyłącznie rolnicze, Księstwo, intensywniej nawet znacznie, niż czysto niemieckie prowincye. Już dzięki zakupom, czynionym przez kolonizacyę, ceny ziemi tutaj zaczęły się podnosić, a z niemi kredyt, pożądany w dzisiejszych warunkach intensywnego gospodarstwa, niezbędny dla niezaopatrzonego w dostateczną gotówkę rolnika. Gdy jeszcze rozpoczęła się parcelacya na rzecz ochoczych do kupna chłopów polskich a za tem konkurencyja i rywalizacya niemieckiego i polskiego kupca, nastąpiła haussa ziemi niebywała. Kto w tradycyjnej taksie piędziesięciu talarów za morgę wziął po rodzicach majątek, widział, że niebawem w całym Księstwie niżej stu talarów morgi najlichszej ziemi dostać nie było można. Ale jeszcze, wobec niesłychanie korzystnych warunków produkcji, był interes kupować, gdy wygospodarować można było wyższe procenta. Ci, co mieli oszczędności, a śmielsi korzystając z kredytu, kupowali, gdy się tylko nadarzyło,—póki czas.

Walka wahała się w stratach i korzyściach; tylko że nabytki kolonizacyi pozosta-

wały stałą stratą dla polskiego stanu posiadania. Te ciągle tranzakcje ziemią miały jeszcze jedną, ujemnie pod względem moralnym na też moralność publiczną polską oddziaływającą stronę. Ziemia, na którą każdej chwili można było znaleźć nabywcę,—nie koniecznie kolonizacyę,—jako na rzecz, mówiąc po kupiecku, będącą w handlu, nabierała w oczach wielu charakteru po prostu waloru, po który wystarczy tylko sięgnąć do szafy żelaznej, żeby go spieniężyć czy wymienić na inny, papieru procentowego, którego wartość podług kuponu przeciętnych dochodów ma ciągły kurs giełdowy. Musiało uciepieć na tem przywiązanie do tego zagona właśnie, na którym się urodził jego dziedzic, łanu, zlanego krwią i potem ojców, gdy mimowoli brało się go, pod wpływem ciągłych sprzedaży i zakupów majątków sąsiednich, najwięcej pod kątem widzenia wartościowo-dochodowym.

Jednakże sprzedawczykowie, gdy się z właściwą charakterowi poznańcyków, pokrewną niemcom, powolnością, ustaliło, głośnie przynajmniej, na nich oburzenie, bo po cichu uniewinniano chętnie, byle były jakieś ku temu pozory, mieli teraz trudniej. Zjawili się usłudźni

ajenci, pośrednicy, podstawione figury kolonizacyi, hommes de paille, zrazu niemcy, niby „uczciwi“, wpędzce i polacy, zbankrutowani obywatele, młodzieńcy-utracyusze. Tu już było niezawsze łatwo namacalnie stwierdzić winę sprzedającego. Czasem, gdy tenże gotów był z sutego zarobku kilka tysięcy dla zatuszowania skandaliku poświęcić, przesuwiał się taki majątek przez tytularnych dwóch, trzech właścicieli, kolonizacya, nie chcąc sobie utrudniać interesów na przyszłość, pozwalała upłynąć kilku, kilkunastu miesiącom, nim w księdze hipotecznej zaczęło: właściciel Königliche Ansiedelungs Kommission.

Ale mianowicie parcelacya polska pomiędzy włościan nie ustawała, i wtedy, przy już odzywających się głośno radach hakaty chwyćcia się najradykałniejszego środka, wywłaszczenia, systematyczny rząd pruski po pierwszym zamachu na prawa boskie i ludzkie, jakim była ustawa kolonizacyjna, użytkująca pieniądzem po części wybranym z kieszeni tychże samych poddanych, przeciwko których bytowi użytek tych funduszków był skierowanym, przeszedł do drugiego, mianowicie do ograniczenia praw wolności osiedlania się na

kupionym przez kogoś kawałku ziemi przez rozporządzenie, że, ktokolwiek chce budować dom mieszkalny na nowo utworzonej parceli, musi się wykazać pozwoleniem—zależnem od prezesa komisji kolonizacyjnej. Projekt prawa wywłaszczenia tymczasem leżał gotów,—opinia publiczna niemiecka nie była jeszcze do przyjęcia go należycie przygotowaną, ale obrabiała ją systematycznie setki i tysiące gazet rządowych i półrządowych, broszur i pamfletów, przedstawiających polskie niebezpieczeństwo, zasilanych z tajnych funduszy rządowych lub których wydawcem i redaktorom wdzięczyło się poparcie rządu i orderowa wstążeczka.—Tymczasem po mających być niebawem zagrożeniami domach wiejskich panował spokój.

Dom mieszkalny w Lipnie u Łużyckich był jednym z tych pałaców, na które sadzono się w Księstwie za pieniądze landszaftowe w połowie zeszłego wieku, z pretensjami wielkopańskimi, za wspaniały na posiedziciela kilku tysięcy morgów, a będący jednakże tylko minjaturą tych magnackich rezydencji, jakich miał wzbudzać pozór. Dom cały był długi, piętrowy, z wieżyczką w jednym rogu, na której sterczał nawet drąg do chorągwi, jaką na

feodalnych zamkach wywieszają na znak bytności pana w domu. Jednakże, na szczęście, flagi tej zdaje się zaniedbano wykroić i drąg sterczał smutny, śmieszny trochę. Ostatecznie z daleka można go było wziąć za praktyczniejszy piorunochron. Wszystkie pokoje, z wyjątkiem wystającej sieni, pozującej na hall, były, z zachowaniem zresztą tradycyjnego rozkładu polskiego domu wiejskiego,—od jednego skrzydła gabinet pana, z bocznem wejściem dla interesentów gospodarskich, na drugim, poprzedzana buduaem, sypialnia, dalej pokój dziecinny, pokoiki służby i kobiece gospodarstwo,—zbudowany jednakże w amfiladzie, w ten sposób, że pokój jadalny i dwa salony, większy i mniejszy, na przestrzał prowadziły długą linią z jednego końca budynku do drugiego. Obliczone to było na efekt przyjąć, gdy wieczorem oświetlone à giorno pokoje od gabinetu pana aż do sypialni, szklannymi drzwiami tylko oddzielonej, łączyły się w jedną przestrzeń, którą można było równocześnie okiem ogarnąć, —ale do codziennego użytku rozkład ten nie był zastosowanym, przez rozciągnięcie, w innych domach skupiających się więcej dośrodkowo, pokoje rozdzielając znajdujących się

na przeciwległych rogach mieszkańców prawie że już podróżą do odbycia. To też ojciec obecnego właściciela, syn tytułowanego jeszcze czasem podczaszycem Napoleona Łużyckiego, oficera z 1830-go roku, sam także Napoleon, człowiek bardzo elegancki a dowcipny, który jedynie jedną rzecz niedowcipną w życiu, mianowicie tę budowlę popełnił, nazywał wieczorną peregrynację z swego fumoiru do sypialni, do której podobno nie zawsze wpuszczała go piękna, ale kapryśna małżonka, pielgrzymką do ziemi obiecanej lub też drogą cierniową. Tenże pan Napoleon już zręcznie o dziadku, podczaszym tylko powiatowym, mniej wspominał, za to ojciec jego, jeden z tych, co się przecież z Księstwa do rewolucyi przedarli i chlubnie w randze oficera z niej wyszli, pozostał ozdobą i właściwym antenatem rodziny. Więcej jednakże blask tejże prowincjonalny podniósł się przez ów, w następstwie czasem osobiście dokuczliwy, mariaż z piękną i bogatą panną Pelagią Słonimską, której rodzina nie magnacką, ale senatorską była bez zaprzeczenia i to nietylko w tem znaczeniu, że któryś tam przypadkiem, z szwedzkiej, czy saskiej łaski wojewodą zamianowanym został, ale li-

czyła w dodatku szereg kasztelanów w różnych epokach ostatnich wieków, zaś, jako wyższą ozdobę, nawet kanclerza jednego. Z wszystkim tem razem daleko jej było do owych kilkunastu rodzin królewiat, dzierżących w swych rękach ongi losy rzeczypospolitej, i w pantoflach przeszła przez historię, ale, że ten los dzieliła z całą niemal szlachtą wielkopolską, ziemiaństwem miennem, lecz i w rycerskiem i w politycznem życiu rzeczypospolitej nie odgrywającemu, od czasów wymarłych w głównych linjach Górków i Opałińskich, żadnej dziejowej roli, więc, gdy na bezrybiu i rak ryba, w poznańskiem liczyła się bardzo wysoko. To też pan Napoleon nieochybnie byłby tak świetnej partyi nie zrobił, gdyby panna ostatecznie kaprysami swemi nie poodstraszyła była wszystkich, tak że nakoniec palmę zwycięską ale i męczeńską uzyskał. Wziął z nią duży posag i nim wydatki na pałacową budowę wyrównał, tak że Lipno pospolitej klęsce subhasty się oparło. Gospodarzem jednakże nie był tak znamienitym, jak obecny jego właściciel, pan Włodzimierz, który dopiero, z sprzyjających warunków umiejętnie korzystając, doprowadził je do wysokiej

kultury, tak że był człowiekiem dostatnio zamożnym. Ale dzieci było aż jedenaścioro, w czem dziewięć córek, a, że z synów oczywiście starszy miał się przy Lipnie utrzymać, młodszemu trzeba było chyba coś kupić, więc ojciec, wdowiec od lat kilku, miał się co kłopotać o ulokowanie córek, ładnych prawie wszystkie, ale co do których nie bardzo było wiadomem, czy będzie mógł im dać zwykłe sto tysięcy marek, dawane dziś przez najmienniejsze rodziny poznańskie zmuszonym do ustępstw na korzyść braci córom w miejsce, jak biadała młodzież, tych pięćdziesięciu tysięcy, ale talarów, które miała ongi najprostsza szlachcianeczka. Najstarsza jednak Helena wyszła przed kilku laty, finansowo średnio, bo mąż jej Daś, czyli Adam Żarkowski siedział tylko na jednej niewielkiej wiosce, pozostałej z kilkudziesięciu, które niegdyś posiadała ta rodzina, i majątek był lichy, wymagający ciągłych wkładów,—pesymiści przewidywali, że teść będzie musiał dokładać,—ale był porządny chłopiec, znali się od lat dziecinnych i kochali. Teraz na wydaniu była Jadwiga, i to już od lat dwóch, a z kolei następująca Frania, tak śliczna, że gasiła urodą przystojne bardzo, obydwie starsze

siostry, gdyby się wakans już był otworzył, byłaby już w tym roku puszczoną na tor, jak się wyrażał szwagier, koniarz. Ale, o ile szybko poszło z Helenką, bo pierwszego swego karnawału użyła już jako mężatka, o tyle Jadzia biegała, podług orzeczenia szwagra, już dwa razy bezskutecznie. „Bo, jak kto chce koniecznie wziąć Derby...” — docinał jej, irytując się, że parę razy przykładał ręki napróżno do różnych projektów matrymonjalnych, — „zobaczysz, że osidziesz na koszu, będziesz mieszkała u nas i zrobię cię klucznicą, bo kawkę przyrządzasz lepszą od Heli!” «Rzeczywiście szkoda by było, gdyby tak piękny talent się zmarnował!» odpowiadała ironicznie «Słonimska». Tak ją nazywano czasem w rodzinie, trochę chcąc jej dokuczyć przypomnieniem babki, do której portretu w istocie ogromnie była podobną, a której kaprysów pamięć przechowała się w tradycji. Żarkowski nawet, najotwartszy jako najdalszy i upoważniony do tego własnem starem drzewem genealogiczem, twierdził otwarcie, że, o ile jemu wiadomo, to babka ta miała myszki, przyznawał jednakże chętnie, że Jadzia ma je tylko na punkcie małżeństwa. Fizycznie, chociaż ustępując urodą

Frani, przedstawiała typ najwydelikaceniej arystokratyczny, i to, może nieświadomie, godziło z nią znowu szwagra. Przebaczył jej ostatecznie, że iść nie chciała za asystującego jej przez pierwszy karnawał zawzięcie, ściągniętego drogą pośrednictwa znajomych aż z Wołynia konkurenta, notorycznie tak bogatego człowieka, że mógł wykupić kilku poznańskich większych właścicieli razem; nie był mu osobiście sympatycznym, bo był wnukiem ekonomów, i pod europejską politurą i salonowością taką, że na tem polu Żarkowski czuł się pobitym o kilka długości, Daś podejrywał go o bezwzględność w domowem pożyciu, aplikując słusznie czy niesłusznie przysłowie o tatarze, którego się pod tym „moskalem“ napewne dodrapie,—zresztą człowiek był starszy, hulaka, opowiadano historye o formalnym seraju, który jakoby utrzymywał u siebie na wsi,—puszczać tę Jadzię tak daleko, zupełnie odosobnioną od opieki rodziny, dla teyże tey bez korzyści z tak odległych stosunków,—ojciec tey byłby wydał córkę najchętniej w Poznańskiem, a już ostatecznie do Galicyi, ale tam w te mityczne kraje, których nikt nie znał na prawdę... Ktoś, który nie tak dawno, bo zaledwie przed kilku-

nastu laty, jeździł w interesach sukcesyjnych do Kijowa, twierdził co prawda, że to są zupełnie cywilizowane okolice, aje... „A nuż mu kiedy wszystko skonfiskują, to tam takie niepewne stosunki...” konkludowała wychowująca panienki stara nauczycielka, dziś więcej dame de compagnie, panna Tekla, która, krótko po 63-ym, była u Platerów na Inflantach. I za śmiałem byłoby może twierdzić, że to zdanie przeważało, ale w każdym razie, gdy konkurent, którego Jadwisia z wielkim taktem nie dopuściła do deklaracyi, zniknął z widowni, młodsze rodzeństwo, nie czujące sympatyi do „starego dziada“, powitało ten stwierdzony fakt okrzykiem pochwalnym, że Jadzia odesłała tego pana „do niedźwiedzi“.

„Il n'y a pas des ours en Wolhynie“ — poprawiała panna Tekla; fraucuskiego języka używano zresztą w Lipnie nie dla mody, tylko dla wprawy, i panienki, zwłaszcza starsze, posługiwały się nim chętnie pomiędzy sobą, rozumiejąc potrzebę płynności i czystości akcentu w świecie, w którym się obracały.

„Si, si, - il y en a pourtant en Russie“, — upierała się jedna z młodszych.

„Nie en Russie, — Wołyń to Russie?“

„Ach, to te niemądre siostry Urszulanki w Wrocławiu tak nam się kazały uczyć, - niemki!“

Panna Tekla pominęła nieestosowny epitet „niemądre“, przyczepiony bezbożnie do zakonnic, w imię patryotyzmu milczeniem, skonstatowała tylko, że więc na Wołyniu nie ma niedźwiedzi.

„Si, si,—il y en a là bas“, dźwięczał młodziutki głosik, „et des blancs et des noirs et des bruns“...

„Et des jaunes...“ dodawał jeszcze młodszy.

„Comment des jaunes? As tu jamais vu un ours jaune?“... śmiała się któraś z starszych.

„A ty w ogóle czy kiedy jakiego niedźwiedzia widziałas?“ tryumfowała mała, — „chyba jak go oprowadzają u nas po wsi na Wielkanoc“...

„Ne vous querellez pas, mes enfants“, upominała wychowawczyni. Ale wtedy chór cały zwracał się przeciwko niej; kochały ją, ale znały jej słabość.

„Bo jak pani będzie nas tyranizować, to zrobimy boule de neige!“

Była to groźba straszna, reminiscencya z jeszcze młodszych lat, kiedy ulubioną zabawą, wprowadzoną przez pomysłową, czwartą z rzędu, Kocię, była następująca. Gdy w nie-

dziele, czy na święto, poprzybierano dziewczynki przeważnie w białe, z wiejskim luksusem krochmalu wysztywnione sukienki, szczytem uciechy było zakręcić się na pięcie tak silnie i szybko w koło siebie, że wykrochmalone spódniczki przybierały wygląd koła horyzontalnego i wtedy błyskawicznie, zanim zdążyły opaść, przysiąść na –bieliźnie. Ku rozpacz panny Tekli, ta, jak ją nazywała, nie tylko nieprzyzwoita, ale i niemoralna, zabawa grasowała przez dłuższy czas uparcie w Lipnie, tak że nieszczęsna nauczycielka musiała się odnieść ostatecznie do wyższej instancji, to jest do ojca. Ten, zrozumiałwszy wreszcie z tragicznego opowiadania panny Tekli, o co chodzi, jako człowiek poważnego usposobienia i zajęty wiecznie myślami o swoich interesach,—jak się potem wyraził, zgłupiał na razie i tak długo nie mógł się zdecydować, czy się gniewać, czy się śmiać, aż pieszczotki, uwiesiwszy mu się u ramion, wyjednały sobie ojcowskie przebaczenie. Ale boules de neige odtąd były zakazane. Że jednakże panna Tekla nie bardzo dowierzała, czy jej pupilki, licząc na pobłażliwość papy, który je, o ile miał czas na to, psuł i pieścił, nie przekroczą kiedykolwiek tego przykazu, więc

w wiecznym żyła strachu, i groźba tej okropności przyprawiała ją o nerwy i czyniła skłoną do wszystkich ustępstw. Zresztą z wiekiem te popisy choreograficzne ustawały same i tylko najmłodsze podobno jeszcze czasem w jakim kącie próbowały kontynuować tradycję. Tak twierdził szwagier, dopraszający się często, ale bezskutecznie o przedstawienie *à la sisters Barrisson*. Karały go wtedy pogardliwymi minkami. Ten szwagier zresztą, którego roli w chwili zaręczyn z Helcią sześćioletnia podówczas najmłodsza Misia nie mogła wcale pojąć,—do spoczywającej już w łóżku uszczęśliwionej narzeczonej przybiegła, rozbudzona w nocy przez starsze siostry ważną nowiną, ale nie umiejąc należycie zrozumieć jej doniosłości, w koszulce z zapytaniem: „Helciu, co to jest szwagier?“—był najmilszym towarzyszem zabaw. Przystojny, nie zanadto inteligentny, trochę trącący lejtnantem z czasów, gdy nim był w gwardyi, wesoly. Z nim się tańczyło pierwszy raz „z mężczyzną“, on dokuczał co prawda nieznośnie, ale był i niezbędną wyrocznią w kwestyach męskiego gustu co do wstążeczek i fryzur. Wesolo bywało w Lipnie, chociaż stale jedna czwórka była

w treningu w Wrocławiu, ale te co pozostały „na pastwisku“, ożywiały rozległy dom, którego niepraktyczny rozkład już pan Łużycki gotów był ojcu wybaczyć.

Jedna Jadzia nie ulegała wpływowi szwagra, chociaż towarzysza i jej zabaw dziecinnych. Od czasu rozbicia się drugiego projektu małżeńskiego, tym razem z kandydatem z Poznańskiego, byli z sobą nawet trochę na bakier. Feliś Żętycki był idzio zupełny,—o tem nie było dwóch zdań. Nosił przezwisko dekadent, ale nie w tem znaczeniu, nadawanem powyższemu określeniu przez wzgardliwych, iż bywa to indywiduum hyperdegenerowane umysłowo, tylko wybrano ten wyraz na określenie fizycznej dekadencji człowieka, który mógł służyć za żywy dowód, co znaczy pieniądz, umożliwiający życie i podobieństwo obracania się na wzór normalnych stworów ludzkich osobnikowi, przez naturę skazanemu w innych warunkach na szybki kres. Dziecko tak słabe i chore, tak mało rozwinięte i tak ciężkie do rozwinięcia, że przepłacani lekarze i nauczyciele nieraz oświadczaali swoją bezsilność w obec tego materiału, wysiłkiem pieczołowitości, wygód i ułatwień, opłacanych na wagę złota,

doprowadzone zostało do tego, że żyło i nabyło tyle wychowania i wiadomości, ile wystarczało, żeby nie być odtrąconym przez gromadę ludzką. Ale też tylko tyle. I, pomijając wieczne, wstrętne często, objawy słabości i choroby biednego organizmu, Feliś czytał, trudno jednakże rozumiał najelementarniejsze rzeczy, obracał się i poruszał w towarzystwie jako szczyt tresury, którą można było dać takiemu człowiekowi z minusem, zarządzał nawet gospodarstwem i administracją jednego z znaczniejszych jak na Księstwo obszarów, bo jakichś ośmiu tysięcy morgów pruskich, o tyle, o ile, przydany mu jeszcze przez zmarłych rodziców uczciwy i dzielny administrator niemi zarządzał, ale wszystkiego razem był, niestety, jak sam szwagier to kiedyś nieogłędnie określił, z idziów najkompletniejszy. Była to jednak jedna z pierwszych partyi w Księstwie i cel wzdychań nie tyle panien, ile niejednych rodziców. To też, gdy nie bez uprzedniego porozumienia zobopólnych rodzin i popchnięty wprost przez Żarkowskiego zaczął Jadzi robić kurę w sposób pomimo wbitych w to trochę mózgu, które posiadał, przyjętych formułek towarzyskich oczywiście możliwie

naprawdę niedźwiedziowaty i śmieszny i gdy Jadzia odrazu z oburzeniem zwróciła się ostro przeciwko sprężynie tej kombinacyi, szwagrowi, znalazła nietylko w nim zacięty opór, ale miała przeciwko sobie i ojca.

Ten, sam się ożeniwszy z wolnego wyboru i zaznawszy w następstwie tego dużo szczęścia domowego, przyznawał w doborze małżeńskim rację bytu uczucia jako podstawowemu warunkowi umożliwienia życia z sobą, a nietylko obok siebie, dwojga ludzi, nieodstępnie związanych, ale był rozpowszechnionego zdania, że u kobiety uczucie to znaleźć się może później, chociażby go nie było na wstępie. Wogóle poniekąd liczba córek usposobiała go do traktowania kobiet jako istot trochę niższego rzędu, do których życzeń i marzeń można się zastosować, gdy to jest możliwem i praktycznem, ale ostatecznie można przejść mimo. Sądził więc że zostawił Jadzi dosyć wolności, pozwalając jej odrzucić jeden świetny finansowo maryaż,—nie wolno było tak lekko obchodzić się z drugim. Tu co prawda o uczuciu kiedykolwiek do takiej karykatury mężczyzny, jaką był Feliś, nie mogło być mowy, ale litość przecież jest najwybit-

niejszą ozdobą charakteru kobiecego, zresztą poczucie obowiązku, stworzenie ogniska domowego polskiego, zajęcie placówki narodowej... Co do zajęcia tej ostatniej, to Jadzia twierdziła, nie bez słuszności, że znajdzie się dziesięć innych, gotowych do jej objęcia. W tem utwierdzała ją przyjaciółka jej wierna z lat klasztornych, pomimo dających się teraz coraz więcej odczuć różnic majątkowych i towarzyskich, z którą przecież widywała się, gdy się dało, i korespondowała, Marynia Słuszevska, przecież zabita polka, która jej jednakże, jako niespodziewana sprzymierzona, poddała powiedzenie, grożące, podług ironicznego orzeczenia szwagra, przejściem na złote karty kroniki rodzinnej,—że nie czuje się zdolną do roli pani Walewskiej. Porównanie było trochę śmiałe i ani nie można było próbować wytłumaczyć je Misi, ale w braku lepszych powiedzeń, w które salony poznańskie obfitują znacznie mniej niż innych okolic kraju, zwanego Francją północy, kolportowane było, wyrabiając pannie Jadwini odrazu reputację wyjątkowej inteligencji i dowcipu. Reputacja ta była przesadzoną, gdyż sama zauważyła kiedyś głośno ten brak dowcipnych określeń

à propos, stanowiących salonowo konwersacyjną wyższość chociażby takiego syna parweniuszów, jakim był jej wołyński adorator, nad jej całem otoczeniem. Toż i to bon mot Maryni było sugerowanem przez komplement wołyniaka, porównywający Jadzię zręcznie z urody, litości i zamięłowania do książek do jej imienniczki, królowej polskiej. Niedopowiedzianem zostało, że sam chętnie byłby Jagiellą, ale o niesłusznym epitecie niedźwiedzia, nadawanym mu przez nieżyczliwe siostrzyczki „królowej Jadwigi“, dobrze wiedział.

Szwagier wpadał w passyą, gdy mu wyjeżdżano z takimi porównaniami historycznemi, w których się dopiero z pomocą żony oryentował, a gdy ojciec, któremu pochlebiała jednakże sława dowcipu córki, wyraził raz zdanie, że może tego rodzaju powiedzenie, znamionujące także charakter i wolę, podziela przynęcająco na innych młodych ludzi, oglądających się za żoną, zięć przerwał mu:

„Ale ba,—właśnie nam też potrzeba mądrych żon,—nur kein Blaustrumpf!“

Pomimo tego „bas bleu“ postawiła na swoim.

Ale wobec nadchodzącego karnawału kwe-

stya zamążpójścia Jadzi zaczęła się znowu robić aktualną. Żarkowscy wprowadzili, zrobiwszy najsumienniejszą statystykę młodszych i starszych mężczyznu z sfer obywatelskich, zamieszkałych w granicach Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich, a mogących wchodzić w grę jako kandydaci do stanu małżeńskiego, a skreśliwszy z listy tej, nie zawierającej więcej niż kilkanaście nazwisk, tych, którzy, jak to w obrębie jednej prowincyi o każdym najdokładniej wiadomo, albo wcale nie mieli ochoty się żenić, albo zdecydowaliby się może, gdyby im ofiarowano parę milionów wraz z mitrą książęcą, uważając małżeństwo jedynie za interes, przedstawili ojcu ten smutny rezultat, że na liście nie pozostało się tymczasem nikogo, na któregooby można liczyć dla Jadzi.

„Dzisiaj mężczyźni w ogóle żenić się nie chcą“, — twierdziła pani Helena.

„Tylko ja byłem taki głupi!“ potwierdzał mąż. Dobrze mu jednak było pod pantofelkiem znacznie mędrzej od niego i wiodącej go nieznacznie na pasku żony, która, jak wiele kobiet, patrzyła potrochu na małżonka jak na ciężkiego brytana, który mruczy czasem, jed-

nak, byle go pogłaskać, wypełnia ślepo wszystko, czego się od niego zażąda.

Z zawieją styczniowych płatków śniegu spadł na którąś niedzielę szwagier do Lipna. Mieszkając niezbyt daleko, państwo Żarkowscy częstymi z reguły bywali gośćmi u ojca, o ile akurat wszystkie konie powozowe nie kulały albo wcale ich nie było, co się u pana z Dzie-drzyna, jako u amatora koniarza, zdarzało tem częściej. Zwykle przyjeżdżali w niedzielę na obiad, nieodmiennie w ten dzień o godzinę później podawany, niż w dni powszednie, a więc o drugiej. Przed spożyciem darów bo-żych, o ile zięć do teścia miał jakie interesa, zamykały się za nimi drzwi gabinetu pana do-mu, który nieraz powtarzał, że przy dzieciach się o interesach żadnych nie mówi. Jednakże, ponieważ niema takiego polskiego domu, w którymby właśnie przy obiedzie nie rozstrzą-sano kwestyi najdyskretniejszych na głos, po-mimo obecności służby i obcych, więc i tym razem sprawa wydania Jadzi za mąż miała umilić antrakty w przeżuwanu. Obcych nie było, ale zawsze, w miejsce siostry, która po-została przy dziecku, drugim już, karmionem przez matkę samą, zjechał z szwagrem ojciec

tegoż, który, wypuściwszy wodze gospodarstwa z niezbyt udolnych rąk a nawet zgodziwszy się przy ożenieniu się syna na przepisanie tytułu własności na tegoż, przy jedynaku mieszkał, marudząc mu czasem trochę, ale otoczony szacunkiem, chociaż nie bardzo słuchany. Był to starzec już, zawsze bardzo piękny, hulaka za młodu, który ożenił się dość późno, tracąc wkrótce potem żonę i w następstwie w znacznej części jej posag, co mu w obec syna ciążyło i skłoniło go do tem chętniejszej rezygnacyi. Osobiście był znacznie inteligentniejszym od syna, bardzo miłym i wykształconym, znał historję Księstwa i jego wybitniejszych rodzin na palcach, podróżował kiedyś dużo i mówił o tyle wyborową francuszczyzną, o ile synowi jego gładziej z obcych języków przychodził niemiecki. Dla Jadzi był jednak, jako przecież nie krewny, pomimo zażyłości, [która zdawna pomiędzy Lipnem a Dzierżynem panowała, już niekoniecznie nieodzownym słuchaczem rozmowy delikatnej natury. Tak przynajmniej odczuwała to Jadzia, gdy szwagier z grobową miną, wyszedłszy z dwoma starszymi panami z gabinetu teścia, odrazu, gdy zasiadano do zupy, zdradził kon-

kluzyę tajemniczych narad zapytaniem ironicznym, skierowaniem do niej.

„A Jadzia czy się w ogóle wybiera na karnawał?”

„To zależy od tatusia”,—odpowiała go.

„Co za potulność,—przy tak zdecydowanym charakterze pani Słonimskiej-Walewskiej!”

Panna Tekla spojrzała się niespokojnie z racyi siedzących przy stole, pieczy jej powierzonych, czworga małoletnich dziewcząt, Frani, dziewięcioletnich bliźniaczek Koci i Hanecki i ośmioletniej Misi,—nie mówiąc o starszych trochę chłopcach, Stasiu i Gutku, którzy, uczęszczając do gimnazjum powiatowego, na każde święto przyjeżdżali do domu,—średniaczki były w Karłowitz w klasztorze,—a ojciec upominał:

„No, dzieci, nie kłóćcie się!”

„Mon fils aime trop sa femme pour être aimable même envers ses belles—soeurs”, żartował stary Żarkowski.

„Qui n'est pas sage, n'aura pas de dessert”,—odezwał się głosik Koci.

„Taisez—vous, mes enfants”, srożyła się panna Tekla.

„Cicho srocзки”,—zadokumentował swoją

męskość trzynastoletni Staś i zrobił szczęśliwą dywersją, żądając od szwagra potwierdzenia, że flower młodszego Gutka w porównaniu do jego gwiazdkowej lankastrówki wcale nie jest prawdziwą strzelbą. Zabił z niej kota na sto czterdzieści kroków i niedługo będzie tak strzelał jak pan Brodnicki, najlepszy strzelec w Księstwie. A gdy dorośnie, chciałby mieć pojedynki, jak tegoż pana Brodnickiego dziadek, co zabił trzech prusaków.

Była to historia, opowiadana dzieciom przez starego pana Żarkowskiego, historia może trochę legendowa, ale w której musiało przecież tkwić coś prawdy, a charakterystyczna, o dzielnym szlachcicu polskim, który ongi na własną rękę prowadził wojnę podjazdową przeciwko Niemcom, wyzywając z kolei każdego nawijającego mu się oficera na pojedynek, z śmiertelnym zazwyczaj dla tamtego wynikiem. Mieszkał niedaleko granicy i pojedynki odbywały się na tamtem terytoryum. Prusak nie wracał. Nie wrócił raz i pan Brodnicki, ale przeżył w legendzie.

Pokrzywdzony w swej dumie Gutek opowiadał, odwołując się również do szwagra. Ale ten, wyczerpawszy argumenta, pograżające

milknącego Gutka, z uporem ciasnych głów podjął temat poprzedni.

„Więc Jadziu,—seryo,—czy nie pozwolisz, żeby cię Frania zastąpiła w karnawale? skończyła już ośmnaście lat od kilka miesięcy i jest przecież dorosłą!“

„Merci pour le compliment“, pośpieszyła z odpowiedzią, wyręczając siostrę, Frania,—„mnie wcale nie spieszo,—zresztą nie dobrze jak dwie siostry występują razem“, decydowała z minką doświadczoną.

„Hm,—to może będziesz musiała długo czekać!“

„Nie bój się,—będę miała prędzej czy później szwagra numer drugi,—równie miłego, jak ty!“

„Nie wiedziałem, że Jadzia potrzebuje adwokata“, przyciął jej, posądzając siostry, nie bez słuszności, że się zawsze solidaryzują z sobą nawet w obec niego.—„Ale, à propos,—może Jadzia zapisze się do ludowców i chce wyjść za jakiego adwokata lub weterynarza?—Są czasem różne gusta“.

„Albo za doktora“, dorzuciła Jadzia,—„może!—Byle był porządnym człowiek“...

Ojciec podniósł głowę. „Nie widzę potrzeby“, wyraził krótko swe zdanie.

„Ależ na przykład doktorowa Bronowiczowa jest Cieszevska z domu“, — broniła się Jadzia, czysto teoretycznie, bo nie myślała o żadnym doktorze, dotknięta tylko trochę tonem ojca, dającym jej do zrozumienia, że powiedziała głupstwo.

„Nie miała posagu“, — wyręczył ojca szwagier.

„To jeszcze nie racya... ostatecznie“... rozpoczęła. Ale ojciec, rozdrażniony jeszcze tem, co poprzednio nagadał mu zięć na temat bas bleu, przerwał jej ostro:

„Ostatecznie dzieci muszą słuchać rodziców“.

„Ojciec traktuje mnie jak dziecko...“

„I to głupie...“ wyrwało się ojcu, który rzadko się unosił, i tem straszniej dotknęło to kochającą go bardzo córkę. Zbladła, czuła, że jej się nagle łyzy cisną do oczu i zrobiła mimowolny ruch, jakgdyby chciała wstać od stołu.

Gdy poważni i łagodni z natury ludzie namontują się do dyapazonu gniewu, przechodzą

lowują zupełnie. „Co, uciekać od stołu?—nieznoszę kaprysów w domu! Jesteś moją córką i musisz słuchać.—Tegoby jeszcze brakowało?“ grzmiał ojciec.

Jadzi łyzy stały w oczach, stary Żarkowski kręcił się niespokojnie na krześle, nie wiedząc, czy interweniować w przykrej scenie, którą już trudno było puścić pomimo uszu. „Enfin, mon cher“,—zaczął „puisque mademoiselle Hédwige...“

Jadzia już nie słyszała dalej. Wstała i automatycznym ruchem zbliżała się do drzwi. Pamiętała tylko potem z tych kilku sekund tę jedną myśl okropną, że nuż ojciec pobiegnie za nią, gwałtem za ramie porwie i na krześle posadzi. Nie bała się wstydu, tylko że to by było tak brutalne. I, jeszcze zaciskając klamkę za sobą, przystanęła chwilę za drzwiami, czując że jej się w głowie mąci, nierozumiejąc, żeby to było możliwem, że ten dobry, kochany ojciec krzyknął na nią tak okropnie, a przecież naprawdę nie myślała nawet nic złego,—ani nic dobrego,—nic w ogóle. I łyzy połały się jej ciurkiem. Słyszała jeszcze przez drzwi głos szwagra: „Miły charakterek,—nie ma co mówić“,—i powlokła się do sypialni,

dawniej matki, zajmowanej przywilejem każdorazowej najstarszej, oddzielnie od reszty rodu i panny Tekli, mieszczących się na pierwszym piętrze.

Rój myśli, dotąd przelotnych, więcej instynktowych, uderzył w jej biedną głowę czarnymi skrzydłami trosk, pierwszy raz tak wyraźnie zarysował się przed nią problem przyszłego małżeństwa, o którym myślała chętnie, jak każda panna, uważając je za wypadek normalny i naturalny, los, przeznaczenie i szczęście kobiety. Dokładnie zdefiniowanych życzeń co do osoby tego mężczyzny, który miał być tem jej wszystkim, dotąd nigdy sobie nie sformułowała. Postać ta występowała niejasno na tle domu, tego ogniska domowego, które stworzyć i nad którem czuwać było rolą kobiety;—na tle jednakże, które nie wyobrażała sobie zbyt różnem od Dziedrzyna naprzykład, wśród zajęć domowych, pracy i godziwych rozrywek, odgrywała ta osoba sama, jako osobistość, różna od innych, również wąsatych, osobników, rolę konieczną, ale nieujętą w żadne zdecydowane kontury. Pod tym względem filozofja jej nie stała wiele wyżej od wyroku, który już

wydawała na siebie mała Kocia, mając lat cztery: „Jak ja pójde za męż...”

„A jakie twój mąż będzie miał wąsy, Kocik?” pytano.

„Wąsi?—duzie”.

Teraz pierwszy raz w życiu konkretnie zaczął jej się przedstawiać ten przyszły towarzysz życia, pan i władca. No, władca,—czy Daś był władcą Helci? Ale chociaż co do koloru wąsów nie miała żadnej ustalonej decyzji i wogóle fizycznie najmniej sobie umiała go wyobrazić, rozumiała, że potrzebnym będzie duży zasób pewnych przymiotów duszy i charakteru, żeby wzbudzić w niej to uczucie: Twoją, właśnie twoją i tylko twoją do śmierci. Nie była przedelikaconą, cieplarnianą rośliną, tylko zdrową na ciele i na duszy panną wiejską, i mężczyzna któryby nie był mężczyzną chociażby z pewnemi ujemnemi objawami tej, brutalnej zawsze nieco w pojęciu kobiecem, męskości, na pewne zbudziłby w niej tylko lekceważenie; niechby sobie zaklął nawet czasem, niechby zrobił czasem jakie głupstwo—męskie, jaką pół bohaterską, pół waryacką awanturę, byle nie był ślamazarą i zerem,—ale dobrym i delikatnym dla niej.

I byle nie był głuptasem, jak jej szwagier, bo najwidoczniej nawet najlepsze wychowanie nie wystarczało do wyrównania tego braku,— i nawet wyrozumialsza wiele od niej siostra, kochająca swego męża rodzajem nieomal matczynego, pobłażliwego uczucia a lubiąca go jako wesołego towarzysza, przyznawała, że gościnne występy Dasia często bywały niefortunne. A tu i ojciec pokazał jej szorstkość mężczyzny, której się najmniej po nim spodziewała. Pierwszy raz spoglądała na niego krytykującami oczyma. Przyszło jej na pamięć, że przy całej zwykłej łagodności miewał nieraz sceny z służbą, zajścia z sąsiadami. Przypomniało jej się słowo, podsłyszane kiedyś mimowoli, na którem rozmowa obcych, najwyraźniej o jej ojcu, gdy się zbliżyła, urwała się: nietakty.—

Przed drzwiami rozległ się głos ojca: „Jadziu!”

Pocisnął klamkę, powoli uchylając drzwi. Ujrzała jego szeroką ceglastą twarz o wyrazie, w tej chwili, pomimo nadrabiania miną, trochę niepewnym.

„No, czyś się już wydała?” Głos brzmiał miękziej, niż forma zapytania. Podeszła do

niego i pocałowała go w rękę. Objął ją w pól, widocznie uradowany i, gładząc jej włosy, powtarzał jej w innych słowach to, co usłyszała przy obiedzie o obowiązku posłuszeństwa dzieci względem rodziców, którzy przecież tylko o ich dobru myślą, o przykrości takich przykładów wobec młodszego rodzeństwa. Zamilkła, jako dziecinny, tłoczący się na usta żal, że ją właśnie w obec tychże dzieci ojciec tak upokorzył i nawet pomogła ojcu w wynalezieniu sposobu na rachowanie jego powagi w obec tychże, o co ojciec kłopotał się najżywiej.

„Za karę będę jadła kolację w swoim pokoju—na pokucie,—dobrze ojczy?”

„Za duża jesteś, żeby Cię karać,—ale tak będzie najlepiej i uniknie się ponownego starcia z Dasiem.—Ale on ma dużo racji”.

Pocałował ją w czoło. „Jadę jutro rano do miasta, bo mam interes w sądzie,—chcesz się przejechać ze mną?”

Był to fawor, bo najchętniej zabierał w swoich wyjazdach rozweselającą go swemi figlami Kocię, i przejażdżka sanną po równej drodze, z nadzieją spotkania u celu

może kogo z znajomych, była zawsze miłą rozrywką w mało obfitującym w nie odosobnionem wiejskiem życiu w zimie, ale—koniec końców, potraktowano ją znowu jak małą dziewczynkę.

VIII.

Bractwo trzech liter, organizacya założona przez zbogaconych na polskiej ziemi w dziesiątki tysięcy morgów, trzech patryarchów niemieckich, Hausemann'a, Kennemann'a i Tiedemann'a, Hakata, związek ku obronie, pranieemieckich kresów wschodnich, liczący setki tysięcy członków po całych Niemczech, z centralami w Berlinie, Lipsku, Wiesbaden, dążący i działający wszystkimi sposobami ku eksterminacyi polaków a uprawiający i krzewiący najpodlejszemi fałszami systematycznie nienawiść do wszystkiego co polskie, zwołało wielkie zebranie swojej poznańskiej braci do sal ogrodu zoologicznego w Poznaniu. Nastreńczyło to pismom polskim, kilka porównań zoologicznych, nawet do zwierząt niekoniecznie będących okazową rzadkością, ale, że za okrzyk, który wydarł się kiedyś z duszy chłopskiej, „a to znalazło do nas tego, kiej świń“, kara

było dłuższe więzienie, więc o trzodzie hakatystycznej tylko z ostrożnością można się było wyrażać, jako o hodowli półoficyalnej, znajdującej się pod opieką i obroną królewsko-pruskiej prokuratoryi. Niestety, coraz więcej cały naród pruski, konsekwentnie dawniej jeszcze przez prasę, zasilaną z funduszków t. zw. gadzinowych, mianowicie z przeznaczonych na ten cel odsetek od skonfiskowanych w roku 1866 bogatemu królowi hanowerskiemu milionów, bałamucony ciąglą groźbą jakoby ostrzających się ustawicznie na spokojne szyje niemieckie kos polskich, a teraz zupełnie na tem polu pod wpływem dobrowolnych, jednakże nie bezinteresownych agitatorów, stawał się de facto, o ile nie de nomine hakatystycznym. Co dawniej było polityką rządu, prowadzoną mimo a nawet wbrew woli znaczniejszej części narodu, teraz jako jedna wspólna myśl, jako jeden szal eksterminacyjny opanowywała coraz szersze koła. Już nie z rządem, ale z narodem pruskim przychodziło staczać polskiemu społeczeństwu walkę. Pruskie stronnictwo liberalne, partya bogatych właścicieli hut westfalskich i manufaktur nadreńskich, pod płaszczykiem liberalnym w imię jedności niemieckiej zawsze

nam niechętna, a praktyczniejsza w swych planach, konsekwentniejsza i mniej się licząca z tem, co czasem nawet w polityce jako prosta przyzwoitość dla jakiejś partyi czy jednostki nieznacznie zaciąga na szali, od sztamowych, konserwatywno-rządowych junkrów pruskich, coraz więcej przechodziła w służbę rządową, widząc pomimo różnych błędów politycznych „impulsywnego“ cesarza, jak owoce wielkiej dla Niemiec polityki żelaznego kanclerza wydają w coraz potężniejącem Państwie swe owoce; porzucając rolę opozycyi, zyskiwała udział w rządach. Zresztą droga do orderów i tytułów, tak miłych zbogaconym przekupniom, prowadziła tylko przez łaskę cesarską, a panujący nie znosił opozycyi, gdy wydał jakieś hasło, jak ukrócenia bezczelności polskiej. Okolicznościowy kanclerz, kauczukowy człowiek, Herr von Bülow, niebawem Graf i Fürst, „kochany Bernard“, zasiedział się wbrew wszelkim przepowiedniom o zmienności monarchy co do upodobań względem wybieranych i rzuconych szybko, jak nudne zabawki, dygnitarzy, nadstawiając z małpią rzeczywiście szybkością, ilekroć Wilhelm palnął znów jaką zbyt rezykowną mowę, sze-

roka pierś, okoloną niepokalanego kroju tużurkiem i znalazł zawsze z podręcznej książeczki cytatów taki, który conajmniej pobudzał reprezentacją narodu do śmiechu; a kto się śmieje, już jest gotów przebaczyć. Centrum, kamienna ława katolików niemieckich, o którą bezsilnie niegdyś dzwoniła żelazna rękawica pierwszego kanclerza wskrzeszonych Niemiec, wierny niegdyś sprzymierzeniec polaków, po zakończeniu „Kulturkampfu“, gdy, przykładem średniowiecznego władcy niemieckiego, zręczny polityk jednakże poszedł do Canossy i skargi na ucisk i upośledzenie katolików zachodnich i południowych Niemiec ustały, straciło faktycznie swoją *raison d'être* i trzymało się więcej siłą tradycyi wielkich założycieli, eksministra hawerskiego, Windhorsta, i serdecznego przyjaciela Polski, Schorlemer'a,—z rodziny która jako Challemel Lacour zaznaczyła się także w dziejach Francyi. Ale tych ludzi ideji nie stało, centrum niejednokrotnie w głosowaniach swoich rozpadało się, przywódcy jego w miarę wahania się interesów sprzecznych paktowali z rządem. Odzycie ruchu polskiego w części Szląska, z kąd niepodzielnie dawniej płynęły mandaty poselskie centrum, tem więcej odsu-

nęło tę partye od frakcyi, a z nią i od społeczeństwa polskiego, że ruch tamten wyrósł na wyraźnym podkładzie socyalistycznym. Socjaliści w kwestyach międzynarodowych szli z polakami, ale większość wyborców socyalistycznych, walcząc z rządem, była równocześnie niemcami tem zagorzalszymi, im więcej przy polepszającym się, z wzmaganiem się ogólnego dobrobytu, bycie nawet robotnika fabrycznego partya ta robiła się łagodniejszą, filisterską. Pozostali jeszcze właściwi epigoni 1848-go roku, wolnomyślni. Tracili jednakże coraz więcej na rzecz potężniejszych liberałów z jednej, krańcowszych socyalistów z drugiej strony. Starzeli się też ich przywódcy, co niegdyś prowadzili na barykady przeciwko absolutystycznym rządóm. Taki Miquel, jako pruski minister skarbu, zdziwił się, gdy mu młodość jego czerwoną przypomniano.

Niewielu, jak ekonomista Brentano, z pomiędzy całej rzeszy profesorów narodu poetów i myślicieli a którzy teraz wysilali głowy nad wynalezieniem nowych argumentów, uprawniających filozofją „Ausrotten“, mieli jeszcze odwagę wyrazić czasem zasady słuszności,—nie znajdując oddźwięku w obrębie Prus. Z wszy-

stkich partyi, z wszystkich stanów społeczeństwa pruskiego rekrutowała się gwardya szeregów narodowych, hakatyści.

Słuszewskiego interesowało poznać tych ludzi z blizka. Korzystając z tego, że w kołach niemieckich był przecież nieznanym, mógł wybrać się asystować tej „Generalversammlung“. Poszedł więc. To co posłyszał tam, zdawało się przenosić go poprostu w wieki średniowiecznego barbarzyństwa. Nienawiść rasowa zionęła, niehamowana żadnemi względami kultury, z ust mówców. Przesadzali się w obelgach polskości, w jaskrawych, dziecinnych prawie obrazach „polskiego niebezpieczeństwa“, w projektach jego zwalczenia. Profesor uniwersytetu, przybyły z Berlina, z rażącą nieświadomością stosunków miejscowych skrzypiącym głosem lejtnanta i w pozorach nawet imitując pruską „Schneidigkeit“ tego pierwowzoru, tonem komendy rzucał w słuchające w skupieniu rzesze dziwny konglomerat filozofii Nietschego i Hartmanna, grożąc zagładą tym, którzy śmia się buntować przeciwko narodowi panów, niewdzięcznym, którzy nie umieją ocenić dobrodziejstw kultury, wniesionej dopiero przez ducha niemieckiego w biedną i wpółdziką krainę,

zawdzięczającą li jej swój dzisiejszy rozkwit i dobrobyt a usiłującą obrócić jej owoce przeciwko tym, którzy tę kulturę w niej zaszczyli i wyhodowali. „Psa, który kąsa rękę dobroczyńcy, zdeptuje się na śmierć, gdzie raz stanęła stopa niemiecka, biada temu, który porywa się na uświęconą przez nią ziemię. Niemiecka praca jedynie, niemiecka pilność tylko“, — frazesy powtarzały się.

O raportach, wykazujących, że w chwili obejmowania w posiadanie Poznańskiego przez władze pruskie, stan szkół i ilość ich, owoce Sejmu Czteroletniego, był świetniejszym, niż w przeważnej ilości prowincyi ówczesnych Prus, pan profesor ani wiedział, ani nie byłby w nie uwierzył. Tłum potakiwał: Sehr richtig. Grzmiały oklaski.

Potem major pozasłużbowy, jeden z większych posiadzicieli ziemskich Księstwa, zagrzewając słuchaczy Sedanem i wywołaniem scen, gdy w Wersalu zaświeciła cesarska korona Niemiec na skroni Hohenzollerna, twierdził, że polem bitwy są dzisiaj kresy wschodnie „die Ostmark“, na którym spocząć synom zwycięzców gallijskiej pychy nie wypada pierwiej, aż wróg ostatni polegnie lub broń złoży. A bro-

nią tą jest jeszcze dzisiaj ziemia, przez dobroliwy rząd mu pozostawiona, ale tylko pod tym warunkiem, żeby zdjął kozuch polski a przywdział wsławiony mundur pruski, którego to warunku fałszu pełna słowiańska natura dotrzymać nie jest w stanie,—i idejom lokalny, którego użytek pozostawiono mu do czasu—nieostrożnie, licząc na to, że sam go zarzuci, przekładając rozumnie nad niego tę piękną, cudną mowę niemiecką. Ale nie można pozwolić na to, hańbą to byłoby dla kulturnego narodu zezwalać na zachcianki konserwowania dzikich dźwięków „prszy“ i „krszczy“. Te dowcipnie i z znajomością lingwistyki wybrane przykłady wywołały wesołość i wdzięczność słuchaczy. Muzykalnym mówca nie był i nie miał tej świadomości, że mowa jego brzmiała jak heblowanie desek. Wspominał jeszcze o własnym swym udziale w wielkiej wojnie, która krwią i żelazem spoiła wielką ojczyznę niemiecką; o tych Bartkach, którym Steinmetz grać kazał „Jeszcze Polska nie zginęła“ i którym następca tronu pruskiego, Fryderyk, rzucał jedyne polskie słowa, jakie umiał: „Naprzód, dzieci!“—przepomniął.

Mówili jeszcze nauczyciel gimnazjalny i

sędzie. Mowy te już były tylko odbłaskiem oratorskich tryumfów poprzednich, niemniej oklaskiwano je i trzykrotne „hoch“ odgrzmiało każdemu z mówców. Rezolucją zawezwania rządu do jaknajostrożniejszych środków przeciwko polskości i telegramem do cesarza zakończyło się zgromadzenie, po którym uczestnicy z pieśnią „Wacht am Rhein“, nie inkomodowani, pomimo wrzasków na ulicy, przez tak troskliwie inkarcerującą zazwyczaj każdego weselszego pijaczynę policję pruską, gęstemi, czarnemi szeregami pociągnęli do licznych piwiarni ziemczonego Poznania.

Mieczysław wyszedł z wrażeniem tak przykrem i przygnębiającem, że, przebrawszy się szybko, z roztargnieniem zupełnem jeszcze wchodził na balową białą salę bazarową. Generalversammlung odbyła się wieczorem, z względu na licznych urzędników, biorących w tego rodzaju aktach obowiązkowy i chętny udział, a chociaż, punktualnie zaczawszy się o ósmej, zakończyła się o dziesiątej, była już prawie jedynasta, gdy zdążył na bal. Niemilo mu to było poniekąd, ponieważ była to pierwsza większa zabawa w Poznaniu, w jakiej brał udział, mając sposobność dotąd tylko na kilku

mniejszych wieczorkach po domach prywatnych, gdzie kręcono się pod świecznikiem przy cienkim węgrynie, zdać egzamin z swoich niewielkich talentów choreograficznych; powiedziano mu, że i Polacy w Poznaniu bywają punktualni i na balach, zapowiadanych na dziewiątą, o dziesiątej już wszyscy są na sali, jednakże był to bal, urządzone przez Kasyno Miejskie, na którym, jak wnioskował, miała być przeważnie sfera miejska, a tę już znał i zbytnio się na tę zabawę nie cieszył. Wogóle był zdania, że brać się w pół z nieznaną sobie często prawie zupełnie osobą i hasać z nią po sali, jest szczytem idyotyzmu, spostrzegł jednak, że źle byłoby widzianem, gdyby się od tego obowiązku uchylał. Gdybyż jeszcze ta osoba, którą się obejmowało ramieniem, była sympatyczną. Ale najczęściej oddychało się dopiero z rozkoszą, gdy się ją posadziło na krzeselku, koncentrując się śpiesznie w tył.

Więc z tego punktu widzenia, mniejsza mu było o to, że uronił część tej zabawy. Ale wymówka, której się obawiał, spotkała go zaraz na wstępie. W sieni przed salą urządzone był bufet z napojami i stało kilka stolików, tworząc rodzaj przedziału dla palących. Sie-

działo tam kilku mężczyzn, przeważnie starszych i, gdy doktor chciał szybko minąć ich, pozdrawiając tylko z daleka, doszedł go strofujący głos ojca Pauliny: „A gdzie się to pan łątędziłeś,—już walca odtańczyli!“ Słuszewski w oczach szerszej publiczności uchodził za, lubo niefortunnego, konkurenta Pauliny, i papie, który jak to Mieczysławowi Paulina powiedziała, z niewielkim entuzjazmem zapatrywał się na to małżeństwo swej jedynaczki, jednakże zależało na tem, żeby córka na balach miała swego „kawalera“. Ten tłómaczył się, gdzie był. „A potrzebnie tam pan łąziłeś?—wymyślali? Eh, nic nowego i nie tacy oni straszni! Przecież z nimi żyć można, byle ino niepotrzebnie nie zadzierać“.

Mieczysławowi trochę dziwnie brzmiało w uszach to zdanie po wściekłych obelgach na polskość i rezolucyi eksterminacyjnej, które tam usłyszał a co do których nie mógł mieć wątpliwości, że pomyślane i wymierzone są jaknajpoważniej i jaknajgroźniej, ale nie opowiadał, widząc z potakujących min przytomnych, że są zdania tamtego.

U drzwi na stoliku leżała taca, bal był na cel dobroczynny,—na kanapie i paru krze-

sełkach siedziało kilka pań patronujących. Słuszewski, spiesząc się, zapomniał przygotować sobie potrzebnej drobniejszej kwoty na dowolny datek, w pugilaresie miał tylko parę stomarkowych banknotów. Przywitawszy się z znanymi mu damami, położył banknot, wymieniając cyfrę dziesięciu marek, które składa. Gruba, bamberka rodem, pani Miler, żona radcy sprawiedliwości, eks-sędziego, a matka dwóch córek, z których jedna jeszcze była panną, miała sobie oddaną funkcyę kasyerki i skrupulatnie odliczając resztę, upominała Mieczysława przy każdej sztuce, żeby uważał, czy nie dostaje za wiele. Znała go z wieczorku, na którym jej córka, w nieobecności Janiny, jako z rzędu najlepsza partya, odgrywała rolę królowej balu. Doliczywszy do dziewięćdziesięciu zatrzymała się chwilę, sprawdziła raz jeszcze i podsunęła mu potem jeszcze pięciomarkówkę, skrytym ruchem, aby nie był zauważonym przez sąsiadki. „E, weź pan,—nie masz pan sam zawiele“. Było w tem równocześnie coś pocziwie-macierzyńskiego; że Mieczysław większą część swoich funduszków był dawniej stracił, wprędce było w Poznaniu wyszło na wierzch. Najpierw wyciągnęła to z niego Paulina; przyznał jej się trzymając ją

ciągle, jak to w myśli określał, za ręką, a licząc na dobry efekt swej szczerości. Wiedział, że nie darowałyby, gdyby to manko wyszło na jaw dopiero po ślubie. Jakoż efektu zamierzonego dosięgnął, w zamian tem gorsze wrażenie sprawiło to odkrycie na jej ojcu. Odstreńczyło go, zdaje się, definitywnie od konkurenta. Zresztą młody doktor, z trochę zawsze majątku, reputacją zdolności, z szlacheckiej rodziny, mógł być dobrą partią w kołach, w których się obracał, do Pauliny jednakże ojcuzlek wyraził zdanie: „Ty za swoje, to jest za moje pieniądze możesz dostać coś lepszego“. Przetelefonowała Mieczysławowi i to wiernie z przekazem.

„A jeżeli się nie dam kupić?“

„Ehe, gdybym tylko chciała naprawdę...“

Przed paniami, siedzącymi przy kasie, linja fraków męskich stanowiła żywopłot, rozganiany często z polecenia tychże dam, bo tamujący im widok na tańczące pary. Kontredans, z wyjątkiem tych paru pań właśnie i kilkunastu mężczyzn korzystających z swej ponadliczności, zmobilizował wszystkich. Doktor wcisnął się pomiędzy przypatrujących się i szukał okiem znajomych. Tańczyło z czterdzieści par,

nie wypełniając jednakże zbyt szczerze sali, na której się dwa razy tyle mogło z wygodą pomieścić. Prowadził kolega doktor Buszkiewicz, znany z swych talentów tanecznych. Komenderował po francusku, obchodząc się jednakże z tym językiem dosyć po kawalersku.

„Les mesdames en avant!“

„Les messieurs en retour!“

„Rozpacz z tą hołotą“, skarżył się w antrakcie Słuszewskiemu, w którym, jako w paryzanie, szukał pokrewnej duszy, „nic nie rozumieją po francusku!“

Jakoż po chwili słyhać było: „Nazad, panowie, nazad,—przecie mówię wyraźnie!“

Rozpacz wodzireja Słuszewskiemu, który kiedyś jako gimnazjasta brał lekcye tańca i zdołał na poprzedzających kilku wieczorkach wskrzesić jakkolwiek te swoje wspomnienia, była zrozumiała. Większość tańczących, zwłaszcza mężczyzn, biegła na prawo i lewo, od tej ściany do przeciwnej, kierując się najwidoczniej chwilowymi inspiracyami, niezawsze podzielanemi przez vis-a-vis, odburkując tylko złowrogo na napomnienia prowadzącego. Było dużo ludzi, których Mieczysław dotąd nie znał.

Spodziewano się coprawda na bal ten inteligencyi z prowincyi, lekarzy, adwokatów, dzierżawców. Doktorowi, który miał pretensye do elegancyi, niezawsze udanej, podpadła niemile liczba fraków, zwieszających się na odnośnych osobnikach jak pożyczane, jak ubiór, do którego właściciel nie przywykł, mundur, brany niechętnie i z niedowierzaniem. U pań, przy skromnych i prowincjonalnym krojem sfabrykowanych sukniach nieraz widniały kamienie, nawieszone w różnokolorowem niedobranu. Zaledwie kilka pań z Poznania, które znał, miało toalety, skromne także, lecz gustowniejsze. Paulina była znów w dziewczęcej bieli, niekoniecznie szczęśliwie uwydatniającej jej żółtawą cerę, i znów niemożliwego fasonu. Ku zdziwieniu swemu zobaczył ją wspartą na ramieniu Edka Duleńskiego, który z bezwąsą swą, bardzo delikatnych rysów fizyognomją, odziany prawdopodobnie, chociaż Mieczysław nie znał się tak dalece na tem, ale u tego złotego młodzieńca można to było a priori przypuszczać, przez jakiegoś wiedeńskiego, czy paryskiego krawca, z perełkami w gorsie koszuli, odbijał od większości danserów. Zkąd się tu znalazł? Należał wprowadzić do Kasyna i tam

go doktor widywał, ale nigdy w towarzyskiem milieu miejskiem. Rozjaśnić miała mu tę zagadkę panna Paulina, gdy po kontredansie, który jak każda rzecz miał swój koniec,—bo tylko kielbasa ma dwa, dowcipkował wodzirej,—podbiegł do niej się przywitać przed wszystkimi innemi. Zauważyła to wdzięcznie, przyjęła tłumaczenie spóźnienia, i okazało się, że zarezerwowała mu pierwszego mazura, który równocześnie dawał danserowi prawo i obowiązek prowadzenia swojej damy do kolacyi. Niekoniecznie mu to było na rękę; było to znowu afiszowanie zamiarów, jeszcze nie dojrzałych. Ale uznawał zrzeczność Pauliny, której usiłowania, wbrew jej głośnemu wypieraniu się, szły w przeciwnym kierunku, to jest odcięcia mu drogi odwrotu.

„Niech mi pan pomoże przekonać pana Duleńskiego, że to niepodobna...” —zwróciła się do niego, powracając do prowadzonej z tym rozmowy...

„Że co niepodobna?”

„Pani Grabowska życzyłaby sobie uczestniczyć w naszym balu i przysłała pana...”

„Jako forrajtera”, uprzedził Edek,—„moja siostra wie, że niema zbyt wielkich sympatyi

w naszym pocziwem miasteczku,—ja odradzałem,—po co się narażać pomiędzy ludźmi źle wychowanymi?—ale *ce que femme veut...* nawet kiedy to jest rodzona siostra...”

Paulinie pochlebiło zaufanie, z którą traktował ją, widocznie nie zaliczając ją do tych źle wychowanych ludzi pocziwego miasteczka, bo wbrew temu, co kiedyś przed Słuszkowskim wygadywała w teatrze, rzekła łaskawie: „Ja zresztą nic nie mam przeciwko temu, ale inne panie...”

„Si vous êtes des nôtres, mademoiselle..., pani użyje swoich wpływów pour amadouer la populace”.

Mieczysław nie bardzo wiedział, czy tamten sobie kpi, czy jest rzeczywiście bardzo zręcznym, w każdym razie Paulina była „wzięta”—„tylko niech pan koniecznie wprowadzi swoją siostrę jeszcze przed kolacją,—potem, toby już było zanadto dziwnie...”

„Idę,—jest jeszcze z nami Henio Włostowski...”

Doktor pogonił oczyma jego smukłą sylwetkę, przeciskającą się zręcznie przez tłum. Paulina wychwalała tymczasem uprzejmość tego młodego człowieka, rozwodząc się nad

nią obszernie. Widząc że na Mieczysławie to nie robi zbyt miłego wrażenia, przeszła na inny temat. „Ma przyprowadzić jeszcze swego przyjaciela,—ach tak, to ten Włastowski syn sprzedawczyka?—to nie zrobi dobrego wrażenia“,—rozważała głośno,—„ale ostatecznie trudno się krzywić na damę, co przyprowadza z sobą zaraz dwóch danserów,—panowie dzisiaj w ogóle tak mało tańczą...“

W takt tej praktycznej refleksyi zabrzmiała przegrywka mazura. W zamieszaniu, które wywołała, szukaniu danserek, ustawianiu się par, przyczem sala robiła wrażenie kotłującego bezradnie mrowiska, wejście pani Marjetty na salę przeszło prawie niepostrzeżenie. Większość spostrzegła ją dopiero wtedy, gdy w obcisłej, srebnoperłowego koloru sukni, przylegającej do ciała, jakgdyby pod nią żadnej sztuki ubrania więcej nie było, znalazła się z Włastowskim w pierwszym rzędzie ustawiających się jeszcze i nie mogących połapać ładu par. Obok niej był już Edek, z heroizmem w lot pochwyciwszy sterczącą w zapomnieniu przy ścianie córkę weterynarza z prowincyi, wcale zresztą niebrzydką, i potrafił tak przekonywająco a przecież nie narzucając się ofia-

rować swoje usługi wodzirejowi-doktorowi w dopomożeniu temuż do prowadzenia tańców, że już byli z sobą w najżywszem porozumieniu co do kombinacyi figur.

Paulina targnęła Mieczysława za rękę. „Chodź pan, — musimy tańczyć w pierwszej czwórce, — spieszże pan się!”

Roztrącając rzeszę, słyszał jeszcze zapytanie, oczywiście co do pani Marjetty, kto to jest ta „secessya“, nieznana zwłaszcza przybyłym z prowincyi; krótki a przybierający zaraz ostrą formę zatarg o upragnione miejsce z jakimś młodzieńcem w binoklach na imper-tynenckim nosie rozstrzygnęła pani Marjetta, oświadczając opornemu z zimną grzecznością, że się już z panną Pauliną o nie umówiono, poczem doktor Buszkiewicz przyłożył wskazujący palec prawej ręki do lewej łopatki, a Paulina wszystkie pięć lewej do łopatki prawej wahającego się jeszcze i „mazur, wszystkie pary“ zagłuszyło ostatnie protesty nieszczęśliwego.

Mazur, prowadzony z zacięciem przez obydwoch wodzirejów, wymyślających coraz nowe figury i doprowadzających je nawet, pomimo niesforności i braku zrozumienia w

wykonawcach i wykonawczyniach, czasami do szczęśliwego końca, ożywił i rozochocił całe towarzystwo, wywołując chwilowe zapomnienie uraz i niezadowoleń towarzyskich i osobistych. Słuszewski tylko miał kilka powodów do niezadowolenia. Najpierw z całej czwórki tancerka jego była najbrzydszą. Tańcząca w pierwszej parze doktorowa była uznaną pięknością Poznania, zachowując pomimo kilkorga dzieci figurę i świeżość rysów,—pani Marjetta była conajmniej oryginalną,—„weterynarka“, hasając w mazurze jak młody żrebak, miała jednakże poryw młodości,—jedna Paulina, na krótkich nogach, bez stanu, wydając się nieforemniejszą jeszcze w swej białej sukni, wprost odbijała od tamtych. Potem sam, pomimo dużej dozy zarozumiałości, czuł, że z korpusu nieco podobny do swej żeńskiej pary, odstaje niekorzystnie od swoich trzech, jak na złość, wszystkich wysmukłych, partnerów. Wyobrażał sobie wprowadzić, że frak robi go szczuplejszym i przedłuża jakoś nogi, ale z tem wszystkiem był zdania, że najlepiej mu do twarzy w białym, długim doktorskim fartuchu, związanym w pasie a spływającym długą linią po biodrach. Wyraził ten gust swój Paulinie.

„A może panu jeszcze śliniaczek przypiąć oprócz fartuszka?” Zirytowała go; była głupia nie miała pojęcia o estetyce.

Niemówność czy nieumiejętność zalansowania się w posuwistych pas na ukos przez salę, jak to dyskretniej Edek, a z większym hałasem hołubców przecież dokonywał i kolega Buszkiewicz, gdy on drepcił podrygując w miejscu lub kulał się zwinięty w kłębek po posadzce, irytowała go. Rozczerwienił się i pot spływał mu z czoła. Musiał mieć przy okrągłości swojej,—mimo że służył wojskowo, był za leniwym do wszelkich ćwiczeń fizycznych i przy przeważnie siedzącym życiu, jakie teraz prowadził, zaczynał tyć gwałtownie,—pewne podobieństwo do najmniej w salonie wymienionego zwierzęcia, bo, gdy—po jakimś gwałtownem „tourner“, „et encore une fois tourner“ Edzia, który przepędził kilka razy prowadzoną przez siebie kolumnę przez całą długość sali,—jej danser, różowy, spocony i chrzäkając, stanął przed Pauliną, ta zakpiła sobie z niego wyrażeniem, łączącym naigrawanie z niewykwinnością, chociaż z domieszką pewnej dozy prostodusznej czułości: „Ej, prosiaczku mój,—a to się pan zmacha!”

Wymknął się śladem Edzia do bufetu. „Pommerego, ale szybko,—zaraz muszę wracać!” komenderował tamten,—„napije się pan ze mną kieliszek sekta, doktorku?”

Nie odmówił. „No, unser polnisches duszkiem“, stuknął tamten w kieliszki, nalane po raz drugi. Spytał się raptownie: „Co też ta Styczyńska może mieć?”

To pytanie prosto w łeb, doprowadziło nagle Słuszeńskiego do świadomości, że może Styczyński ojciec nie mylił się tak bardzo, twierdząc, iż jego córka może mieć chociażby hrabiego.

„Spytaj się pan jej sam“, oddał pytającemu.

„Czy pan jesteś chirurg,—że taki ordynary? No, allons, damy czekają!“ I, śmiejąc się, Edzio pobiegł do pań.

Nie udało się doktorowi też, gdy chcąc odrazu zrobić rekonesans w inną stronę, spróbował dowiedzieć się od pani Marjetty, czy Łużyccy będą na karnawale. Panna Łużycka była jedyną, jak dotąd znaną mu, żoną, dla której bez wahania poświęciłby bogatszą Paulinę. A co to byłby za tryumf w obec tej i naprzykład takiego Edzia! Skorzystał więc

z chwili, gdy ktoś wybrał do innej figury jego tancerkę, i zaczął rozmowę z wachlującą się obok niego panią Marjetką, którą młodzian w binoklach, może przez zemstę, w upartych zakrętach o mało nie położył na posadzce. Ale, namiętnie oddając się tańcowi, nie zważała prawie, z kim tańczy, darząc wszystkich łaskawym uśmiechem i opierając się, trochę przegiętą w tył, równie chętnie na każdym ramieniu męskim. Odezwał się do niej po francusku z komplementem co do jej toalety, dość banalnym, zaakceptowanym przez nią jednakże, i po kilku prognostykach i zapytaniach co do szans rozpoczętego karnawału, przeszedł do wywiadu, czy zjazd ze wsi tego roku będzie liczny i na przykład czy będą państwo Łużyccy z córkami, z których zna jedną, jako koleżankę swej siostry. W koło ust pani Marjetty, czerwieniących na tle bladej twarzy a, jak stwierdził był doktor już podczas wizyty tej pacjentki u niego, nałożonych bardzo dyskretnie i umiejętnie, ale jednak bez kwestyi poprawionych farbką, czemu się wtedy przypatrzył dość czy nie dość blisko,—zwinął się ten uśmieszek kobiet, których na własnym ich terenie żaden dyplomata w pole nie wyprowadzi.

„A czemu się pan nie zapyta swojej siostry?” zapytała logicznie. Nie mógł jej przecież tłumaczyć, że siostra jego właśnie to dwukrotne listowne pytanie pominęła milczeniem, dobitniejszym od reprimendy o niehonorowe postępowanie względem Pauliny. Pani Marjetta uwolniła go zresztą litościwie od odpowiedzi, dając mu szczerą radę:

„To nie dla pana,—przepraszam, że się mieszam w pańskie sekrety, ale się pan sam zdradził, a niemam powodu panu źle życzyć, więc *bon conseil vaut—une valse que je vous reserve*“.—

— Dla czego nie miała być dla niego?—

— Po tym pierwszym balu nastąpiła niezadługo serya z sześciu czy ośmiu zabaw publicznych w krótkich odstępach, i na pierwszej zaraz, wchodząc na salę, doktor poczuł, że serce zabiło mu gwałtownie. W różowej sukni, stanowiącej coś w pośrodku pomiędzy skromnością strojów pańskich a ozdobnością jakoby w niedalekiej przyszłości już młodej mężatki, odkrywającej śliczne ramiona i mlecznoróżowe kontury pełnego trochę jak na dziewczynę ale klasycznego marmuru biustu, z uwydatniającym się w ściągających się nieco

ku sobie kruczych brwiach a kontrastującym z wesołą różowością całego zjawiska, wyrazem powagi, stała w grupie kilku innych, nieznanym mu panien, przystojnych prawie wszystkim, ale nad którymi górowała jednak urodą, panna Jadwiga. Kilku młodych ludzi kręciło się wkoło tej grupy, dobrych znajomych czy krewnych. Dochodziły ztamtąd srebrne wybuchy śmiechu, w kole tem panował nastrój poufały i bawiono się dobrze już przed rozpoczęciem balu, na który tym razem,—miał to być bal więcej „wiejski“,—Słuszewski wybrał się bardzo punktualnie. Nie żałował tego chociaż czuł się obcym w nieznanem sobie przeważnie towarzystwie. Patronowały temu balowi panie z najpierwszych rodzin Księstwa i użyły swych wpływów, aby się udał. Nie żałował,—tak piękną wydała mu się ta dziewczyna, która dotąd nie zauważyła go nawet. Znany mu po-bieżnie dyrektor Banku ziemskiego, Kalkstein, starszy, wspaniały mężczyzna z siwiejącą senatorską czarną brodą, podchodził ku niej właśnie, wyzyskując prawa powagi wieku wobec cofających się o krok dwóch młodych ludzi, assystujących jej. Jednym z tych młodych był Edek, który chyba odgrywał równie

podwójną rolę jak Słuszewski, drugim, z miną umierającego karpia, Feliś Żętycki, popchnięty do nowego szturm przez Żarkowskiego.

Ale też ponętą była, wiele piękniejszą w objęciu balowej toalety, niż nawet przypuszczał, widząc ją ongi w podróżnym kostymie. Pani Marjetta, robiąca *entrée*, wsparta na ramieniu męża, odwróciła na chwilę jego uwagę, jak wejście tej pary wzbudziło uwagę ogólną. Mąż, z nosem fioletowym nałogowego pijaka, pod maską wychowania, dodającego pewności jego ruchom, zdradzał jednak szastaniem się i zbyt głośnemi powitaniem, że nie przepomniął się znowu zailuminować. Panie akceptowały te objawy z przymuszoną wyrozumiałością, mniej przymuszając się do ukrycia chłodu w obec jego żony. Pani Marjetta była zbyt zdyskredytowaną. Wiedziała dobrze co robi, podpierając się sakramentalną powagą ramienia mężowskiego; pomimo tego,—było się tu prawie wyłącznie pomiędzy sobą,—towarzystwo, które możeby w obec głośniejszego objawiającego potępienia z strony, której nie przyznawało do tego autoryzacyi, było wzięło w obronę zbłąkaną owieczkę, wymierzało jej tutaj, usuwając się od niej, o ile to było moż-

liwem, aż nazbyt wyraźną naganę. Pani Marjetta znalazła się, po nader zimnych przywitaniach, opuszczoną; mąż, zezując już ku bufetowi, hałaśliwie komplementował młodziutką pannę Włostowską, figuryнкę porcelanową, oglądającą się tęsknie za złotowłosą Milecką, którą zabawiał tymczasem łaskawie Henio Włostowski; ten zerkał przytem ku Marjecie, ale z oddalenia.

Inni mężczyźni, trzymani na ogół na wodzy potężną na punkcie bojkotu złych obyczajów opinią krewnych i znajomych kobiet obecnych, odkładali zbliżenie do pięknej pani do pomyślniejszego momentu, gdy w wirze balowym prędzej „flircik“ ujdzie bezkarnie. Pani Marjetta, mrużąc pogardliwie oczy, spojrzała w koło po tych mężczyznach, z których niejeden w gabinecie byłby jej najoddańszym adoratorem,—potem śmiało podeszła do stojącego trochę na osobności Mieczysława.

„Czy pan ma odwagę?“

Nie wiedział co odpowiedzieć. Nie w porę mu była ta zapowiedź dłuższej konwersacji w oczach towarzystwa, w którym prezentował się po raz pierwszy,—z drugiej strony pani Marjeta imponowała mu swoją miną

wielkiej damy i pochlebiało mu okazać się z nią w pewnej poufałości.

„Je vous compromettrai un peu“, — rozśmiała się.

„Un peu?“

„Peut-être plus que ça!“ odpowiedziała na tę impertynencyą, nie bardzo wiedział, czy ironicznie, czy obiecująco. „Tylko, że pan ma gusta—tureckie“.

„Jakto?“

Wskazała nieznacznie, wydymając pogardliwie wierzchnią wargę, ku Jadzi: „Tłusta!“ Sama wyprostowała dumnie swą figurę o węzowych linjach. Ale ta krytyka stronna, nie zaboląa go; natomiast chciał się dowiedzieć,—Żętycki, o którego nieudanych dawniejszych zabiegach posłyszał kiedyś na klubie, mniej go niepokoił,—czy Edzio ma jakie zamiary co do panny Łużyckiej.

„Podzielam ten gust z bratem pani“, — rzekł.

„Oh, nie ma zamiaru zakładać sobie haremu,—ale pan ma gusta podwójnie tureckie“.

Pauliny na tym balu nie było. „Miasto“, nie czując się dosyć uwzględnione przez „wieś“ na liście gospodyń i gospodarzy, frondowało.

Z wrodzoną więc praktycznością doktor uznał, że najspokojniej może się tymczasem wyprzeć tamtej, i, idąc tylko za pociągiem swej bezbrzeżnej ciekawości, miał już zapytać, o czem właściwie dyrektor Kalkstein może rozmawiać z jego wybranym ideałem, gdy pani Marjetta, widząc go patrzącego się w tę stronę a ku irytacyi jego zgadując zawsze uprzednio jego pytania, zaspokoila jego żądze wiedzy, śmiejąc się: „Ojciec pańskiego ideału numer drugi—czy pierwszy?—jest członkiem Rady Nadzorczej Banku Ziemskiego i zajmuje się tą instytucją bardzo, ztąd zażyłość pomiędzy tymi panami i rodziną“.—Kalkstein odstąpił niebawem miejsca szwagrowi panny Jadwigi, jak doktora objaśniła życzliwie pani Marjetta. Podczas gdy ten, co byłoby Słuszewskiego, gdyby był słyszał, zapewne wytrąciło gorzej z równowagi, przedstawiał odpornej bratowej, że jedyna nowa, o ile można było na pierwszy rzut oka przecenić, prezentująca się kandydatura, Edzia, z względu na tegoż lichy stan majątkowy nie może być braną na seryo i pozostaje, koniec końców, tylko Żętycki, pani Marjetta drażniła się dalej z Mieczysławem. Jako pewną rekompensatę za échec towarzyski

postawiła sobie za zadanie zaprządz go jako nowego a oddanego sobie adoratora do swego rydwanu tryumfalnego; był to równocześnie rodzaj wyzwania, rzuconego w twarz jej towarzystwu.

„Gdyby pan był człowiekiem rzeczywiście dobrze wychowanym, to by mnie pan pośpieszył zapewnić, że ideałem jego — jedynym — jestem ja! Przecież taka grzeczność nic nie kosztuje, a nam kobietom zawsze sprawia przyjemność!...”

„Brzydzę się kłamstwem“, zapewnił uroczyście Mieczysław, — „zresztą, że pani jest moim ideałem, do tego jedynym, — to i takby pani nie uwierzyła“.

„Na szczęście przyznaje więc pan możliwość równoczesnej egzystencji kilku ideałów w jednym sercu? — Przecież pan nie jest tak vieux jeu, jak pan na to wygląda! — A kłamstwo? — na niem stoi całe nasze życie towarzyskie... Patrz pan“, — przerwała sobie, — „jak ten biedny Kalkstein musi się uganiać za swymi akcyonaryuszami — po sali balowej, — nie wszyscy tacy gorliwi jak Łużycki, — innych trzeba szukać czasami aż tu“.

„Interesuje panią?“

„Tak, Kalkstein to jeszcze jeden z niewielu—polaków pomiędzy nami“.

Doktór spojrział na nią zdziwiony. Nie spodziewał się nigdy po tej tak lekkiej reputacji kobiecie takiego poważnego obrotu rozmowy.

„Jakto, więc my nie jesteśmy polakami, wszyscy tutaj?“

„Jesteśmy i nie jesteśmy, jak kto chce“, ruszyła ramionami, „i jak nimi byliśmy zawsze. Czy pan tego nie zauważył, że zawsze u nas było tylko kilkadziesiąt czy kilkaset jednostek, przynajmniej w ostatnich epokach, tylko garstka ludzi, co jako umysły pocziwe znały naprawdę miłość ojczyzny? Nawet prawie są to zawsze te same rodziny, które od konfederacji barskiej i dawniej aż do naszych czasów pan odnajdziesz, gdzie tylko były jakie usiłowania patryotyczne. Ogół był i jest po większej części apatyczny i tylko te kilkadziesiąt nazwisk utrzymują reputacją naszego heroizmu“.

„Przesadza pani,—i zkad takie pesymistyczne poglądy?“

„Nie mogę sypiać po nocach i czytuję dużo rzeczy historycznych,—inne mnie już znudziły“.

„A ja myślałem“, zakpił, „że pani po nocach... bawi się w gabinecie!“

„Jesteś pan—niemądry“. Trzepnęła go wachlarzem po ramieniu. „Przyjdź pan kiedy do mnie na czarną kawę, pod warunkiem, że będzie pan bardzo grzecznym. Tymczasem—walc,—nauczył się pan już bostona?“

Nie, nie nauczył się i szło to dosyć kulawo, co było mu tem przykrzejsze, że na tym balu tańczono nierównie lepiej niż na owym pierwszym. Zdarzyło mu się jednak niespodziewane szczęście. Gdy zapytał się panny Łużyckiej, czy może ją poprosić o jaki dłuższy taniec, pewnym był odmowy, nawet, gdyby jeszcze nie była do wszystkich kontredansów i mazurów przez oblegającą ją na samym wstępie młodzież, z dwóch ostateczności wolącą już tańczyć, niż żenić się, zaangażowaną. Stało się jednak, co zdarza się często właśnie u panien, uznanych i uklasowanych przez młodzież jako first class; w przypuszczeniu, że mają rozebrane już wszystkie tańce lub że rezerwują je dla kogo innego, niejeden nieśmielszy nie śmie się nawet o nie zapytać, i Jadzia dotąd nie miała dansera do pierwszego właśnie mazura. Zawahała się chwilę. Doktor niekoniecznie był jej sympa-

tycznym—po swym tramwajowym debiucie,— z obcym siadać obowiązkowo do kolacyi nie bardzo ją nęciło, narażało może na niezadowolanie, mniejsza że szwagra, ale i ojca...

„Nie chciałbym jednakże pani sprawić swem natręctwem przykrości, już raz się tak niemądrze spisałem wobec pani“... odezwał się doktor, widząc jej zawahanie się chwilowe. To jego odezwanie się nie było zręcznem, ale jego skrucza ujęła ją. Ostatecznie to był brat Maryni. Uszczęśliwiony prowadził ją do stołu.

Kolację wspólną spożywano o północy przy kilku oddzielnych długich stołach po kilkadziesiąt osób, przedstawiających zwykle zwartą grupę jednej z tych kilkunastu mienniejszych rodzin, które ostały się w Wielkopolsce w obec zalewu niemieckiego. Naśladując w tem nieodmiennie przykład dawnych możnowładców naszej Rzeczypospolitej, kliki te przenosiły i na salę balową antagonizm Dęborogów z Brochwiczami. Rządcy pojedynkowo musieli się z konieczności deklarować z przystąpieniem do jednego z tych klanów, nie chcąc być, w najmniej bezpiecznej neutralności, zmiażdżonymi pomiędzy ścierającemi się kołami. Procesy sukcesyjne, zajścia przy kieliszku lub przy

kartach, wiarołomstwa małżeńskie, na długie lata często dzieliły domy, spokrewnione najczęściej lub spowinowaczone wszystkie w bliższym lub dalszym stopniu, na odrębne grupy. Z drugiej strony z wzrastającym w lat ostatnich dziesiątku dobrobytem wzrosła i archaiczna buta szlachecka, objawiająca się niesmacznie w wynoszeniu się jednej z tych ziemiańskich rodzin nad drugą w jakiejś samorodnej a nieskończenie trudnej do uzasadnienia hierarchii, gdy, prawie bez wyjątku, do blasku historycznego żadna z nich sobie słusznej pretensyi rościć nie mogła. Obecność intruza przy stole Łużyckich ci pierwsi zauważyli sami. Ciotka Zarucka, siostra pana Włodzimierza, która z heroizmem, pomimo że sama była matką dwóch córek na wydaniu, matkowała na balu także troskliwie Jadzi, objąwszy przy boku Żarkowskiego ojca rządy nad stołem, przy którym pomiędzy kilkunaściorgiem obojga płci Łużyckimi różnego stopnia pokrewieństwa był z obcych jeden doktor Słuszewski, odrazu się zaniepokoiła półgłośnem: „Qui est ce monsieur?” a jedna z jej córek głośno przez cały stół zapytała: „Jadziu, kto tam usiadł obok ciebie?” Mieczysław nie przepomniał być dać

się wszystkim przedstawić. Jadzia zaczerwieniła się powyżej uszu. Dostawała znowu nauczkę, że jest na każdym kroku niesamodzielną, pod nadzorem i zależną nie tylko od swoich najbliższych, ale od każdego składnika tej zbiorowej potęgi, którą jest rodzina. Tymczasem szwagier, który zajął miejsce z drugiej strony obok niej, jakby jej pilnując, wyręczył ją i zaskoczono go temi niezwykle badaniami doktora, odpowiadając tak samo przez stół Zaruckiej: „Pan Słuszewski, doktor medecyny“.

Osobliwość tych indagacji i ton pytań i odpowiedzi oniemiły ich przedmiot tak, że na pewno nie byłby podczas całej kolacji zdołał słowa przemówić, gdyby nie niespodziewana interwencja na jego korzyść samego pana Włodzimierza Łużyckiego, który już przedtem przy prezentacji wspomniał mu bardzo życzliwie, że ojca jego zna, i fakt ten podał teraz do wiadomości zgromadzonych. Pani Zarucka przypominała sobie, że kiedyś widziała bardzo ładny haft jego siostry, i całe zgromadzenie już zaczęło spoglądać na przybysza z tą łaskawością, jaką się ma dla osób niżej postawionych, ale które przynależą do nas ponieważ niciami tradycyjnych służebności, gdy pani

Helena Żarkowska sparaliżowała to wrażenie dodatkiem do uwagi pani Zaruckiej o oryginalności haftów Maryni: „A, panna Słuszevska miewa oryginalne pomysły,—zwłaszcza w porównaniach historycznych!”

Głośny śmiech kilku kuzynków, wtajemniczonych w genezę przenośni o pani Walewskiej, zagłuszył zapytanie doktora, skierowane do pani Heleny, a Jadzia rzekła mu spiesźnie: „Marynia panu powie“. Te niejako poufnie do niego zwrócone słowa, okraszone uśmiechem, bo Jadzia nie gniewała się bynajmniej o wybuch wesołości kuzynków, którzy, żartując sobie z „Słonimskiej“, jednakże ulegali stale urokowi jej inteligencji, urokowi zapożyczonemu w tym wypadku od przyjaciółki ale niemniej ustalonemu jako opinja w rodzinie, wróciły mu to, co pod pierwszym wrażeniem słów, które tutaj padły, było pierzchło zupełnie,—nadzieję urzeczywistnienia zamiarów, które, im więcej się przypatrywał biustowi swojej sąsiadki, tem zdecydowańszą przybierały formę. Co prawda panna była właśnie tak grzeczna, jak wypadało dla brata przyjaciółki, a co do sentymentów rodziny, to te nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, ale Słuszevski był uparty i miał

zbyt wielkie wyobrażenie o sobie, żeby wątpić o ostatecznym pomyślnym rezultacie.

Tymczasem miał dzień szczęśliwy. Lubił w ogóle dużo mówić; ogólnego wykształcenia posiadał—w tem znaczeniu, że o każdym przedmiocie miał gotowy jeden z tych szablonowych sądów, które od czasu rozpowszechnienia druku tak znakomicie zastępują proces myślenia, wygłaszał ogólniki z aplombem, rozwodził się nad nimi długo i gruntownie, dając komunałom, które przetrawił sam dosyć ciężko mózgiem, z natury u niego bardzo wolno funkcyjującym, już przez to samo, że się nad nimi szeroko i mozolnie rozwodził, w obec ludzi mało wykształconych pozór nowych i oryginalnych prawd,—tyle że mógł nimi w pannie, intuicyjnie dość inteligentnej, ale mającej za ledwie zwykłe średnie i z natury rzeczy jednostronne ukształcenie umysłu, wywołać bezkrytyczne wrażenie dużej inteligencji, tembardziej, że sądy swe wygłaszał z stanowczością, łudzącą pozorami powagi. Gdy po węzle łącznym, którym była znajomość Jadzi z Marynią, a za tem reminiscencya epizodu na dworcu,—matka poturbowanego dziecka doniosła kiedyś Jadzi listem nie własnoręcznym, ale tem zro-

zumialszym, że na **szczęście** wypadek, oprócz szramy, nie pozostawił następstw,—rozmowa ich przeszła na pobyt doktora po różnych nieznanych jego słuchaczce stronach, tenże nieomieszkał uplasować w swoim geograficzno-etnograficznym opisie kilka z tych uwag, których Baedeker nie zamieszcza, ale jakich nie oszczędzi czytelnikom którykolwiek przygodny korespondent dziennikarski w swych listach z podróży, jako dowodu swej kultury umysłowej, uwag, które nie zawsze są trafne, ale za to nigdy nowe, nie zmuszą przeciętnego śmiertelnika do zastanowienia się nad niemi, drażniąc go tą pracą umysłową, a przeciwnie wywołują mile wspomnienie, że już gdzieś, kiedyś, słyszał coś podobnego, a więc, gdy słyszy potwierdzenie zasłyszanego już pierwej, widocznie tak jest. A więc rozwodził się Mieczysław nad flegmą temperamentu niemieckiego i krewkością krwi francuskiej, uzasadniając te wdzięczne klisze warunkami etnograficznymi i klimatycznymi, ilustrując je przykładami z historii i własnych spostrzeżeń. Czuł się nieomal Buckle'm, układającym historią cywilizacyi Anglii. Ukształceńszy umysł niż Jadzi byłby zapewne, po przyznaniu racyi temu, co w tych wywo-

dach było nie nowego, się zdobył na lekkie wątpliwości, czy i tradycyjne cechy narodów po części nie ulegają zmianom, czy ów „langsam“ niemiec, śladem impulsywnego władcy, nie zaczyna się robić coraz więcej rzutkim i przedsiębiorczym a popędliwy syn Gallii nie staje się więcej ociężałym w osiągniętym dobrobycie, niechętnie dając się budzić myśli rewanżu i spóźniając się wszędzie z swą flagą handlową po za komiwojażerem berlińskim. Ale, że pomiędzy powolnością powszednich ruchów a decydujących pozorna asocjacja jest zbyt bliską,—więc piwo piwem, a wino winem!

Jeszcze wdzięczniejszą znalazł doktor w swej sasiadce słuchaczkę, gdy z pobytu swego w Schwarzwaldzie zaczerpnął natchnienia do poetycznego opisu lasów tamtejszych, porównując je z borami swoich rodzinnych stron. Na tle głuszy i odosobnienia tych przestrzeni, sosnami szumiących, kreślił charakter ich mieszkańców, skryty nieco, zamknięty w sobie, ale złoty. Ta trawestacja Litwy z pieśni Pola, w której przebrzmiewał cichy leitmotiw: takim jestem ja, takim ci się oddaje,—patrz, czy nie jestem wart, żebyś mnie cenila i...—nie mógł

nie zrobić wrażenia na dziewczynie, do której jeszcze nigdy nie mówiono w ten sposób i w tej formie. Bez wątpienia wołyniak był wykwintniejszym i dowcipniejszym, ten i ów z jej otoczenia zabawniejszym, tu uderzały w jej ucho, umysł i serce jakieś tony jakoby głębsze, silniejsze, nieznane. To też jak rażący dyssonans wywołały w niej skrzywienie ust słowa szwagra, który, popróbowałszy kilkakrotnie wtrącić się do rozmowy, ale nie mogąc jakoś dotrafić do jej toku i dawszy nakoniec za wygraną, reasumował swoje wrażenie, gdy wstało od stołu zapytaniem:

„O czym wy właściwie bajaliście,—jakieś mądrości, poezye?“

Szwagier i jemu podobni wydali jej się tem trywialniejszymi i, gdyby Żarkowski był się spodziewał, jak swoim odezwaniem się podkreśli w oczach Jadwigi kontrast pomiędzy tym, którego chciał pognać, a innymi mężczyznami na korzyść doktora, byłby zapewne powstrzymał się od swej uwagi. Tak usposobił Jadwigę tem odporniej i, gdy siostra, która, siedząc naprzeciwko, słyszała tyrady Słuszeńskiego,—oceniając je jednakże chłodniej od Jadzi, nie przypuszczała, żeby mogły pozosta-

wieć trwały efekt,—zbliżyła się do siostry z jakąś ironiczną uwagą, zastała ją już opancerzoną i nieczułą na wszelkie krytyki.

Słuszewski i Jadwiga nie tańczyli nawet z sobą wiele, ale przypadek sprowadził ich razem, gdy w jakiejś figurze kotyliona, urozmaiconego mazurem i oberkiem, sunęli para za parą,—prowadzący tańce Edek z zarumienioną tem szczęściem,—pierwszy raz w życiu na balu i w pierwszej parze!—jakby ożywioną na chwilę „porcelankę“, doktor zaś znalazł się w następnej parze za niemi z Jadzią,—szpalem odpoczywających tymczasem a zwijających się za ich śladem w długą wstęgę czarnych fraków i jasnych sukien rozbawionych par. Muzyka huknęła z balkonu w takt temu kuligowi:

Leci lis bez pole,
Ogonem wywija,
Pewnie nie żonaty,
Szczęśliwa bestyja!

Grały skrzypki i basetle. Wszystko, co tkwi w polskiej szlachcie, wiele bliższej charakterem ludu wiejskiego od ludzi z miasta, z zamaszystej ohoty tańczącego słowiańskiego

niewolnika, pod odmienną zewnętrzną maską ubiorów grało w tym tłumie. Tym młodym było tylko zamienić fraki na sukmany, dziewczętom dać barwne koszule i sznurki koralu, a „podkóweczki, dajcie ognia!“ I na dźwięk rubaszej nieco w swej wesołości piosenki przytupywały rażniej lakierki, błyskały białe ząbki z rozchylających się w uśmiechu, choćby najdumniej zazwyczaj zaciśnionych, warg, Jasek patrzył siarczyście, a Marysia z rumieńcem wstydała się. I dumna główka „Słonimskiej“ z nieświadomą zalotnością rozbawionego polskiego dziewczęcia zwróciła się ku jej tancerzowi z wyrazem w którym było i zapytanie i zachęta: Ano, jakbyś Jasek nie był głupi, toż z nas dwojga... Była to jedna chwila i już atmosfera muzyki, śpiewu, światła, wina i temperamentu ustąpiła miejsca zwykłemu wuczonemu tak, że jest drugą naturą, panowaniu nad sobą, ale doktor uczuł, że byle nie zaniechał swych usiłowań, te nie pójdą chyba na marne.

Wracając do domu przyznawał w duchu, wspominając dobór pięknych kobiet które widział na tym balu, racją tym, którzy wysła-

wiają urodę polek, a refleksye o własnej przyszłości zakonkludował frazą, która mu utkwiała w pamięci z jakiejś francuskiej krotchwili: „Le diable soit loué,—mes affaires marchent bien“.

IX.

Że ono zdanie o urodzie kobiet polskich było słusznem, miał mu potwierdzić bal niemiecki, na którym z konieczności musiał się znaleźć. Od korpusu oficerów rezerwy przyszło zaproszenie na „Liebesmahl“, wieczerzę,—z damami. Zaproszenie to było rozkazem, zwłaszcza po świeżym zatargu, jaki miał. Gdy się raz powiedziało „a“ trzeba było i „b“ powiedzieć; niepodobna się było uchylić. Z irytacją skonstatawał, że i kolacya była—w niemieckim hotelu Mylius’a—gorsza, i kwaśny mozel i, oszczędnie podawany, niemiecki szampan nie dogadzały jego podniebieniu. Na domiar komendant, który powitał go charakterystycznym: „Oczekiwałem pana“,—wskazał mu, jako towarzyszkę do stołu, córkę jednego z kolegów, przedstawiającą typ niemki w skończonej grubopłaskiej brzydocie o rękach i nogach pomorskiego grenadyera. Był to może „pech“ wyjątkowy, bo

doktór znał był i zupełnie ładne egzemplarze tej rasy, ale tutaj co prawda rozglądał się za takim na próżno. Towarzystwo składało się z urzędników, lekarzy, profesorów, sędziów, pomiędzy którymi rozpoznawał dokładniej kilka twarzy, widzianych na pewno na zgromadzeniu hakatystów. Był i Regirungsrat Langer.— Doktór znał już z swego pobytu w Niemczech ten rodzaj towarzystwa i wiedział, że w społeczeństwie, w którym zewnątrz, ubiorem, ruchami i wysławianiem się przeciętny osobnik stoi o dwie klasy niżej od swego polskiego sobowtóra z tej samej sfery, chyba w kołach najwyższej arystokracji pochodzenia i inteligencji spotyka się towarzysko sympatyczne jednostki; zebranie, które tu zastał, stało jednakże pod względem kulturalno-estetycznym jeszcze niżej od odpowiadających mu po większych miastach niemieckich. Dodatki do pensyi, ułatwienia ekonomiczne warunków życia w postaci zaliczek, zapomóg, pożyczek ad hoc wydzielanych, poparcie i protekcyja rządowa na każdym kroku, pędziły właśnie ludzi najwięcej zmuszonych się liczyć z groszem „nach den Ostmarken“, biedę i hałastrę z całych Niemiec. Niezależniejsi woleli kontentować się

mniejszymi dochodami u siebie w domu, niż— pomiędzy dziczą polską i w „tem“ towarzystwie; w kołach urzędniczych Niemiec już ustaliło się zdanie, że na wschód idą tylko szumowiny, ludzie, zmuszeni sobie wyrobić przebaczenie za jakieś przewinienia w służbie, lub zupełnie nieudolni do awansowania gdzieindziej, nakoniec biedacy lub—karyerowicze par excellence. Ale, jak mówił kiedyś Mieczysławowi kolega, młody doktor, Niemiec, któremu życzliwi chcieli wyrobić w Poznańskim posadę lekarza powiatowego nieporównanie szybciej, niż ją mógł uzyskać w rodzinnych swych stronach: „Gdy się nie jest na to skazanym, po co się wpakować dobrowolnie w pokrzywy?!” Odpowiednio to tego już zewnętrźnie prezentowało się otoczenie, w którym się doktor znalazł. Mundury, lubo, tradycyjnym pruskim krojem zastosowane do kwadratowych figur, w nie przyobleczonych, nie upiększały tych, którzy je nosili, pokrywały jeszcze prędeej brak, nie tylko wszelkiej elegancji, ale i estetyki, odbijającej się w ubiorze cywilnych. Ci byli w mniejszości, nieszczęśliwcy, którym los zawistny, dla jakiego defektu służbowego, poskąpił nagrody lejtnanckiego uniformu. U kilku

tylko z zamożniejszych czy arystokratyczniejszych kół wyszłych karyerowiczów widniał zakrój angielski, na który młodsze pokolenie Niemiec, pomimo płonącej nienawiści rasowej do najpotężniejszego przeciwnika, zaczyna się przystrajać. Kobiety były prawie bez wyjątku ubrane jak kucharki. Jednakże Słuszewski znalazł u swej sąsiadki więcej wiadomości z nauk ścisłych i czytania, przynajmniej w literaturze własnego kraju, niż je zwykły posiadać polskie panny, nie mówiąc o starszem pokoleniu naszych pań. Toż słyszał właśnie na ostatnim balu, jak któraś matka opowiadała o swym synu, że studjuje ekonomją polityczną, bo już w szkołach był dobry w matematyce; z toku rozmowy wynikało, iż uważa, że to mniejwięcej to samo.

Niemeczcze byłoby się to nie zdarzyło. Znalazłszy w niej wdzięczną słuchaczkę, doktor rozwinął także przed nią kilka kinematograficznych obrazów swej wiedzy i swego rozumu i zachwycił ją tak, że mu wyraziła swe przekonanie, iż jest jednym z najinteligentniejszych ludzi w Poznaniu. Oczywiście ani sprytem ani zręcznością konwersacyi nie mogła Fräulein Elsbeth Hasse iść w parze z polka-

mi,— jednakże gdy wylupiastemi oczyma wpa trywała się w niego, jak w tęczę, pomyślał z uczuciem dumy, że niech sobie pani Marjetta mówi, co chce, ale to już jest, nie licząc jej samej, którą, w obec szans u Łużyckiej, puścił zupełnie „kantem“, numer trzeci jego adoratorek poznańskich.

Gorzej było, gdy Niemcy po kolacyi zabrali się do tańca. Nie był wielkim estetą, ale jako lekarz posiadał zrozumienie wzajemnego stosunku różnych członków ciała ludzkiego o tyle, że nieprawidłowa dyslokacya ich w tańcu w każdym razie zwracała jego uwagę. Zresztą nieproporcyonalne spaczenie ich w ruchach większości par, puszczających się ulubionego walca i rheinlaendera, było tak wyraźnem, że sam tu wyszedł na nieomal najlepszego tancerza. Tylko kilku młodych oficerów, z służby czynnej, mogło z nim rywalizować. Komendant, wynagradzając go za posłuszne stawienie się, opiekował się nim z szczególną łaskawością i po jakimś czasie, pochwaliwszy, że się tak troskliwie oddał na usługi dam, odciągnął go na wypoczynek „zum Glase Bier“. Ten napój narodowy zastąpił był wprędce szlachetniejsze wino i, gdy mu któryś z obec-

ných tłumaczył, że to nie tylko przez oszczędność ale że on, jak większość, woli „ein gutes Echtes“ od wszelkich win, nie miał najmniejszego powodu wątpić o szczerości tego wyznania. Przedstawiając się w koło, spotkał się z polskim nazwiskiem, — „von Majewski“ wyrecytował mu jakiś młody człowiek w dragońskim mundurze. „Ein Landsmann“, zarekomendował komendant, „także jeden z rozsądniejszych!“ Poczerwienieli obydwaj na tę pochwałę. „Sie sind auch ein Pole?“ zagaił tamten z łaskawą protekcyonalnością oficera kawaleryi w obec innych broni. W rozmowie, która się potoczyła po niemiecku, objaśnił, że jest prawnikiem, świeżo zdał egzamina państwowe i zamierza się teraz gdzie osiedlić jako adwokat. Przyjechał do Poznania zbadać teren i, meldując się u komendanta, został zaraz zaproszonym na Liebesmahl. „Rozumie pan“, dodał po cichu po polsku — „nie bardzo bym chciał, żeby o tem ludzie wiedzieli, ale trudno było odmówić,—zresztą polakowi adwokatowi teraz notaryatu już nie chcą dawać, a bez tego adwokatura pudełka zapalek nie warta. Jak się im pokaże, że się nie jest żadnym rewolucjonistą, to może... Jestem przecie dwudziestym czwar-

tym dragonem“, dodał z dumą i zaczął wyklądać, jakim doborowym, pomimo wysokiej cyfry, jest pułk ten, tak że niczem nie ustępuje gwardyi. „Patrz pan, jak ci koledzy z linjowej piechoty mnie szanują“—zakończył głośno po niemiecku.

Grono otaczających wzięszało się do rozmowy, przyznając mu rację.

„Nie rozumiem, dlaczego niektórzy z waszych rodaków zrzekają się szczęścia zostać oficerami w rezerwie“, wywodził komendant, „jest to niewdzięczność!“

„My przecież najmocniej ubolewamy nad tem, że polacy przez swoje rewolucyjne zachcianki i swój upór zmuszają nas czasami traktować ich tak surowo, jak na to zasługują“, dodał inny.

Powtórzyły się te same skargi i wywody, co na wiecu hakatystycznym, w salonowszem, chociaż niekoniecznie salonowem wydaniu. Była w nich połowa obłudy, połowa przekonania. Akcentowano przytem także, mówiąc do Słuszewskiego, jak do konwertyty, że przecież wszelkie rojenia polskie są snem, dawno przesnionym i niepowrotnym. „Wy polacy byliście kiedyś narodem, nawet dzielnym, wiem to“,

tonem nieznoszącym opozycji wypowiedział komendant, „ale byliście narodem, już nim nie jesteście,—nie możecie nim być nigdy, bo jesteście za słabi,—cóż mają za sens te wszystkie agitacje, chociaż niby tylko ku utrzymaniu języka odrębnego a z ostatecznym celem odbudowania Polski?—Wierz mi pan“, poklepał Słuszeńskiego po ramieniu, „dzieciom pańskim, jeżeli je pan będziesz miał, czego panu życzę, bo sam mam trzech synów w armji, lepiej będzie z tem, jeżeli będą szczerymi Niemcami, a nie takim czemś pośrednim, bo Polakami i tak nie będą mogli być“.

— „Więc się pan szczerze do nas przyłączył?“ mówił mu doktor kolejowy, którego tu spotkał, tonem trochę ironicznym,—„to dobrze, bo pan wie, kto nie z nami, ten przeciwko nam. A kto była ta reizende polnische Gräfin wtedy?“—Ledwie mu uciekł,—ten w bezczelności swojej gotów jeszcze był mu zaproponować, żeby się zapisał do hakaty, której sam był gorliwym członkiem!—

Zabawa się skończyła zwyczajem niemieckim dość rychło i doktor, rozirytowany trochę tem wszystkim, czego się musiał nasłuchać, czując że i tak nie zaśnie, zaszedł jeszcze do

Kasyna miejskiego. Tam, że był czas karnawałowy i zjazd obywatelstwa z prowincyi, pełno było jeszcze. Był piątek i z powodu postu dnia tego żadnego balu nie było. Szambelan Starzecki trzymał bank w écarté. Paczka banknotów piętrzyła się przed nim. Zrujnowany oddawna, z gry czerpał dochód. Grał umiejętnie, z doświadczeniem starego gracza. Przegrawszy dwa razy z rzędu, wstał, chowając pozostałe z wygranej banknoty lekceważąco do kieszeni od kamizelki. Z kilkudziesięciu graczy, otaczających stół, rzucili się Edek Duleński i Henio Włastowski do banku, biorąc go na wspólkę.

„A, kochany doktorek,—zkład tak późno?“

Opowiedział gdzie był. „Bardzo dobrze“, pochwalił Starzecki, „sehr richtig,—zobaczysz pan, że oni się na panu poznają i to się panu jeszcze kiedy grubo może przydać. A były jakie ładne dziewczuszki? Wie doktor, za taką dobrą niemkę to oddam wszystkie głupie polki. Polka to tam zaraz fantazyje, ideały, a taka: Komm, mein Schatz,—i już.—Ady, co oni tam tak hałasują? Aj waj, Gewalt!“

Od stolika, przy którym grano, wszczął się rzeczywiście hałas niemożliwy. Powód:

zniknęła przy rozplacie przegranej przez bank partyi dwudziestomarkówka. Nikt się nie przyznawał do omyłki, każdy wyliczając głośno, ile wstawił i ile w zamian odebrał. Edek jako bankier upierał się, że sumę stawek wypłacił. „Już mi tu raz dawniej kazano dwadzieścia metrów dopłacić—i dziś ani myślę,—ręczę że się nie omyliłem, bo rachowaliśmy we dwóch z Włastowskim“.

„Przyznajcie się panowie lepiej odrazu, który ściągnął“,—doradzał żartobliwie Makocki, wyciągając szyję z pośród strzępiącego się kołnierzyka. Kilka par oczu spojrzało się na niego.

„Naturalnie znowu powiecie, że to ja!“ Dla wtajemniczonych nie podlegało wątpliwości, że, o ile Włastowskiego posądzono o fałszywą grę, Makocki znowu używał prostszego sposobu, od czasu do czasu ściągając niedobrowolne zapomogi z stołu. Wyłgiwał się jednak bezczelnością.

„Chodźmy na klub, doktorku“, zawołał szambelan,—„tu zaczyna być za gorąco,—schäbige Gesellschaft, pfui!“ I spluwając a zapominając, że sam jest codziennym gościem w tem towarzystwie, pociągnął doktora za sobą do

lokalu klubowego. Tam kilku starszych mężczyzn, pomiędzy nimi dyrektor Kalkstein, który tu grywał swoją codzienną wieczorną partijkę, wstawało właśnie od bridge'a. Kalkstein powitał bardzo serdecznie doktora. Słuszewski czuł, że człowiek ten szuka z nim zbliżenia. Zagadywał doktora kilkakrotnie poufalej, początkowo w kwestyach obojętnych, potem narodowych. Słuszewskiemu pochlebiali to. Kalkstein jako projektodawca i pierwszy dyrektor banku ratunkowego, gorący patriota i zdolny finansista, cieszył się ogólnem poważaniem. Bank ratunkowy był jego dziełem, on jego duszą. Prawy, szlachetny i uczynny, potrafił wzbudzać szacunek nawet w ludziach, jak Starzecki. Lubił młodych i starał się zagrzewać w nich uczucia polskie. Upatrzył sobie doktora, w którym widział nowo przybywającą pożyteczną siłę, i kilkakrotnie już, nie narzucając swego zdania, wyciągał go na dyskusye polityczne.

„Panowie jeszcze balujecie?“, zapytał żartując, „nie bierzcie ze mnie przykładu,—ja biedak, sypiać, niestety, nie mogę“. Suchoty go zabijały,—pracował często, pomimo choroby, wiele nocy z rzędu. „Ale trzeba się jednak

powlec do domu,—czy może kto z panów da się namówić do towarzyszenia mi?“

Słuszewski się zawahał. Nęciło go zajrzeć tam do écarté,—z drugiej strony właśnie po rozmowach dzisiejszego wieczoru byłby chętnie pomówił z Kalksteinem o troskach narodowych. Zdecydował się na to ostatnie. „Odprowadzę pana dyrektora,—mamy jedną drogę“. Zaczął sam o tem, co mu na sercu ciążyło. Pod wpływem tego, czego się w krótkim czasie swego pobytu w Poznaniu już napatrzył, co sam zauważył w porównaniu do dawniej, gwałtowne zniemczenie samego miasta, począwszy od czysto zewnętrznych oznak, jak pozrywania polskich napisów ulicznych, namnożeniu się firm niemieckich, gmachów i instytucyi, służących niby użytkowi publicznemu, a z celem germanizacyjnym, i nadających miastu tę cechę, jak wspaniałe muzeum i biblioteka, nie mówiąc o całym quartier urzędniczym, budującym się na obszarach zniesionych fortyfikacji miejskich, jak widoczny napływ urzędników i rojącej się jako większość po ulicach niemczyzny, zmniejszenie się mandatów polskich w radzie miejskiej, z prowincyi dochodzące z tego i owego miasteczka wcale niepokojące wiadomości

o zobojętnieniu narodowem mieszkańców, ciągle nabytki kolonizacyi,—w jego oczach już w przeciągu kilku miesięcy poszły w ślad za Włastowem trzy czy cztery inne,—obojętność odbijająca się w „praktycznych“ poglądach takich Styczyńskich i Majewskich, nie mówiąc o—przymuszonej—zdradzie sprawy narodowej Włastowskiego i dobrowolnej, dokumentowanej wszędzie cynicznie, Starzeckiego, nie nowy, ale na tym gruncie i w tych warunkach tem złowróźniej brzmiący horoskop z tamtej strony: I tak zginąć musicie,—jesteście za słabi w porównaniu do nas,—wszystko to płynęło mu na usta. Mówiąc zadrżał na samą myśl, że to, co jeszcze niedawno byłby odepchnął z wstrętem, jako świętokradztwo, wogóle mógł przypuszczać choćby na chwilę jako możliwość, do której w danym razie się przystosowuje swoje postępowanie, tę ewentualność—zguby. A gdyby tak było?—Nie, niepodobna, żeby tak było!

Kalkstein wysłuchał go. „Kochany doktorze, tę chwilę zwątpienia, którą ty przechodzisz, przeszliśmy my wszyscy. Nie jest ona grzechem, ani zbrodnią. Jeżeli Kościuszko nie powiedział „finis Poloniae“, to nie dziwnem

byłoby, jeżeli w owej chwili nie był dalekim od tej myśli. A zabrzmiała ona w ustach niejednego, ręczę ci,—choć tego nie zapisano,—i to z serc tych, co najgoręcej tę ojczyznę kochali. A ci, którym serce pękło w obec jej nieszczęścia? Na pewno byli tacy,—czy to było serce, czy mózg,—podobno doktorze, więcej zjadają nas i zabijają troski, niż choroby, czy nie tak? A ci co sobie życie odbierali, w 30-ym przechodząc granicę, w 63-im, gdy wszystko było stracone, chociaż może sami mogli się wymknąć? To wszyscy byli zrozpaczeni,—a jednak ona żyje i jest.—Poczekaj, będziesz miał niezadługo dowód, że żyje w sercach najmniejszych z nas“.—

Rozmowa ta podniosła na razie w Słuszewskim ducha, gdy wpadło mu jednak wkrótce potem w ucho zdanie o Kalksteinie, podzielane przez paczkę, otaczającą doktora, że tamten jest fanatykiem, silącym się tak samo na daremny opór przeciwko potędze pruskiej, jak ongi za polskich czasów ów pradziad jego, który to zuchwałę przedsięwzięcie głową przypłacił,—odżyły w Słuszewskim wszystkie nagromadzone już wątpliwości, które nieba-

wem miały się w następstwie nowych faktów spotęgować.

Czarująca polska hrabianka tymczasem pozwalała znów z siebie podżartowywać kuzynkom, że ma „feblik“, doktora Słuszeńskiego, „od nerwów i chorób żołądka“, jak nieomieszkiwał nigdy dodać jej szwagier.

Spotykali się na five o'clock'ach i rautach, nawet gdy karnawał minął. Ale, że wspomnianych kuzynków traktowała, na pozór przynajmniej, wiele łaskawiej niż doktora od nerwów i chorób żołądka, więc się pogodzono z tą myślą, że ci państwo toczą z sobą czasem dłuższe dysputy, — jak stwierdził ostatecznie szwagier, tak nudne, że nie podobna, żeby się same z siebie ostatecznie Jadzi nie przejadły. „Jadzia pozuje na sawantkę, ale w gruncie, wołałaby tańczyć!“ wyrażał swoje przekonanie Daś Żarkowski.

X.

Karnawał, z epilogiem kilku rautów i koncertów w poście, przeminął. Słuszewski nie dopełnił danego sobie przyrzeczenia, że w czasie tym poweźmie ostateczną decyzję co do swego ożenienia się. Nie, żeby względy, skłaniające go do tego kroku, wydawały mu się mniej stanowczemi, chociaż praktyka jego pomnożyła się troszkę, nie najmniej na skutek porobionych na sali balowej znajomości,—znany był teraz ogólnie i ten i ów, gdy zapotrzebował porady lekarskiej, wołał iść do znajomego już sobie lekarza, prezentującego się przyzwoicie i uprzejmie, niż do jakiegoś, schowanego gdzieś w zakątku niedźwiedzia,—pocciwa twarz Olejnikowej, stróżującej przecież wiernie a zapewne i ciekawie pod drzwiami gabinetu doktorskiego, wzbudzała po trochu i w kobietach pacjentkach początki zaufania,—ale praktycznem i koniecznem okazało się odło-

żyć ważny krok w obec niewyjaśnienia się dotąd jego szans matrymonialnych w obec tej, której dawał jako kandydatce na swą żonę pierwsze miejsce, Jadzi Łużyckiej. Jej samej był mniejwięcej pewnym. Powiedziała mu to nawet wprost, gdy się zapytał przy pożegnaniu, czyby się odważyła powierzyć komuś swoje losy i swe szczęście, który ją kocha, który jednak pod niejednym względem nieodpowiada zapewne ideałowi, który sobie mogła wymarzyć, przyczem opisywał tak wyrażnie siebie, że nie mogła mieć wątpliwości o jego zamiarach. Odpowiedź jej była szczerą i uczciwą, i chociaż, gdy nie posunął się w ostrożnej deklaracyi do wymienienia siebie bez żadnej ogródki, o tyle teoretyczna, że nie mówiła mu: A więc—Twoja,—nie pozostawiała żadnej wątpliwości, że ten, opisany przez niego, mężczyzna może liczyć na jej: tak. Warunkiem jednakże było, żeby pozyskał przyzwolenie tej władzy, która ręką córki rozporządza.

Co do tego punktu Słuszewski obliczał zimno wszystkie za i przeciw, wtajemniczwszy się już dziś w ogólną sytuację i widoki zamążpójścia, jakie mogła mieć lub nie mieć

panna w rodzaju Łużyckiej, z dobrej rodziny ale z nie za wielkim posagiem, po dwóch odkoszach, odstrasza jąco działających na ewentualnych innych konkurentów panny, okrzyczanej na mocy tych danych jako kapryśna, w obec braku zresztą kogokolwiek starającego się na widnokręgu, gdyż Feliś Żętycki, zapytawszy się podobno o Tosię Milecką, ale odprawiony przez jej ojca, który, nawet nie kazawszy Felisiowi przedtem rozebrać się do oględzin, takiemu fizycznemu i moralnemu niedorostkowi córki oddać nie chciał, obrócił się czy obrócony został definitywnie do „porcelanki“,—przynajmniej jak zauważono, chodził za nią, jak cielę za krową, i oczy wybałuszał. Rezultatem tych refleksyi doktora było, że trzeba odczekać jeszcze tylko, żeby doszedł do skutku mariaż Żętyckiego z tamtą, i wtedy, gdy Łużyccy będą, straciwszy ostatecznie nadzieje tego związku, pod wrażeniem decepcyi, postawić swoją kandydaturę. Przypuszczał, że nie pójdzie to zupełnie gładko, ale liczył na ostateczny rezultat pomyślny.

Deklaracja jego tymczasowa w obec Jadzi, niewymieniająca wprost własnego nazwiska, nie była tego rodzaju, żeby Jadzia, chociaż

odczuwając lekkie wyrzuty sumienia, widziała się zobowiązaną przedłożyć ją ojcu.

Rzeczy pozostały więc w zawieszeniu.

Dla doktora to tem mniej pozostawiało rezyka utracenia innej szansy, że Paulina Styczyńska zawsze pozostawała do wzięcia. Czy rzeczywiście Edek Duleński się o nią był starał, czy nie, czy Paulina „odstawiła go z glancem“, jak się chępiła, czy Edek cofnął się sam, gdy, jak twierdzono, papa Styczyński, zamiast spodziewanych stu tysięcy talarów, zagadywany, oświadczył żartobliwie, że chyba tyle—ale nie tysięcy—butelek węgierskiego,—skwaśniałego, dodawano z cicha,—da córce, jeżeli pójdzie za jakiegoś darmozjada,—to trudno było zgłębić, gdyż Paulina, zdaniem jej własnego ojca, miała nieraz „bardzo szeroką buzię“, a Edek był za sprytnym, żeby się zaawansować za daleko.

Marynia Słuszevska która wcale nie przyjechała na karnawał, bo ojciec był gorzej i nie chciała go opuszczać, miała jednakże wciąż piśmienne relacye od Pauliny a zapewne i wiadomości od Jadzi,—pisywała bratu listy, które, pomimo ostrych przygan jego bałamuctwa, napełniały radością jego serce. Wypływało i

z szczerých wymyślań Pauliny, które mu siostra powtarzała, i z wzmianek Maryni w jednym z listów, namawiającym go na Paulinę, że z drugiej strony, jako kochająca siostra, nie chce mieć sobie do wyrzucenia, że go forsuje w tę stronę, a odmawia od innych projektów, które może nie są zupełnie niewykonalnemi, chociaż trudnemi do urzeczywistnienia,—musiała więc chyba Jadzia coś o nim Maryni napisać, zapewne jaką obojętną na pozór wzmiankę, z której jednak kobieca intuicja Maryni wyciągnęła wniosek odpowiedni,—wynikało więc z tego razem, że może być chwilowo spokojnym.

Pomiędzy innemi ważniejszymi i mniej ważnemi kwestyami z bezwzględnością próżniaków i ciekawskich plotkowano też o tem na poobiedniej kawie, gromadzącej mniej więcej to samo grono, które wieczorem spotykało się w Kasynie lub w Klubie, w kawiarni, przez której szyby wyglądać można było na Plac, czekając, czy się tam czasem coś nie wydarzy. Ale nie wydarzało się nigdy nic.

Tem skwapliwiej machały języki, ośliniając często rzeczy najświętsze, formując opinie, miażdżąc reputacye.

„No, czy ta psiakrew doktor ostatecznie się żeni z tą żółtą małpą, Styczyńską?”—pytał Makocki, którego ambicya cierpiała na tem, że on, miewający szybsze i pewniejsze wiadomości od każdej gazety, co nie przeszkadzało mu w danym razie je, gdy się okazały fałszywemi, równie, bez najmniejszej zgryzoty sumienia o wyrządzoną przez nie tymczasem szkodę, odwoływać,—nie jest w stanie zadowolnić, jak to w zamian za śniadanko lub zapomogę pieniężną było jego obowiązkiem, ciekawości pytających: co tam nowego w naszym miasteczku?

„Pan powinienesz najlepiej to wiedzieć, boś się pan przecież o nią starał”,—zwrócił się do Edka.

„Nie starałem się, ale ostrzegam, że też tu niedaleko są kije bilardowe, któreby się mogły zapoznać z pańskim grzbietem”.

Makoś przycichł i, chcąc ułagodzić Edka, zaczął wychwalać wdzięki jakichś dwóch szwaczek, mieszkających na Chwaliszewie, z któremi ofiarowywał się każdego, ktoby chciał, zapoznać.

„To jest, tę młodszą z nich, to ja chowam dla Starzeckiego,—śliczna dziewczuszka,—

nie ma jeszcze szesnastu lat, a on lubi takie“.

„Amateur des fruits verts“,—rozśmiał się Henio Włastowski.

„Ta psiakrew Józiek! innego by dawno ucapili“,—wtrącił Daś Żarkowski, którego żona po sprawunki posłała do Poznania, a który, chociaż jej wierny, interesował się jednak jeszcze kawalerskimi czynami innych,—„ale on w zamian za wiadomości, które znosi do policyi, może sobie używać bezkarnie“.

Potrzeba było całej głupoty Dasia, żeby się odezwać głośno o fackie, znanym i stwierdzonym, ale o którym tak otwarcie mówić rzadko kto się odważał.

Edek i Henio spojrzeli po sobie zakłopotani.

Na szczęście wybawił ich z zaambarasowania Makocki, który, sam mając sumienie nie zbyt czyste, bo i on zasiliał policyjne biuro polityczne wiadomościami, chociaż nie tak szacowanymi, jak tamtego, inteligentniejszego denuncyanta, nie lubił takich rozmów.

„I, zostawcie politykę tym wszawcom ludowcom,—ja tylko nie rozumiem że taki pan, taki magnat prawdziwy, jak ksiązę Ferdynand

Radziwiłł może dotąd wytrzymać w tem towarzystwie, takich Seyda, Korfanti e tutti quanti“, rymował powtarzając koncept starego Żarkowskiego,—„jabym im tam prezesował!“

„Możeby też pana nie wybrali“, — kpil Edek.

„Albo ten Maciek Mielżyński, — objeżdża automobilem od chałupy do chałupy, agituje, — podobno jak wyrzwał mowę na wiecu w Szamotułach, to te głupie chłopcy w piekło byłyby poszły za nim“.

„Czerwony hrabia“, mruknął Henio.

„A la belle comtesse rada“, dodał swoje Daś, składając hołd piękności hrabiny, która sobie wymieniony przez niego przydomek nawet w nieubogiej przecie w piękne kobiety Warszawie zyskała.

„Ludowcy zakładają nową gazetę, «Kuryera Poznańskiego»“, — recytował z ważnością Makos; „Gazeta się wścieka, naczelny dostał żółtaczki“.

„Przecież Kuryer już był zawsze, — mój ojciec go dawniej trzymał, bo mówił, że Gazeta za liberalna, — sam czytywałem“.

„Ale to nie ten“, objaśniał z powagą wyższości Makocki, — „tamten był jak się to mó-

wi,—ultramontanijny,—a ten teraz będzie całkiem co nowego, tylko tytuł ten sam“.

„Tamten upadał“,—objaśniał Edek, który z nich wszystkich najwięcej wiedział i interesował się poniekąd, pod wpływem siostry, sprawami publicznemi, „od czasu jak pan Ludwik Mycielski jeździł do Rzymu do mądrego Rampolli—na próżno. Minęły te czasy, kiedy Pius IX poświęcał chorągiew polską“.

„Co poświęcał, gdzie—kiedy?“ pytał Małkocki, z szczerem zdziwieniem, widocznie nic nie wiedząc o tym wypadku historycznym.

„Ano, w powstaniu“.

„Więc powstańmy i chodźmy na partyjkę“—zakonkludował Henio.

We drzwiach spotkali Starzeckiego z Słuszewskim.

„Dokąd chłopcy?“

„Do Kasyna“.

„No to chodźcie owieczki, pod strzyż,—jedną już prowadzę z sobą“.

Spieszyli się, bo wiatr dał ostry przez plac, tnąc ich w oczy żwirem.

W Kasynie przyłączył się jeszcze do nich Buszkiewicz, jakiś ponury i posepny.

„Co doktorowi?“ indagował ciekawie Makocki.

„Jakto, nie wie pan?“ improwizował za tegoż Edek, „sukcesyę wziął po ciotce — pod Czarnkowem“.

„No, to jabym nie był smutny“, zaopiniował z przekonaniem tamten, „a dużo? Nigdy tam nie jeździł“.

„Eh, jakieś paręset morgów,—ale wystaw pan sobie, jak tam nieprzyjemnie jeździć. Wie pan przecież, że w całym Księstwie wszystkie szosy budowane są z wiatrem,—wszakże tak?“

Makoś stropił się. Tego nie był pewnym. Spojrzał po obecnych. Ci zachowywali miny poważne. Jeden Daś, nie poznając się na żarcie, chciał zaoponować, ale Edek pociągnął go za rękaw i ciągnął poważnie: „A w Czarnkowskim akurat wszystkie szosy są zbudowane pod wiatr, aż nieprzyjemnie tam jeździć.“

„Co... tego... a dlaczego tak głupio zrobili?“

„Bo to jeszcze za polskich czasów,—jeometra się omylił“.

„A co za gapa“, wyraził Makocki swe oburzenie.

„Pod pruskim rządem toby się nie zdarzyło, co?“

„A naturalnie“.

Wieczorem już każdy, kto chciał i kto niechciał, usłyszał od Makockiego, że Buszkiewiczowi ciotka umarła i że wziął sukcesyjkę, tylko „niestety, w tem Czarnkowskim, gdzie wszystkie szosy budowane są pod wiatr“.

„A co też robi przyjaciel, Zaklika?“ zaindagował znów Słuszeńskiego Makoś, żądny zawsze wszystko wiedzieć o każdym,—„nigdzie go oddawna nie widać?“

„Pracuje,—byłem wczoraj u niego, siedzi nad projektem statutów Banku Centralnego Ziemskiego—przeciw wywłaszczeniu“.

„Eh,—proszę—co pan mówi“, zainteresował się Starzecki,—„i co to ma być?“

Doktór opowiedział, co w grubszych zarysach naszkicował już był Zaklika w rozmowie w redakcyi.—

Tymczasem Buszkiewicz nie opłakiwał żadnej ciotki, ale miał, jak się przyznał koledze Słuszeńskiemu, dwa powody do zmartwienia, raz, że z praktyką jego nie szło wcale a wcale, pomimo wszelkich usiłowań,—jak to czasem bywa, pech,—a potem zakochał się szczerze a nieszczęśliwie w Tosi Mileckiej. Nieszczęśliwie o tyle, że, chociaż dość porządny chłopiec,

raził pannę swemi pseudo-eleganckimi manierami. Po za tem był bez majątku i bez praktyki. Nie mógł więc liczyć, pomimo całej dobroduszości i ogólnej życzliwości dla młodych doktora Mileckiego, na poparcie tegoż.

Ale Mieczysława to zainteresowało podwójnie, raz, że gdyby ten kolega ożenił się z Milecką, zawsze odpadał jeden z młodych ludzi, których mu czasem Paulina wyliczała, jako jednego z tych, po których potrzebuje tylko mały palec wyciągnąć,—choć ta groźba nie była na seryo, ale zawsze mógł pokazać tem Paulinie, że się omyliła i tem ją trochę pognębić,—a potem, gdyby panna Milecka wyszła za jakiegoś tam Buszkiewicza, tem prędzej mogła wyjść panna Żarkowska za niego. Zresztą przykład małżeństw sam w sobie jest zaraźliwy. Te powody więc i, nie tyle dobroduszość lub ogólna chęć dopomożenia komuś, ile wrodzone wścibstwo skłaniały go do zajęcia się i zaopiekowania tym wypadkiem. Obiecał koledze popierać go w praktyce, gdzie tylko będzie mógł, chociaż to było raczej platoniczne, doradzał ostatecznie przesiedlenie się gdzie do małego miasteczka, gdzie lekarzowi jednakże bądź co bądź praktyka okoliczna musi coś-

kolwiek dawać, i namówił go, żeby poszedł z nim wieczorem do winiarni, dokąd sam czasem zaglądał, a gdzie wpadał zazwyczaj, chociaż nie pijąc sam najczęściej nic, doktor Milecki dla widzenia się z starym swym druhem, Bronowiczem, z którym przy wszystkich możliwych przeciwnościach łączyło go dawne koleżeństwo szkolne, radca sprawiedliwości Miller, dalej, tylko tam po za posiedzeniami swoich rad nadzorczych widzialny, do wszystkich banków należący, doktor Samkiewicz z czerwonym nosem.

Bywał tam także Styczyński, „naczelny“, inni starsi różnych pokroji i poglądów. Celu poparcia i zbliżenia kolegi do przyszłego teścia tam nie osiągnął, bo na skargi o złem położeniu lekarzy, które zaczął rozwodzić, odebrał od któregoś z starszych nie-lekarzy odpowiedź, że w innych zawodach jest jeszcze gorzej, i, bojąc się, żeby tych skarg jego nie uważano za osobiste i ztąd nie wnioskowano niekorzystnie o jego własnej praktyce, kwestyi popierania Buszkiewicza już nie wyprowadził na tapet, a próby tegoż zalecenia się łaskom doktora Mileckiego ten oczywiście nie zauważył wcale. Za to Samkiewicz, także ojciec córki

na wydaniu, znacząco, jak się wydawało Mieczysławowi, milczał, pociągając czerwonym nosem i z kieliszka i przypatrując się bacznie— a nuż życzliwie?—protegowanemu Mieczysławowi. Nie, to nie leżało w jego planie, żeby może Buszkiewicz uderzył po Samkiewiczównę! — Tak to zawsze się trzeba obawiać, żeby dobry uczynek nie pomścił się natychmiast na tym, który go popełnia.

Za to ciekawość Mieczysława znalazła tużer. Włastowski, jak opowiadano, jednak, koniecznie dążąc do rehabilitacji, wytaczał sprawę sprzedaży Włastowa przed sąd honorowy. Prasa prowadziła przeciwko niemu słuszną kampanję, jako jednemu z tych, którzy niedołęstwem swoim i lekkomyślnością uszczuplili zagon ojczysty,—akcją ogólną przeciwko sprzedawczykom wszczął był już dawniej zwłaszcza polski Dziennik Berliński, redagowany przez energicznego Karola Rose,—i występowała z żądaniem, żeby opinia publiczna nie okazywała się pobłażliwą dla sprzedawczyków.

Występowała tem goręcej, że Włastowscy, pokazując się zaraz po sprzedaży Włastowa podczas karnawału w towarzystwie, na zaba-

wach i po klubach, wyzywali niejako ostentacyjnie opinią.

Skoro mają na karnawał,—to wymówka, że z biedy sprzedali, jest oczywiście żadną!

Stary Włastowski, który może mniej zawinił od wielu innych, ale na którym, jak to bywa, mściły się równocześnie winy tamtych, nie wychodząc z ciągłego rozdrażnienia, w którym najpierw już szukał obrony w niepo czytalności, powoli, jak ludzie, których prześladowanie nie ustaje, zaczynał się uważać za ofiarę, zupełnie niewinną. Żądał więc wyroku oczyszczającego. Przedstawiano mu niebezpieczeństwo tegoż, który mógł wypaść nie po jego myśli,—odpowiadał: A zresztą wszystko mi jedno,—niech się raz skończy.

Uprosił z swojej strony na sędziów Żarkowskiego, ojca Dasia, i tak zwanego „barona“ Grabowskiego. Wybór pierwszego był niezły. Żarkowski, chociaż zakamieniały arystokrata i ztąd narażony na posądzenie strony przeciwnej o pewną przychyłność dla współziemianina, był jednakże, jak wiadano, gorącym polakiem. „Baron“ za to był tylko znanym społeczeństwu z tego, że, zaczawszy kiedyś żartem, teraz się seryo tytułował baronem, twier-

dząc, że jak są baronowie de l'empire, tak on jest baron de la Pologne, bo każdy polski szlachcic jest równy zagranicznemu baronowi. Z drugiej strony reprezentanci dziennikarstwa wybrali znanego z swego patryotyzmu doktora Mileckiego i,—gdy Bronowicz, jako powinowaty, odmówił,—jako powagę w mieście Styczyńskiego. Ci panowie na przewodniczącego wybrali dość niefortunnie hrabiego Worskiego, jako wice-prezesa Klubu,—prezes, senior rodziny hr. Zielińskich, był oddawna obłożnie chory,—przygnieceni trochę finansową wagą Worskiego, jaką reprezentował ten, jeden z większych właścicieli ziemskich Księstwa.

Sąd odbył się w parę dni później. Wyroku oczekiwano z zaciekawieniem. Wypadł on znacznie inaczej, niż się spodziewano. Gdy się sędziowie zjechali w Poznaniu w mieszkaniu Mileckiego, po wysłuchaniu stron obydwóch, przyczem Włostowski stawiał się osobiście, zaklinał się ze łzami w oczach i płakał szczerze, prasa zastąpioną była przez adwokata, i po zbadaniu materyału, mianowicie stanu hipotecznego Włostowa przed sprzedaniem, wykazu innych długów, ofert, które oczywiście z niższymi cyframi, właściciel odebrał zkadinał,

korespondencyi i pertraktacyi z kolonizacją, Worski po odstąpieniu stron z pokoju, gdzie się toczyła sprawa, zabrał głos:

„Panowie,—po przejrzeniu całego przedłożonego nam materiału, specjalnie ofert, które odebrał pan Włostowski, i pertraktacyi, które prowadził na wszelkie strony, niestety bez rezultatu, zanim się z bólem serca, jak widzieliśmy, zdecydował na smutną ale konieczną ostateczność sprzedaży Włostowa komisji kolonizacyjnej, ja jestem zdania, że wyrok nasz może zapaść tylko całkiem uniewinniający. Takiego ja jestem zdania. Pan Włostowski zrobił wszystko co mógł, aby majątek swój uratować od przejścia w ręce niemieckie. Postępując jak postąpił, uratował, bądź co bądź, kilkadziesiąt tysięcy marek. Czy lichy przedtem gospodarował, czy on lub rodzina jego wydawała przedtem za wiele, w to się nie wdaję; trudno, żebyśmy każdemu gazeciarzowi składali rachunki z naszych prywatnych wydatków. Właśnie, co mnie oburza, to bezczelność tych panów, którzy, siedząc, z przeproszeniem, na swoich wytartych spodniach, wydają jakieś wyroki o nas. Powinniśmy więc dać zupełną satysfakcyą Włostowskiemu. Takiego ja jestem zdania i nie

sądze, żeby kto był innego“,—i położył wiecznie brudne grube palce ciężkiej łapy na leżącym przed nim białym arkuszu papieru, pozostawiając na nim odcisk.

Baronowi tak się podobało zwłaszcza wyrażenie o wytartych spodniach, że, spojrzawszy z dumą na pli swych własnych, pośpieszył z sakramentalnem: „Zgoda“.

Żarkowski jednakże, po którego wotum zwrócił się teraz pytającym wzrokiem Worski, opierał się. Nie, — uniewinnić tak zupełnie, w obec ustalonego dziś i słusznego zdania ogółu, że sprzedaż na kolonizacye w każdym razie jest winą,—to przecież nie szło. Można było przyznać wszelkie okoliczności łagodzące, sformułować wyrok tak, żeby był niejako abstrakcyjnym, nie tykając osobistości, — ale uniewinnić zupełnie?—Ale Żarkowski miał jeden błąd—niesłuchanie dobrego wychowania; spory, kłótnie, sprzeczki były dla niego czemś, co instynktowo odpychał i przed czem uciekał. Gdy Worski ostro, gwałtownie wpadł na niego, tłómacząc mu swój pogląd, powtarzając wypowiedziane już argumenta w tonie nieznośnym repliki, gdy przytem wspomniał o łzach poważnego, wiekiem poważnego, jak był w ogóle

jednym z ich grona, człowieka, o obawie, do jakiego może nieszczęsnego, samobójczego kroku może tamtego popchnąć wyrok niesłuszny,— z wahaniem się i ociąganiem zaczął ustępować. Niespodziewany sukurs przybył przytem Worskiemu w-Styczyńskim. Temu racya o zbytecznem zaglądaniu w kieszeń trafiła do gustu. Przytem Worski mu imponował, nie tyle jako hrabia, co jako kilkakroć od niego bogatszy człowiek i zdolny finansista. Co taki człowiek powiedział, to musiało być świętem. Jeden doktor Milecki, ubolewając zresztą szczerze nad Włastowskim, nie dał się żadną miarą przekonać,—jak później żartowano przez dystrakcyą,—i złożył votum separatum.

Wyrok ten wywołał ogólne wzburzenie, ale bądź co bądź ferowali go wybitni, szanowani obywatele kraju, i Słuszeński zaczynał się znów więcej przechylać na stronę przysłowia: „Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać, jak i ony.“

X.

Lato wdzierało się upalnemi promieniami w najciaśniejsze zaułki miasta, wiało wonią pól o mury miejskie. Kasztany w Aleji Wilhelmskiej smugą zieleni przecięły gród w pół. Połowa, ciągnąca się ku dworcowi i aż za niego, nowsza i najnowsza dzielnica, to dziedzina niemiecka, z rzadkimi, rażącemi niemile oko zdobyców, plamami polskimi na germańskim korpusie, którego centrum dziś stanowi nowo wybudowany zamek, przeznaczony na rezydencją dla następcy tronu.

Od Aleji w dół przez Stary Rynek, wpół żydowski, wpół polski, gdzie stare klitki kupią się w koło pomnika dawnych czasów, ratusza, z orłem jeszcze polskim na szczycie wieży, przemalowanym na czarno, a splukanym deszczem i wyblakłym promieniami słońca do nentralnej szarości, jakby symbol tych polskich, przesiąkniętych niemczyzną, nie niemieckich

jeszcze, ale w pomieszaniu cech jednych i drugich czemś pośredniem będących mulatów, tak licznych w Poznańskim, posługujących się jeszcze narzeczem polskim, o pewnym lokalnym patryotyzmie, ale, nieświadomie, sposobem myślenia i obyczajem już zgermanizowanych,—w podle pojezuickiej Fary, której organ potężny, obok miejskiego ludu, zwołuje i podmiejskich Bambrów, potomków sprowadzonych przed wiekami kolonistów bawarskich z pod Bambergu, którzy spolszczyli się i z bogacili pod znakiem orła białego, zachowując tylko u kobiet charakterystyczny strój, rodzaj jakgdyby kokosznika na głowie i modę kilkunastu spódnic, ongi cechy zamożności, jedna na drugiej, że grube te postacie, z typem przeważnie grubokościstym, teutońskim, wyglądają jak w krynolinach,—do rdzennie polskich dzielnic ubogich, Chwaliszewa i Śródki z wyspą tumską; w katedrze Mieszko Stary i Chrobry Bolesław, jeden krzyż—drugi miecz dzierżą,—spiżowe postacie, otulone mgłą przeszłości, zaciągającą się coraz gęściej, znikając w niej, ustąpiwszy swego dziedzictwa w historycznym poniewolnym spadku burgrafom z Nuernberga.

W strony te zapędziła Mieczysława Słuszeńskiego nie pogoń za pacjentami, — bo z tych mizeraków, drobnych rzemieślników i kupców, co można było mieć?—jeszcze chyba dopłacać!—ale agitacya wyborcza, co prawda tutaj najmniej potrzebna, gdyż właśnie z tych najbiedniejszych każdy poczuwał się sam z siebie do obowiązku obywatelskiego. Obowiązku mało produktywnego teraz, gdy chodziło o wybory do rady miejskiej, bo klasowy, na finansowem różniczkowaniu wyborców oparty system zabezpieczał nierównie bogatszym niemieckim mieszkańcom Poznania taką przewagę, że na sześćdziesięciu radnych zaledwie około dziesięciu polaków zostawało rajcami. A jednak ludność polska Poznania wynosiła około 60% ogólnej.

Rozdawania kartek wyborczych podjął się doktor, na zawezwanie komitetu, z niewielkim entuzjazmem, bo zaczynał już ociążać i fizycznie,—i do dyabła teraz z tem łażeniem po piętrach i piwnicach!—i w obec wiadomego z góry rezultatu wyborów, któremu zapobiedz było niepodobieństwem, te trudy mu się nie uśmiechały,—choć z pozorną gorliwością. Tak ro-

bili wszyscy w sprawach publicznych, przynajmniej tak był skłonny sądzić.

Zawstydziła go trochę jednak i zadziwiła ta gorliwość i ważność, którą właśnie ci najbiedniejsi przywiązywali do aktu wyborczego. Nie potrzebne tam były żadne agitacye ani namowy. „Ino nam pan zostaw kartki“, mówili. „Zawinę ją w gazetę, żeby nam się nie zadziała“, umyślała rzemieślniczka, której męża nie zastał.

„A wasz pójdzie?“ pytał się dla pewności.

„Niechby on ino nie poszedł!—zresztąby się między naszymi nie śmiał na oczy pokazać,—toćśmy polacy“.

Tu był jeszcze szczery patryotyzm i prawdziwe poczucie polskości. Odstępcę wytykano palcami. Gorzej było w klasach zamożniejszych. Tu, dla uchylenia się od ciężącego podatku dochodowego, podawano, nieraz dochody mniejsze, a tem samem spadano do niższej klasy wyborców, których tysiące głosów tyle ważyło, co kilkuset, czy kilkunastu bogatych. Prawda, że skargi na obchodzenie podatku dochodowego, pomysłu genialnego pruskiego ministra finansów Miquela, były w Niemczech ogólne. Ale mianowicie tu w Poznaniu pensye

niezliczonych urzędników były natychmiast do skontrolowania, więc uchylania się od opłat a tem samem zmniejszenia cenzusu wyborczego rzadkie.

Powracając spotkał na Chwaliszewie dążącego też do domu doktora Mileckiego.

„Pewnie od księdza arcybiskupa?” spytał, z zdziwieniem jednak patrząc na jakąś kobiecinę, mizernie odzianą, która dreptała obok starego.

„Nie, ja tam teraz rzadko zachodzę,—sta-wiłem dyagnozę, niebardzo pocieszającą. Nawet Bronowicz ją potwierdził. Niewiele się należy naszemu arcypasterzowi,—kto będzie po nim?—o polaku ani myśleć. Nie daj Boże, aby ksiądz Floryan Stablewski był ostatnim prymasem Polski,—na drugie lata.—Ale,—nie ma kolega czasem przy sobie chustki do nosa? Musiałem zrobić na prędcę bandaż na zwichniętej ręce oto tej pacjentce, a u niej taka bieda, że literalnie nawet kawałka szmatki nie było,—a przeziębiony jestem i mam straszny katar“.

Słuszewski wydobył chusteczkę, robiąc w duchu refleksyę nad zasadami dezynfekcyi antyseptycznej, z którą najpewniej kolega wszedł

w kolizję, posługując się własną chustką od nosa.

Ale ten dodał: „Watę miałem przy sobie,— tylko na ściągnięcie... Teraz chcę babulcię zabrać do siebie, dać jej chociaż obiad, bo to ledwo kawą się żywi, i wypadało by ją zawięść, bo to słabe i operacya była niestraszna, ale zawsze bolesna, ale akurat wyzbyłem się po drodze wszystkich drobnych, jak to czasami trzeba, tu i tam po parę groszy na lekarstwa konieczne,— niech mię kolega poratuje jeszcze dwoma trojakami na tramwaj dla niej i dla mnie“.

Pojechali, Milecki podsadziwszy sam babulkę do tramwaju.

Chusteczkę odebrał Słuszeński w parę dni później, wypraną, i nie bez powodu przypuszczał, że to pracowite rączki panny Tosi dopełniły tego obowiązku, bo Mileckiemu, rozdającemu co miał pomiędzy ubogich, niezawsze na praczkę starczyło, nie gniewał się też tak dalece, że mu za jego dwa trojaki wsadzono jakieś marki patryotyczno-dobroczynne, które jako naklejki na listy miały stanowić dobrowolny podatek na cel na nich wskazany. Tylko, że go w dodatku Milecki nasłał znowu

kilku gratisowemi pacjentami,—teraz, gdy uważał, że dla reklamy w tym kierunku dosyć zrobił, stanowczo zbyt. zbytecznymi.

Chciano go też skarotować na Bank Ziemski, który wydawał nową emisję. Trzy miliony kapitału, zebrane mozolnie w ciągu lat kilkunastu, w poważnej części za kordonem, w obec stokrotnie większych zarobów kolonizacyi cóż to znaczyło? Uchwalono zebrać jeszcze przynajmniej milion. Kalkstein, wykaszliwując resztki płuc, zabiegał, chodził, jeździł, tłómaczył, zaklinał, prosił wszędzie. Ale emisya nie szła. Księstwo z zdecydowanym przesadnym niedowierzaniem od czasu jeszcze bankructwa pierwszego banku polskiego, Tellusa, które pociągnęło za sobą liczne straty i ruiny, patrzyło na przedsiębiorstwa, noszące charakter społeczno-narodowy. Składane pieniądze uważano raczej jako składkę obowiązkową, jako ofiarę, na przepadłe. A przecież Bank Ziemski, pracując w najcięższych warunkach, skrupowany ciężką własną machiną administracyjną,—gdy na zakupno każdego majątku trzeba było najpierw zwoływania i przyzwolenia rady nadzorczej,—gdy więcej przedsiębiorczy prywatni kapitaliści i pomniejsze banki chwytały trafia-

jące się korzystne okazyje w lot,—szykanowany na każdym kroku przez władze, wygospodarowywał i dawał akcyonaryuszom wymagane procenta. Ale akcyje, nie mając kursu giełdowego, w razie sprzedaży nie znajdowały nabywców; ofiarowywano je po czterdzieści procent. Jednakże kapitał przedstawiał się jako pewnie ulokowany, lubo w danym razie ciężki do zrealizowania, gdyż parcelacya nabytych majątków, rozłożona dla umożliwienia nabywcom bezpiecznego utrzymania się przy nich, co do spłat, na lata, natrafiała przytem wciąż na nowe przeszkody samowoli rządowej.

O tyle więc bank ten nie przedstawiał się jako interes, tylko, czem też miał być w swoim założeniu, akcyą społeczną. Do popierania tej brakło ochoty. Próżno wskazywano na przykład pobratymczych Czechów, którzy na cele mniejszej stosunkowo wagi, na teatr na przykład, złożyli milion w krótkim czasie. Ba, Czechy bogaty kraj przemysłowy,—u nas przemysłu niema żadnego, tylko rolniczy, koncentrujący się w gorzelniach, cukrowniach, kilku mączkarniach. Fabryk żadnych,—jedna większa maszyn rolniczych, z trudnością dorównywa-

jąca niemieckim i zagranicznym, — po za tem na tem polu nie.

Obywatelstwo sarkano, że na nie spadać ma wyłącznie ciężar tej akcyi, zapominając, że i jemu w pierwszym rzędzie, utrzymaniem nabywcy na majątki ziemskie, przychodziła ztąd korzyść. Worski chwalił się, że z kwitkiem odprawił zwracających się do niego. Łużycki dał, chociaż już dawniej podpisał poważny udział, znaleźli się i inni. Królestwo i prowincye zabrane, poruszone, pośpieszyły z pomocą; Małyński dał dwakroć sto tysięcy, — mecenas Osuchowski niestrudzenie krzątał się po Warszawie, — ordynat Zamojski, zawsze gotów do ofiar na cele publiczne, złożył sporą sumę w myśl szczytnej zasady, że kogo przodkowie rozszerzali dzierżawy ojczyzny, dba o to, żeby się one nie uszczupliły.

Miljon zebrano. Dla Kalksteina była to ostatnia pociecha przed zgonem jego, który miał niezadługo nastąpić.

Słuszewski się wymigał. —

„Doktoru, nie wybrałby się doktorek z nami na parę dni do Berlina, — nach Berlinchen?“ zagadnął go któregoś wieczoru u Krenza, gdzie grała w ogrodzie jakaś fantazyjna

serbsko-rumuńska kapela, szambelan Starzecki,—„jedziemy całą paczką, Duleńscy, to jest Marjetka Grabowska z Edkiem, baron Wincio, Henryczek Włastowski i ja. Tu wściekle nudno,—przytem miałem zmartwienie, muszę się rozruszać. Jedź z nami“.

Jakiego rodzaju było zmartwienie szambelana, doktor słyszał już uprzednio od wszystko-wiedzącego Makockiego. Najmłodszy syn Józka, gimnazysta, wdał się w jakieś złe towarzystwo,—ci smarkacze mieli, między nimi także Staś Żętycki, jakgdyby jakiś związek tajny, chociaż tego im na szczęście nie można było dowieść, bo byłaby sprawa sądowa, ale w każdym razie nosili szpilki z orłem i uczyli się wspólnie historyi i literatury polskiej. Z biedą skończyło się na przeniesieniu obydwóch do Poznania pod warunkiem, że mieszkać będą na stancyi u niemieckiego profesora „Może jednak doktor sobie wyobrazić, jaki to miły pasztet dla Józka,—kłął w żywe kamienie!“

„I udzielił nam kilku spostrzeżeń o literaturze niemieckiej i polskiej“, dodał Edek,—naprzykład: „co mi tam wasi jacyś poeci?—Schiller, Goethe, Hermann und Dorothea, das ist was!—a tam te inne,—głupiemu chłopakowi

niepotrzebne nawet o tem wiedzieć. Nie chcę żeby mój syn wyszedł na jakiegoś zapaleńca, jakiegoś patryotę,—niech będzie lojalnym poddanym pruskim i basta!”

Edek w poglądach swoich robił się coraz opozycyjniejszym. Wpływ Marjetty, „ścierki“ ale polki, działał. Trzymając i szukając dla wspólnej zabawy kompanii z szambelanem i jemu podobnymi, ci dwoje na punkcie patryotyzmu odstawali jednakże od tego towarzysztwa.

Doktór był gotów pojechać, czemu nie. Racya, że nudno było w tym Poznaniu. Teatru już w lecie zgoła, bo wyjeżdżał na cały sezon, w Kasynie i na Klubie brakło kontyngensu wiejskich gości, rzadziej niż na zimowe wieczory zaglądających do „miasteczka“, kilka marnych ogródków z wątpliwej wartości rozkoszami muzycznymi nie dawały żadnej przyjemności. Przytem prowadził z musu życie nader wzorowe,—spragniony był ciała kobiecego. Stręczył mu Makoś jakieś dziewczuszki, ale bał się z względu na swoje dwie „narzeczone“, żeby to się w danym razie czasem nie wydało, i odmówił, ku wielkiej obrazie Makockiego. „Co to, czy doktorowi nie dosyć ładne? Już

jak ja zarekomenduję, to i w samych „Amorsäle“ pan nie znajdziesz nie lepszego“.

Ale właśnie za temi berlińskimi „Amorsäle“ tęsknił doktor, z ich postrojonemi, pomalowanemi pięknościami, pudrem i zapachem lichych perfum. Nie był organizmem zgoła wykwinnym, i te damy dawały mu, chociaż znał je przecie i ich sposób zachowania się, iluzję tego, co zawsze dla jego grubej dosyć, kaszubsko-chłopskiej w gruncie natury, było wyrazem najwyższego dla niego ideału: hrabin.

W Poznaniu był co prawda Bar Amerykański z słynną na Poznań Selmą, ale bał się, żeby pokazywanie się w tym lokalu nie wydało się przed Pauliną, a jeszcze więcej przed Jadzią; tamta by to rozgadała, ta nie przebaczyła. A w dalekim Berlinie...

U pacjentów mógł go przez parę dni zastąpić Buszkiewicz, po którym się nie potrzebował obawiać, że mu może coś z praktyki urwie, bo tenże przenosił się w najbliższych miesiącach definitywnie na prowincję.

Podróż była wesoła, okraszona wymysłaniem szambelana na wszystko co polskie, kpinkami Edka z barona, dowcipami, chociaż ciężkiemi, tegoż, ironicznemi uwagami pani Mar-

jetty. Henio Włastowski wahał się, czy w Berlinie więcej jej się poświęcić, czy grze. Szambelan miał go wprowadzić do jakiegoś klubu, gdzie jak zapewniał, „różne żydki chętnie grają, ino nie umieją.“

Kiedy się znaleziono wieczorem w wielkomiejskiem morzu światła, jakim płonęła stolica Niemiec, tak mile kontrastującym z ospałą ciemnią wieczoru Poznańskiego, Słuszewski przechylał się zupełnie do zdania szambelana, że Berlin jest jednakże rozkosznem miejscem pobytu i smutnem jest pędzić życie, jakby na wygnaniu, w jakiejś tam prowincjonalnej dziurze. Ba, gdyby ten Berlin nie był tak drogi!

Dobra kolacyjka, oczywiście nie niemieckiej, tylko francuskiej kuchni, w jednym z pierwszorzędných hoteli, podreperowała zwątlone podróżą siły. Potem Wintergarten! Na ogromnej sali tłoczy się tłumami publiczność. Reichsfuerst i Bauernfaenger, bogaty fabrykant i commis, kobiety z całego, nadłamanego, pół i cwierć świata. Szampan i piwo. Na estradzie słonie, psy i foki i ludzie tresowani w łamańcach. Śpiewające i tańczące premiowane piękności wszystkich narodów. Brylanty wspiania i fałszywe. Komicy silą się na kuplety tłuste

i quasi polityczne. Jeden z nich opiewał wyższość Niemców nad wszystkimi innemi narodami, kreśląc z kolei upadek tamtych w obec Germanii:

Und mit dem Polen ist's auch so,
Er weicht vor dir, Germania,
Der Adel geht nach Monaco,
Der Bauer wandert nach Amerika!

Oklaski!—„Chodźmy ztąd,—mam dosyć“, rzekła pani Marjetta.

„Nanu, gnädige?“ zadziwił się szambelan.

Młodzi z wyjątkiem Edka, solidaryzującego się z siostrą, nie mieli też ochoty wychodzić przed końcem przedstawienia. Ale polski baron, już dobrze cięty, wziął jej stronę. „Maracyą Marjetka,—co innego przyjechać do Berlina na zabawę, ale żeby nam te huncwoty za nasze pieniądze jeszcze wymyślały, tego nam nie potrzeba!“

Wstał, przewracając z hałasem krzesło.

„Ruhe, ruhe,—pst!“ odezwało się z różnych stron.

„Pokażę ja wam ruhe,—całujcie mnie w nos!“

Młodzi wzięli go w środek. Gdy się zna-

lezione na ulicy, pani Marjetta pożegnała ich; brat ją odwoził do hotelu.

Doktor spojrział za nią pożądającym wzrokiem. Po co tu szukać po Berlinie,—gdyby ta tylko chciała! Przecież mówiono o tym i owym, a odciągnawszy z tego połowę na poczet gadulstwa łaskawych bliźnich, zawsze napewno zupełnie wierną swemu mężowi nie była. I, potępiając ją, przecież z takim mężem było to zrozumiałem.

Odwracając się znowu do swoich towarzyszy, spotkał się z oczyma Henia, goniącemi ją tak samo.

Baron mamrotał: „Na to przyjechać do Berlina, żeby się dać wieczorem odwozić przez swego brata,—to, chociaż moja szwagierka, ale szczyt Stumpfsinnu“.

Potem zaczął kląć na Berlin i szwabów, odgrająjąc się, że jeszcze dziś wyjedzie, tembardziej że ma pilny proces z kolonistami niemieckimi, którzy mu szkody robią.

„I wyobraźcie sobie, te złodzieje rzeczoznawcę gospodarczego, którego ja proponowałem, odrzucili, bo ten, podług informacyi, które sąd zasięgnął w policyi, jest tam zapisany jako „stiller polnischer Agitator“!—Szelmcy bo

szelmy, — żeby przynajmniej nie były takie harde!...“

Towarzysze czekali, aż się wysapie.

„Najchętniejbym sprzedał, żeby raz mieć spokój, chociażby na kolonizacyą, ino nie mówcie tego“, mruknął w formie konkluzyi, „żeby mi tylko kto ten interes zgrabnie chciał wykręcić“.

„Thi, toż chyba o takiego nie trudno“, rozśmiał się Henio, „toż to jedyny interes, na którym można coś zarobić“.

„No, chłopcy, a więc z resztą wieczoru oczywiście nie możemy nic innego zrobić, jak auf nach den Amorsälen! Edek wie, bo mówiliśmy, o tem przedtem,—odnajdzie nas. Auf in den Kampf, Toreador!“ zanucił szambelan „jeszcze trochę wcześniej, żeby tam iść, ale—kiedyście tacy niecierpliwi“.

Przy marmurowych stolikach na tle luster w pozłocistych ramach po czerwonych aksamitach kanapek rozsiadały się—te panie. Bliżej przyjrząwszy się, marmur trochę przybrukany, lustra miejscami przyślepłe, aksamit wyciera się, tak jak młodość i piękność tych dam wskazywały liczne skazy. Ale, pomiędzy starszą gwardyą, co pamiętała już niejedną kampanją,

dużo młodych, rozrosłych, dorodnych dziew,—
ordynarnych naturalnie do obrzydliwości.

Cygańska muzyka przygrywała. Wśród
kręciło się par kilka, przeważnie kobiety z ko-
bietami, oczekując nadejścia mężczyzn, któ-
rych było dotąd zaledwie kilku na sali. Ale
w kącie, rozwalonego na kanapie, w towa-
rzystwie kilku butelek i Selmy, spostrzegł Słu-
szewski Regirungsrata Langer. Ukłonił im się
grzecznie, nie przerywając sobie miłego wyw-
czasu.

Dziewczyny po większej części podcho-
dziły same do nich, wdzięcząc się, dopraszając
się, by im zapłacili kolacją i wino. Bardzo tu
miło można było czas spędzić przy butelce,
tańcu i w wesołem, zupełnie nie sztywnem
towarzystwie.

Co prawda te panie nie były nader dow-
cipne, ani zabawne, ale za to nie potrzeba się
było z niemi żenować.

Dzień już był zupełny gdy wychodzili.

„W lecie to rzeczywiście skandalicznie
prędko dzień się robi!“—zauważył baron.

Doktor miał zawieszoną u ramienia Alzat-
kę, pół francuskę, która miała z figury i rysów
niejakie podobieństwo do Jadzi. W innym to

byłoby wstętu wzbudziło,—jego podrażniło. Zabrał ją z sobą.

— Ulicami ciągnęły mrówczym sznurem kolumny robotników do pracy. W nich szła siła i potęga przemysłu niemieckiego.—

Zeszli się na późnem śniadaniu u Hillera pod Lipami.

Słuszewski, porównywując panią Marjetę z swoją zdobyczą minionego wieczoru, doszedł jednak do przekonania, że tamta nie była zupełnie hrabiną i próbował pozyskać względy tej prawdziwej. Z drugiej strony robił tejsze gwałtowną kurę Henio.

Doktor zaczął od przeproszenia, że nie był nigdy na tej czarnej kawie, na którą go kiedyś zapraszała.

„Oh, zapomniałam już o tem dawno“,—zaśmiała się,—„zresztą *qui va à la chasse perd sa place*“,—i obróciła się do Henia, flirtując z tym zawzięcie.

Słuszewskiego zirytowało to. Z początku myślał, że Marjetta, zajmując się tamtym, próbuje tylko znanego środka wzbudzenia zazdrości w tym, którego wizuje naprawdę, to jest w nim, ale przekonał się, że przysłowie francuskie w tym wypadku miało rację. Ale

jest jego jakaś druga część, obiecująca powracającemu myśliwemu porażkę intruza. Mięszał się do rozmowy, usiłując ukazać swą wyższość umysłową nad współzawodnikiem, ale z lichym rezultatem; bo o ile tamten co do inteligencji i wykształcenia nie stał może nawet na bardzo średnim niveau Mieczysława, o tyle bił go jednakże lepszym wychowaniem, osładzającym po trochu bezbarwność jego wzięcia się i rozmowy. Mieczysław spróbował wtedy zaaplikować heroiczny środek, zalecany mu ongi jako uniwersalny przez jego paryżaneczkę, fizycznego dotyku, jak się to nazywa w języku lekarskim. Nadepnął sąsiadkę swoją na nogę, w tak niezgrabny, niedźwiedzi sposób, że aż syknęła, potem zakomenderowała zimno, patrząc się na niego z drwiącą pogardą: „Nogi pod siebie!“

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Oczywiście nikt z tych panów tego wybryku doktora przeciwko konwenansom nie brał tragicznie; zdekonfiturowana mina jego pobudzała ich tylko do mało wyborowych conceptów.

Mieczysław pałał złością. Gdy Włastowski na chwilę, zagadnięty przez szambelana, czy chce z nim do wspólki wieczorem mały ban-

czek założyć u żydków, wdał się z tymże w rozważenie szans tej entrepryzy,—rozmowa która zainteresowała także barona i Edka,—doktór zagadnął złośliwie piękną panią:

„A gdyby tak Henio ośmielił się na to, co ja?“

„Niewiem jeszcze“, odparła,—„możeby mi to zrobiło przyjemność...“

„Ale co pani się właściwie w tym panu podoba?“ indagował, upokorzony w miłości własnej.

„Także pytanie, stawiane kobiecie!—może właśnie to, że mi się wcale niepodoba!—Tak jak pan mi się naprawdę nigdy nie podobał,—a teraz gorzej, jest mi pan zupełnie obojętnym i nie ciekawam pana“.

„Czemże zasłużyłem na tę pogardliwą obojętność?“ dopytywał ironicznie.

„Pan należy do tych mężczyzn, którzy nie są zdolni do prawdziwej miłości,—u pana może być tylko uczucie—fizycznego pożądania,—jak to zresztą, zupełnie tak samo bywa u mnie. Voilà!“

„Dziwna niekonsekwencya,—pani sama się przyznaje, że pani nie jest zdolną do tego,

co pani nazywa prawdziwą miłością... Co to zresztą ma być?

„Szacunek z sympatją, połączone z—tamtym. Nie twierdzę, że jestem niezdolną do takiego uczucia, tylko—jeszcze nie napotkałam mężczyzny, któryby je we mnie wzbudził, a,—przyznaję się otwarcie,—mam zmysły“.

„Jakgdyby to kobieta umiała różniczkować—jedno od drugiego?!“ tryumfował argumentem, wyczytanym w romansie któregoś z patentowanych psychologów francuskich.

„I lepiej dla niej może, jeżeli nie różnickuje, bo ma przy drugim iluzję pierwszego, ale czy pan sądzi, że nie ma kobiet, dla których to, co się nazywa faire l'amour, jest tylko funkcją fizyologiczną, jak u większości was, mężczyzn?“

„To jest filozofia, z którą się dochodzi do dobierania sobie do tych funkcyi—fuszpana lub lokaja“,—tryumfował.

„Bah!“

„I co pani upatrzyła w takim razie w tym zblazowanym Heniu, który nie zdaje mi się przedstawiać przymiotów fizycznych—fuszpana czy lokaja?“

„Przypuść pan, że, w braku czego innego,

pewien cel do osiągnięcia działa na nerwy podniecająco, — rywalka, — kto będzie silniejszym, dama pikowa, czy ja?“

Chciał jeszcze wyciągnąć z skarbnicy swojej wiedzy reminiscencyjnej, że ratowanie magdalenek nigdy się nie udaje, więc i vice versa dam kameliowych męskiego rodzaju, ale nim potrafił ułożyć sobie pięknie ten aksjom i sformułować tak dosadnio, jak właśnie chciał w tym wypadku dla definitywnego, przynajmniej teoretycznego tryumfu nad swoją przeciwniczką, Henio zagadnął ją o jej plany na wieczór a baron jego o adres alzatki.

Pani Marjetta życzyła sobie iść do kawiarni wiedeńskiej, w której grywał na skrzypcach z orkiestrą swoją jakiś pod tę chwilę sławny pseudo-Rigo. Kobiety paliły się do niego. Tony z skrzypek rzucił jak haczyk wędkę w serca ich, przyciągał je sznurami melodyi dzikich, tęskich, gorących, i uwiniętemi w koło smyczka wstrząsał tryumfalnie. Przysadzisty, barczysty, czarny i brunatny, prawdopodobnie brudny, ubrany z elegancją pół kelnera wiedeńskiego, pół apasza z banlieue Paryża. Ale czerwony krawat i ogromne brylanty działały pokrewnie na jaskrawe suknie i niemniej ra-

zące biżuterye dam z tego samego milieu, drażniły kontrastem ordynarności wykwintne, znudzone z innego. A skrzypki grały. Z ich dźwiękiem roztaczały się obrazy puszczy węgierskiej, galopujących, dzikich indyan—pastuchów, kruczo włosów dziewczyn z płonącymi oczyma, gędźba, śpiew, dymy szatr cygańskich, pomieszane z zapachem kwiatów stepu. Łkało to skargą i szumiało wichrem i tętniło uderzeniami kopyt końskich o twarde łono ziemi i tupaniem bucików czerwonych, brzękiem ostróg w czardaszu, fruwało drażniącym szmerem wirujących kolorowych spódnic, splecionych z obcisłymi spodniami. Potem cicho,—kilka oderwanych, drgających tonów jeszcze, jakgdyby podrzuty skłębionych ciał, i wśród atmosfery gorejącej zmysłowem rozpaleniem, ciekawej ciszą podnieconą żądzy, odjął smyczek.—Szalone brawa i oklaski.

Potem grał jeszcze jakieś potpourri historyczne—mniej udane. Ale chociaż brakło w niem poprawności, wysubtelnienia, jednakże i w tym zlepku melodyi i akordów przebijały dźwięki jakiejs pieśni dzikiej, jakgdyby z czasów najazdu Hunnów przechowanej, wyciem wilków, piskiem piszczałek,—potem chwila spo-

koju, szereg potężnych tonów,—Arpad, pierwszy król, twórca narodu, koronę kładzie na skroń, brzmi organów celebrujących powaga,—płacz i zgrzyt,—na szubienicę austryjacką wiodą węgierskich magnatów, idą, wśród płaczu swoich, rzędem, na hańbę, na chwałę,—owijane w rzewne piosnki Petöfiego, pobudki bojowe,—pod koniec, już najmniej udane, poplątanie motywów narodowych z niemieckimi, walczyk praterowski.

Zakończył R-radeckim.

„Zepsuł mi się trochę tym Radeckim, ale miałabym ochotę zaprosić go na kolację“,—odezwała się piękna Marjetta, „Edziu, idź, zaproś go“.

Edek się jednak troszkę skrzywił, Henio znacznie więcej, Mieczysław dochodził do paroksyzmu gniewu. Ale szambelan z baronem zadecydowali, że panu i kpu wszystko wolno.

„Czemu panowie nie mają sobie zaprosić kpa, żeby ich zabawiał“,—zaopiniował baron,—„weźmiemy go do gabinetu, niech nam bestya gra, aż mu paluchy pocierpną,—zapłacę,—zwłaszcza tego ostatniego, co to aż szyby drzą,—lubię to, ram, tam, tam...“

Maestro przyjął inwitacją, akcentując, że

łaskę tem robi, mając tyle innych zaproszeń. Zresztą okazał się tylko tak długo możliwym, dopóki grał. Henio marmotał, że mu kości połamie, ale Marjetta osadzała zazdrośnego jednym spojrzeniem, jednym muśnięciem ręką, na miejscu. Posłuchał jej przestrogi: Nie wolno być zazdrośnym i gentleman musi zawsze być gentlemanem.

Doktor był szczerze oburzony i—postanowił jutro jeszcze być u alzatki.

Kto odniósł prym z tamtych dwóch, nie mógł na drugi dzień się dowiedzieć. Szambelan twierdził że cygan, baron jednakże, z tytułu pokrewieństwa lepiej poinformowany, zaręczał, że Henio.

„Nie, takiego znów złego gustu nie ma meine liebe Schwägerin; tamten był jej tylko do podreizowania się,—no, będzie jeszcze z tego miała kiedy jakie nieprzyjemności, choć sam-bym się pierwszy z nią wypuścił, gdyby nie, że to byłoby trochę kazirodztwo, bo im allgemeinen bin ich für das Familienleben!“—

Niestety pobyt w Berlinie tak mile zaczęty wypadło skrócić. Henio zgrał się zaraz następnego wieczoru, a szambelanowi pomiędzy żydkami też szczęście nie posłużyło. Trzeba było

wracać z żalem po niedopitym kielichu rozkoszy. Byli jeszcze w jednym teatrzyku na jakiejś farsie, na której uśmiali się; była to przeróbka z francuskiego.

Wracali jednym pociągiem z Langerem i z Selmą. O tej wiedział Słuszewski, że była właścicielką baru amerykańskiego w Poznaniu, do którego uczęszczali młodzi i starzy, złota młodzież, miała tam zawsze kilka kelnerów—do obsługi. W Berlinie prawdopodobnie szukała nowego towaru. Za to, że w państwie bojaźni Bożej policja przymykała oczu na to, co się w tym lokalu czasem odbywało w gabinecikach, wywdzięczała się, jak sama opowiadała, tem, że gdy posłyszała z rozmowy pijanych gości co ciekawego, donosiła o tem policyi. Czasem zdarzała się i jaka polityczna nowinka. Policja przyjmowała skwapliwie i jaknajbłahsze i fałszywe często, zaciągając te z różnych mętnych źródeł zbiegające się wiadomości do akt personalnych, prowadzonych o każdym politycznie podejrzanym z niemiecką systematycznością, tak że dochodziły do donosów i opinii różnych organów administracyjnych i policyjnych i wycinki z gazet polskich, dotyczące odnośnych osobistości. Tak w później-

szej aferze szpiegowskiej w Nançy odegrała niejaką rolę niemka, właścicielka tamtejszej kawiarni. Jej poznańska koleżanka, mniej zręczna, kiedyś, sama pijana, rzuciła w twarz szambelanowi: „No przecież my pracujemy oboje w tych samych branżach!”

Warunki były podobne.

Wśród denuncyantów odwiecznym trybem, jak za Roźnieckiego, figurowali ludzie wszelkich klas.—

Za przykładem Starzeckiego, Słuszewski wysunął się na chwilę z przedziału na kurytarz, na którym ziewał, nudząc się, Herr Regirungsrat,—Selma chrapała w przedziale obok. Prosta grzeczność i prawie miłosierny uczynek, zamienić z nim słów kilka.

„A co robi pański przyjaciel Zaklika? dawno go nie widziałem“, zapytał w trakcie rozmowy pan radca,—„a czasem lubiłem z nim wypić szlanke piwa, nawet jeszcze w Poznaniu,—trochę szowinista, ale wcale miły człowiek“.

„Pracuje“.

„Tak?“

„Nad planem nowego wielkiego banku ratunkowego“. Te słowa szambelana, powtarza-

jącego wiadomość, udzieloną mu przez doktora, wpadły jednakże niemile w ucho tegoż. Może niepotrzebnie się wtedy wygadał. Pożegnał się szybko z Ratem, pozostawiając go w konferencyi z Starzeckim.—

Ogólne wrażenie z bytności w Berlinie, pomimo że tak fatalnie wypadło ją skrócić, było bardzo zadawalniające, i rozstano się z obietnicą powtórzenia jaknajrychlej tej eskapady. Tylko pani Marjetta zapowiedziała, że ona jedzie na przyszły raz do Warszawy, byle tylko mąż jej był o tyle znów przy zdrowiu, bo co innego do Berlina, gdzie się nie bywa w żadnym salonie.

Tamci tego projektu słuchali z zdziwieniem, jakby rzeczy niesłuchanej. Dla nich świat się kończył o milę za Toruniem.

XI.

W tych samych prawie dniach, w których Mieczysław sprzeniewierzał się Jadzi w Berlinie, ta opierała się ostatecznym nagabywaniom Felisia Żętyckiego, który na małą fetkę z okazji imienin pani Maryi Zaruckiej, obchodzonych na jej cześć u brata, przyjechał do Lipna. Dał był już Jadzi spokój zupełnie, assistując Włostowskiej, ale przyszły jego szwagier, Henio był tyle niegrzecznym, że, antycypując powinowactwo, zwrócił się krótko przed wyjazdem swoim do Berlina, potrzebując tamże na grę większej sumy, do przejeżdżającego przez Poznań Felisia o pożyczkę. Feliś dał pieniądze, ale naraził się na ostrą krytykę Makockiego, który tę operacją finansową podpatrzył a sądząc, że Feliś równie dobry użytek byłby zrobił z swych biletów bankowych, wręczając je jemu, Makockiemu, ostrzegł i nastraszył Żętyckiego perspektywą dalszych więk-

szych tego rodzaju manipulacji, gdy z Włostowskimi wstąpi w bliższe związki. Proszony przytem wyraźnie przez upartego w swych planach Dasia, Feliś podążył do Lipna.

Osób tu było niewiele. I na prowincyi życie towarzyskie zamierało, raz w obec ciężkiego usposobienia poznańczyków, ich formalnej sztywności, nie nadającej się do bezpretensjonalnych, codziennych sąsiedzkich stosunków, a potem, że, po wykupieniu więcej niż połowy majątków ziemskich w Księstwie przez obcy żywioł, te sąsiedztwa stawały się rzadkiemi. I tak od Lipna w okręgu trzymilowym jedynym domem polskim był Dziedrzyn Żarkowskich. Zresztą z jednej strony okalała Lipno kolonizacya, z drugiej strony majątki jednego z arcymistrzów hakaty, Tiedemanna.

Dla dalszych gości przyjazd już był nieco uciążliwym.

W ogóle, po za imieninami lub Świętami Wielkanocy czy Bożego Narodzenia, zjazd gości w Księstwie się przestał wydarzać.

W Lipnie znajdowała się też oprócz hrabiego Worskiego, który zjechał dość niespodzianie, przeważnie tylko rodzina, kilku Łużyckich, pani Zarucka z córkami. Z Poznania

był doktor Milecki, oddawna lekarz przyboczny wszystkich Łużyckich, z Tosią, — pani Milecka, schorowana, od wielu lat nie opuszczała swego mieszkania, — i przyjazd tych już niekoniecznie był po myśli Dasiewi i jego żonie, bo ów doktor z Poznania, o którym bąkano, że się stara o Tosię, żenił się podobno z córką doktora Samkiewicza, czy Bronowicza, jak głosili inni, więc ten idzio Feliś mógł zawrócić i do Tosi, ale gorzej, że również dość niespodzianie, bo znając się co prawda dobrze z Lipnem, gdzie jednakże jeszcze od czasu jakiejś małej zabawy za panieńskich jeszcze czasów Helenki Żarkowskiej nie byli, zjechali starzy Włostowscy z porcelanką, wstępując po drodze do Dziedrzyna z podziękowaniem staremu Żarkowskiemu za wzięcie udziału w sądzie honorowym, a łącząc z tą podzięką dojazd do Lipna.

Czy owo podziękowanie, które się zresztą należało, było tylko pretekstem dla pani Włostowskiej, aby dojechać do Lipna, gdzie, musiała się baba zwiedzieć, że Feliś, podcięty szpicrutą, to jest zaproszeniem Dasia, ma brać ostatnią przeszkodę, — jak gotów był przypuszczać Daś, — czy niesłusznie posądzał panią Wła-

stowską o tę matczyną gorliwość pogoni za
 zięciem,—w każdym razie Feliś miał teraz nie
 jedną ale trzy przeszkody do wyboru. W do-
 datku zdawała mu się najwięcej podobać ślicz-
 na Frania Łużycka, którą widział po raz pierw-
 szy, bo jeszcze nie występowała na balach,
 ale której obecności jako dorosłej w domu nie-
 podobna było utaić. Zwyczajem swoim nie
 mówiąc nic, co w jego wypadku było naj-
 mędrszem, bo

„trudno nieraz słów zgłębić przepastną
 głupotę“,
 —zacytował, Bóg raczy wiedzieć zkąd, kiedyś
 o nim Edek,—z palcami wskazującemi wsunię-
 temi w kieszonki kamizelki frakowej, snuł się
 za nią jak cień, gdy trzy gracye, podług wy-
 jątkowo nie hippologicznego tylko mytologicz-
 nego porównania Dasia, zbite w jedną grupę,
 to jest Jadzia, Tosia i porcelanka, miały wszel-
 ki powód, zdaniem tegoż Dasia, zastanawiać
 się nad zmiennością losu, który dzisiaj podkła-
 da nam pod nogi milion talarów, bo tyle ośm
 tysięcy morgów Żętyckiego mogły być warte,
 a niebawem patrzeć nam każe na to, jak ten
 milion, odsunawszy się nam, podsuwa się ko-
 mu innemu.

„Bierz, głupiunia, kiedy ta mądra Słomińska nie chce“,—doradzał Frani. Ale trzpiot dziewczyna śmiała się srebrnym śmieszkiem: „Po starszemu na gałąź.“

Po kolacyi, dość wystawnej, gospodarz domu z starszymi panami przeszedł do fumoiru. Rozmowa oczywiście toczyła się o gospodarstwie i o polityce. Sam pan Włodzimierz, Milecki, Żarkowski najwięcej zabierali głos. Stawiano horoskopy naszej przyszłości, po części nie wesołe.

„Czytałem niedawno w którymś z dzienników niemieckich zdanie jednego z mężów stanu europejskich, który nas zalicza do narodów na wymarcu, i rzeczywiście, patrząc, co się u nas dzieje, na nasze biedne, na wpół już zgermanizowane Księstwo...“

„Nieprawda“, zaprzeczył gorąco Milecki, „jesteśmy jak chory, którego wciąż na śmierć skazują,—ale który posiada niezwykle siły witalne“.

„Z tem wszystkim, doktorze“,—wtrącił Żarkowski,—„germanizm nas zalewa; jak z wiekami przeszedł przez Łabę i przez Odrę, jak przekracza już Wartę, tak i do Wisły dojdzie, jeżeli...“

„Jeżeli?”

„Jeżeli koalicja ludów słowiańskich nie stawi mu skutecznej zapory“.

Żarkowski był panslawistą. Idea ta, niepopularna w Księstwie, i tu spotkała oponenta w Łużyckim.

„Ba, jak sobie tę koalicję pomyśleć,—Straciliśmy już w tej niedobrowolnej koalicji Litwę, boć tam jest tyle właśnie polskości, co u nas, to jest wpół na pół z obcym żywiołem,—a co z prowincyi zabranych uważać jeszcze można za polskie?”

„W każdym razie jest jeszcze rdzeń polski, Kongresówka“, bronił Żarkowski, „a, choćby wyrzec się przyszło części tych obszarów, które nigdy nie były zupełnie polskimi, w zamian za pomoc przeciwko zalewowi germańskiemu?...“

„Nie my robimy niestety politykę“,—zastrzegł Włodzimierz Łużycki,—„ani nie ludy, tylko rządy“.

„Z rządem rosyjskim“,—odparł Żarkowski,—„oczywiście na porozumienie nie liczę, ale z ludem który z czasem dojść musi do prawa stanowienia o

sobie. Oczywiście to długa droga, ale jedynie zbawienna“.

„Zresztą może się to i inaczej ukształtować, — dodał Milecki, — „możemy się zlać z Rosyą, przenikając ją swoją wyższą kulturą, — niemiecka musi z czasem połknąć naszą niższą“.

„To drugie racya, — w pierwszy amalgram nie wierzę, — różnice językowe, — nie mówiąc o przeciwnościach wiary, — są nie do zatarcia, — ale dążyć tam przygotowywać podwaliny do porozumienia z narodem rosyjskim, tu upartą obroną przewlekać naszą zagładę. W każdej osiągniętej zwłoce nasze ocalenie, — nowych podpór trzeba szukać dla naszego bytu“.

„Wiem“, — przeciął Worski, — „jakżeż tego roku buraki się zapowiadają?“ — Młodzi pozostawali tymczasem w ogromnym salonie środkowym lipnowskiego dworu, przeprowadzonym przez wysokość piętra, tak że dach kopułą okrąglił się nad nim. W kopule były szyby boczne, przez które, gdy salon był nieoświetlony, księżyc sypał bladem swem światłem. Tego efektu, o ile księżyc dopisywał, próbowano stale, gdy byli goście, dla zademonstrowania tymże, gasząc na chwilę wszystkie świece.

Nazywało się to zabawą w duchy. Tym razem ta część programu zapowiadała się bardzo korzystnie. Była pełnia i jasno na dworze, że czytać by było można.

Przedtem jednakże pani Helena, która, czując, że Dasia siły nie starczą, postanowiła tę rzecz, to jest mariaż Jadzi wziąć w własne rączki, odwołując Franię a przypominając Jadzi obowiązki panny domowej, rozmieściła strategicznie towarzystwo tak, że para, przeznaczona dla siebie, znalazła się po jednej stronie salonu, reszta zebranych po drugiej w dość znacznej odległości.

Ocuciła, wykonywując te manewra, Felisia zaręczeniem co do Frani, że to dzieciak jeszcze, którego się nie bierze na seryo, i, co nie było w obec tego twierdzenia bardzo logicznem, ale zawsze na Felisia podziałać musiało, że Jadzia jest o nią zazdrosna.

Daś, trochę zgębiony tem, że żona, zabrawszy się sama do tych dyspozycji, wykazała mu tem samem, że jest niedołągą, a chcąc jednak brać udział w tej hurdle—race, miał fortunną czy niefortunną myśl,—tego sama pani Helena na razie zadecydować nie umiała,—zasiąść w mniejszym salonie obok do for-

tepianu i wyszukiwał w nutach — marche nuptiale.

Świece pogasły pod gorliwą zjednoczoną działalnością skombinowanych wysiłków płuc służby i młodszego rodzeństwa Lipnowskiego, dla którego przygotowanie zabawy w duchy było miłą niesłuchanie czynnością.

Staś, wyjątkowo na urlopie w domu, przodował w tem.

Pan Włodzimierz Łużycki, zdenerwowany tem, co mu uprzednio nakładł znowu w uszy Daś, i uporem Jadzi, nie zaglądał wcale do salonu, nie chcąc patrzeć na te całe irytujące go teremedje i siedział z starszymi w fumoirze. Panna Tekla, dręczona równocześnie obawą o sukienki i noski Koci, Hani i Misi, które mogły przy akcji gaszenia świec ucierpieć,—ale małe, dziś przy imieninach, wcześniej się do łóżeczek zagonić nie dały i ukazywały się nawet, trochę z drżeniem, czy ojciec lub sroga ciocia Zarucka ich nie wyrzuci, w salonie,—i skołatana szczerze kłopotem o losy Jadzi, której sama nie wiedziała czy życzyć tego Żętyckiego, czy przeciwnie, oddawała ostatecznie to wszystko, czując się bezsilną, w krótkiej cichej modlitwie Bogu, gdy w nastrój uroczystego oczekiwania i gro-

zy nadchodzących wypadków w półcieniu salonu rozległ się z kąta, gdzie Jadzia znalazła się nagle przez zręczniejszą i doświadczeńszą w salonowych ewolucjach starszą siostrę przyszpiloną w sam na sam z wstrętnym jej Felisem,—głośny kich, a potem, pomiędzy jednym zatrąbieniem, już widocznie z pomocą chustki do nosa, a drugim na tym nie tyle do wydobywania melodyi przeznaczonym, naturalnym instrumencie, głos Felisia:

„Bardzo panią przepraszam, ale ja nie to właśnie chciałem powiedzieć!“

Na Żętyckiego słaby mózdzek padło zbyt wiele wrażeń na raz. Trzy gracye, czwarta w zawiązku, najpiękniejsza, ale dziecko, jak powiedziała tamta,—Jadzia, która zawsze podobala mu się ogromnie i teraz zazdrosna, więc gotowa pójść za niego,—gotował się jej właśnie oświadczyć, gdy promień księżyca, zabłąkany w ciemną ustron, trafił go właśnie w sam czubek nosa, na co organ powonienia odpowiedział powitalnem kichnięciem:

Tak to miesiąc, zwykły sprzymierzeniec kochanków i kochających, wystąpił tym razem w roli zgoła przeciwnej.

Staś i Gutek, krzycząc wesoło „na zdro-

wie“, podbiegli do Żętyckiego i Jadzi. Sam na sam i nastrój cały był zepsuty. Żętycki tak zdekonfiturowany, że kazał zaraz zaprzęgać, wymawiając się, że mu jest jakoś niedobrze i zaraz wyjeżdża, pani Helena była wściekła a marche nuptiale pozostał tego wieczora nieodegranym.

Jadzię przed gniewem ojca ocaliła niespodziewana okoliczność, że pan Włodzimierz, będąc całego tego wieczoru w fatalnym humorze, przemówił się,—sam nie wiedział, jak do tego doszło,—z Włastowskim o kwestyę, która była właśnie przedmiotem sądu honorowego nad tymże, wywodząc, że jego zdaniem, bądź co bądź, na kolonizacyę sprzedawać nie wolno. Miał słuszość, ale że gościowi w własnym domu powiedział przykrą prawdę, o co ten się obraził, dokuczyło mu w spóźnionym żalu tak, że, po rozjechaniu się gości, sam co prędzej poszukał kojącej trosk wiele poduszki, rezygnując już z próżnych wyrzutów, które się Jadzi należały.

Jadwiga długo jeszcze, zostawszy sama w swoim pokoju, goniła myślą za tym,—który nie był jej wart.

XI.

Rok minął, w czasie którego Słuszewski rzadko tylko i przelotnie widywał Jadzię, na jakimś koncercie, zabawie letniej, zjeździe członków centralnego Towarzystwa Gospodarczego, podczas którego panie tradycyjnie z trybuny przysłuchiwały się mniej lub więcej krasomówczym *de gnojo et aliis* gospodarskich rebus popisom ojców, mężów i braci. Temat gospodarstwa interesował panie wiejskie z natury rzeczy, zresztą była to kwestya, zawsze żywotna, podniesienia dochodów, nieobojętna praktycznym gosposiom. Po za tem, podług utartych pojęć, w czasie, gdy na inne odznaczenie się heroiczne podług ogólnej opinii nie stało, w rolnem społeczeństwie tytuł dobrego gospodarza zaświecił jako najwyższy ideał, zepchnąwszy w kąt zupełnie wszystkie inne, opromieniony blaskiem zasługi w zachowaniu ziemi polskiej i pomnożeniu dobrobytu naro-

dowego. To też, kto zyskał poklask w uzasadnieniu swego światopoglądu co do uprawy buraków, był bohaterem chwili. W ten sposób udało się chwilowo zabłysnąć młodemu Duleńskiemu, który, przysiadłszy fałdów, cyframi uzasadnionem opracowaniem tematu „O ile rentuje się u nas chów koni“ dał dowód wszechstronnych, drzemających tylko zazwyczaj gnuśnie zdolności, ukrytych w duszy słowiańskiej.

Daś miał mu co prawda do zarzucenia, że prelegent pominął zupełnie kwestyę koni wyścigowych, i żałował, że mu nie poddał z własnych kiedyś doświadczeń na wyścigach berlińskich kilka niewątpliwie interesujących szczegółów, które dla urozmaicenia suchego tematu można było wpleść w odczyt, ale musiał uleźć, przyznając, że to byłoby zamąciło poważny charakter rozprawki, która zyskała ogólne uznanie.

„Edek może teraz przy najbliższych wyborach zostać posłem“,—żartowała w pół seryo jego siostra,—„tylko że panowie ludowcy oczywiście będą przeciwko niemu. Ale pan doktor Słuszewski, który ma stosunki w tych kołach, może tam za nim powie dobre słówko!“

Doktór, zawsze jeszcze niezbyt przeciążony praktyką, flirtując wraz z kilku innymi młodymi panami na trybunie, miał, znajdując się tam cel podwójny, wyrabianie i podtrzymywanie sobie stosunków towarzyskich z beau monde'm, mających mu posłużyć do wejścia w wymarzoną praxis aurea, i spotkanie się z Jadzią. Jadzia była dla niego nader miła i uprzejma, z widoczną serdecznością chcąc mu wynagrodzić jego izolowane poniekąd stanowisko w tem milieu buraczano-końskim. Snęła się pomiędzy niemi, w jej wyobraźni przynajmniej,—szczegóły eskapady berlińskiej do niej nie doszły,—ta zawsze cudna, tak stara a wiecznie nowa, tem czarowniejsza, im więcej niedopowiedziana, melodja miłości, z akordami spojrzeń, słów, których znaczenie niepochwytne dla osoby trzeciej, jasnem i zrozumiałem a upajającym jest dla tych jedynych dwojga, których serca biją ku sobie. Prawda, że u doktora, pomimo chwilowych platonicznych, fizyologiczno-psychologicznych upojeń, przeważało obliczenie praktyczne, spekulacya na dobrą, świetną pod każdym względem partyą, ale, jak sam sobie przyznawał, jednak, po za wszelkimi obliczeniami, „tknięty“ był głęboko.

Jadzia była szczerą. Na naturę ciepłą, serdeczną a na zewnątrz zamykającą się w sobie, padły, jak ziarna na grunt podatni, promienie pierwszej miłości, która u szlachetnych natur kobiecych bywa też jedyna i ostatnia. Tem głębiej przenika całe jestestwo. Zjawił się przed nią człowiek, przedewszystkiem inny od tych, których spotykała i widziała w koło siebie. To już musiało podziałać na jej wyobraźnię. Temata rozmów, poruszane przez niego, ogólnie ludzkie, społeczne, etyczne, których rozbieżaniem nader rzadko się przejmowali jej najbliżsi, znalazły oddźwięk w spoczywającej w niej samodzielnej, lubiącej zastanawiać się nad zjawiskami i zagadnieniami bytu inteligencji, która z drugiej strony nie dosyć była wyrobioną i ukształconą, żeby ocenić płytkość i ogólnikowość sądów, wygłaszanych przez sympatyczne jej osobiście indywiduum. Ubierając bezwiednie, jak każda dziewczyna, przedmiot swego uczucia w wszystkie przymioty charakteru, jakie tylko wymarzyć sobie można, nie analizowała tego charakteru. Zresztą, naprawdę, знаła go za mało. Żeby ten człowiek mógł być złym czy powszednio słabym, nie przyszło jej w ogóle na myśl, tak jak ludziom, którzy

nie doświadczyli jeszcze na własnej skórze prawdziwości starej prawdy, że pies jest wiele lepszym stworzeniem od człowieka, z trudnością otwiera się zrozumienie tego, że ktoś, mówiący tak pięknie, może być niegodnym własnych słów.

Spotkali się znowu kiedyś na pogrzebie Kalksteina. Było na tej smutnej ceremonii obecnych sporo wybitniejszych obywateli, ale ogółem orszak był nieliczny. Słuszewski, który przytem miał zaledwie sposobność uściśnienia ręki Jadzi, wrócił do domu z przygnębiającem wrażeniem. Temu, który z zaparciem i oddaniem wszystkich sił wcielił w czyn myśl wielką i patryjotyczną, w czyn rozumny i konieczny, obronę narodowości, zagrożonej wyrwaniem z pod nóg ziemi rodzinnej, zachowaniem i strzeżeniem tej ziemi, nie tylko jako własności pojedynczych jednostek, ale jako condominiumu narodu,—społeczeństwo własne nie pośpieszyło oddać takiego hołdu, chociaż pośmiertnego, jaki mu się należał. Nie zdawało sobie sprawy ani z zasługi zmarłego, który, po ustąpieniu schorowanego, zgasłego też wkrótce, a głównego z Witoldem Skarżyńskim i Ludwikiem Karśnickim założyciela Banku, Stani-

sława Żółtowskiego, był tej instytucji duszą i sercem, ani z luki, którą ten zgon otworzył,— czy też nie uważało tej walki za zasługę, uważając ją może za beznadziejną, a więc bezpożyteczną, dzieło fanatyka i utopisty, któremu nie wypada niestety oponować, które, po cichu sarkając na wybryki szowinizmu, wspomódz nawet trzeba, bo jeszcze, głośno przynajmniej, wstyd się wyprzeć dawnych ideałów, niewygodnych i krępujących w zarobkowości pojedynczych jednostek, a więc szkodliwych, ale dzieło, które nas w gruncie mało zachwyca, jako li tylko piękna wieża dekoracyjna, wzniesiona na gmachu egoizmu, a niewygodna, bo drażniąca swoją obcą architekturą i ściągająca na jej miłośników gromy synów wielkiego mularza Bismarcka, który jednemu stylowi pan-germańskiemu dał prawo bytu od Renu do Wisły?

„Za słabi jesteście“,—brzmiały mu w uszach słowa Niemca. „Polska ma być,—gdzie? kiedy?“—drwił zupełnie głośno Starzecki, a Paulina, będąca przecież tylko echem zasad swego ojca, radziła mu wystąpienie z Straży dla zachowania przywilejów, które daje w karierze tytuł lejtnanta...

I oczywiście dobrze zrobił, bo tym czasem Niegolewskiemu, uważając jego wystąpienia polityczne za niezgodne z zaszczytem noszenia pruskiego munduru, tenże odebrano. Prawda, że taki Niegolewski nie odczuwał tego bynajmniej boleśniej, dla zasady tylko równouprawnienia politycznego polaków w Niemczech opierając się temu wyrokowi. Ale to też był szowinista!

Rok, który przebywał już Słuszewski na rodzinnej ziemi, zrobił pod wpływem otoczenia wiele w kierunku osłabienia jego uczuć patryjotycznych. Szedł z innymi w jarzmie, nawykając do niego i znajdując je znośnem, o ile się przeciwko niemu nie wierzgało, jak ci zapaleńcy.

A Kalkstein umierał w chwili, gdy i Bank Ziemski tracił swoją, dotychczasową, *raison d'être*, jako parcelacyjny, i parcelacya już była tylko możliwą pomiędzy adjacjentów, sąsiadów, nie potrzebujących budować sobie domostwa mieszkalnego.

Czas biegł. Upływały miesiące. Ani się spostrzegł w monotonii powszedniego życia, jak znowu rok minął i drugi przechodził.

Stosunki polityczne o tyle tylko się zmie-

niały, że wciąż na coraz gorsze. Nacisk germanizmu był coraz cięższy, rozciągający się coraz pieczołowiciej i dotkliwiej na pojedyncze jednostki. Te niezawsze sobie zdawały z tego sprawę, aż dotknął je bezpośrednio. Reagowały na to różnie. Zresztą wszystko szło *antiquo modo*, ale uczucie patryjotyczne klas zamożniejszych pomimo pozornego zachowania dawnych form, szumnych nieraz deklamacyi, rzeczywistej gorliwości pojedynczych jednostek, usypiało coraz więcej.

Natomiast nowy czynnik polityczny wstępował powoli ciężkim krokiem ludzi pracy fizycznej na widownię. Potężne organizacje robotników chrześcijańskich, polskich, zasługa głównie kapłana wielkich zdolności i gorącego oddania zarówno wierze jak polskości, księdza Kłosa, szambelana, ale nie pruskiego, tylko papieskiego, tworzyły się. Z nimi wchodził na arenę stan czwarty, ale nie bezdomnych, wrogich w niedojrzałej jeszcze dzisiaj idei braterstwa i zlania się wszystkich ludów, ideałowi ojczyzny, socjalistów, tylko robotnik, świadomy, że miłość tej ziemi, na której pracuje, jest równocześnie jego interesem, jej potęgą jego potęgą, znajdujący na zakusy internacyonali

jedyną rozsądna odpowiedź: Najpierw my musimy zrobić u siebie porządek w domu, postawić podpórki pod walący się, gdy gniecie na niego nacisk obcy, własny dach, potem pogadamy z wami. Daleko jeszcze ten zbożny czas, gdy jedna owczarnia i jeden owczarz.—Ruch ten, niezupełnie jeszcze dzisiaj doceniony, wiódł też do udziału w reprezentacyi narodu, w mieście rozpolitykowującej się — przy piwie — hałastry małomiasteczkowych Maratów i Dantonów bruku poznańskiego, żywioł zdrowy, lud pracujący.

W układzie życia znajomych Słuszeńskiego małe zaszły zmiany. Dwa śluby, kolegi Ruszkiewicza i to z Bronowiczówną, bo prezorowego Samkiewicza Słuszewski niesłusznie posądzał o łowienie tego zięcia, którego za to, dość niespodzianie, Bronowicz sobie wybrał,—Żętyckiego z wybraną jednakże porcelanką, z których był na pierwszym, żegnając równocześnie przenoszących się na nową siedzibę państwa młodych. Jadzia jeden karnawał spędziła z szwagrowstwem na południu, — pani Helena zaniemogła na płuca.—Makoś z pełną wiarą opowiadał na wytłómaczenie podany mu przez Edka powód, że zatknęła się ze złości

wobec ślubu z inną upragnionego dla siostry Żętyckiego. A żałował doktor właśnie dla niej, życząc jej wspaniałomyślnie żeby użyła zabaw przed zamążpójściem do syta,—tem mniej będzie ich pożałowała potem,—że ominęła ten sezon, owego roku niezwykle świetny, bodaj ostatni z tradycyjnie wspaniałych poznańskich. Księstwo Zdzisławowie Czartoryscy zjechali na zimę do swego pałacyku, po Działyńskich, i podejmowali z ogromną gościnnością i szczerością.

Książę chciał zbliżyć do siebie warstwy miejskie i obywatelskie. Na męskich wieczorach czwartkowych polityczno-literackich zgromadzał inteligencją obydwuch obozów. Księżna robiła honory domu z naturalną uprzejmością i serdecznym wdziękiem na równi z krewną, hrabiną Skórzewską, Radziwiłówną.

Ale wszelkie te wysiłki nie doprowadziły do uciszenia zgubnego rozdźwięku pomiędzy wrogami obozami. W ulubionych swych Czytelniach ludowych książę nie znajdował tego poparcia, jakie był powinien znaleźć.

Następnej zimy Łużyccy byli w żałobie po śmierci pani Zaruckiej.

Po ożenieniu się Felisia Żętyckiego Słu-

szewski próbował u nich za pośrednictwem poczciwego doktora Mileckiego kroków dyplomatycznych. Milecki nie poprowadził zapewne jego sprawy zanadto zręcznie, bo przywiózł odpowiedzieć negatywną.

Ale o Jadzi wiedział przez Marynię, że jest innego zdania. Paulina też nie wychodziła jakoś za mąż. Zakręcił się w koło niej von Majewski, ale osiedlił się nad Renem, a tam dotąd Paulina nie chciała iść za nim.

Ale jak czasem długi czas się nić nie dzieje, a potem odrazu wypadki przekoziółkować się zaczynają i mianowicie odrazu odczuwać zaczynamy, że jesteśmy jednym tylko kółkiem olbrzymiego organizmu państwowego, w którym chodzimy niby wolno, aż pośrednio czy bezpośrednio upomni się o swoje prawa, tak jedno popchnięcie z zewnątrz miało zachwiać gmachem pysznych wszystkich nadziei doktora.

Czas biegł. Upływały miesiące. Ani się spostrzegł w monotonii powszedniego życia jak znowu rok minął i drugi przechodził.

Od wschodniej granicy powiał wiatr nowy. Coś się zaczęło widomie psuć w dotychczasowym porządku rzeczy Apuchtinowskim. Wy-

buchł strejk szkolny i, z niezwykłą konsekwencją prowadzony, osiągnął pewne rezultaty. Poznańskie, mało się w ogóle interesujące tem, co się dzieje w Królestwie, „—oni tam zawsze robią jakąś ruchawkę!—niech ich tam Pan Bóg ma w swojej opiece!—“ przyjęło z dzienników ten fakt do wiadomości, tak jak się przyjmuje wiadomość o jakimś strejku w Hamburgu czy Lizbonie. Co to kogo może ziębić lub parzyć? Co najwyżej ten i ów zauważył, że dzieciakom należą się baty, i pobożnem życzeniem, żeby i rodzicom, którzy na rzecz podobną pozwalają, czy to nawet zgola protegują, się coś przytem oberwało, wotum swoje zakończył.

Tymczasem zaczęła się dziać rzecz nieprzewidziana zupełnie. Znalazło się znowu kilku takich zapaleńców, którzy mieli odwagę tamto przedsięwzięcie pochwalać. Zresztą upór młodocianych wywalczał szkoły polskie. I nagle, najpierw pojedynczo, tu i owdzie, na różnych krańcach Księstwa,—Lipno, było jednym z pierwszych,—zaczęły dzieci szkół ludowych wzdragać się w dawaniu odpowiedzi po niemiecku. Osłupienie ogarnęło najpierw nauczycieli, nie wiedzących zupełnie, co zrobić wobec

tego niesłychanego w dziejach szkolnictwa pruskiego faktu, zdumiał się rząd, zadziwiło się społeczeństwo. A tu strejk, wyskoczywszy najpierw kilku płomykami, szerzył się odrazu jak płomień, wybuchając na całą powierzchnią tej „polnische-revolutionäre Küche“ od Gdańska do Bytomia. Dzieci polskie albo odpowiadały po polsku na zapytania niemieckie nauczycieli, albo nie odpowiadały wcale. Wchodzi pan nauczyciel do szkoły i zaczyna naukę, bo przecież żyjemy w państwie bojaźni Bożej,—od zwykłego, chórem odmawianego, Vater unser.

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie...” przegłoszają go głosiki dziecinne.

„Halt,—still!”

Nie pomaga,—Ojcze nasz idzie do końca, potem dziewczuchy, najśmielsze, intonują „Zdrowaś Marya”.

Pan nauczyciel porywa za kij,—ostatni argument bezsilnej pedagogiki,—ale jakże tu być mówiących pacierz?—Toż wszczepianie religijności nakazane!—Niekażdy się odrazu na użycie tego środka przeciwko opornym odważył. Ten i ów, bezradny, rozpędził dzieci i kazał im iść do domu, lecąc sam do miasteczka do oberinspektora po wskazówki. I ten nie

wie bardzo, co począć. Najgorzej, że to na punkcie religii, centrum takie drażliwe,—gotowa interpellacya w sejmie, z której tam minister się już jakoś wywikła, ale gromy spadną na podwładnych, że pozwolili, iż doszło do takiego skandalu. Beszta więc oberinspektor tymczasem nauczyciela, a sam odnosi się do rejencyi w Poznaniu. Tymczasem dzieci szar-działy, i na drugi dzień już odnoszą niemieckie katechizmy i biblję, dziewczęta trzymając je przez fartuszek, żeby sobie palcy nie plamić niemieckiem nabożeństwem. Nauczyciel nie chce odbierać książek,—piętrzy się stos ich pod katedrą. Grozi, prosi, namawia.

— „Czy ty sądzisz, że Matka Boska nie zrozumie cię, jak ją pozdrowisz po niemiecku?“—pyta którejś małej.

„Nasza Matka Boska jest Polka“.

Ta odpowiedź dzieciaka obiegała potem prasę niemiecką jako dowód braku kultury i znanie dziczyny polskiej.

Wkrótce jednak rząd zdecydował się. Nadeszło rozporządzenie: bić,—właściwie „zastoso-wać przepisane dyscypliną szkolną środki“. Posypały się razy. Trzciny giąć się i pękać

zaczęły na rękach i plecach, ba na głowach odpornej dziatwy. Strejk trwał tygodnie.

Powtarzały się te sceny ohydne, wstrętne, które napiętnowały pruską kulturę jako produkt i narzędzie siły i pięści, uwieczniając w dzieciach ludzkości największą masową martyrologię dziecięcą.

Do Słuszewskiego wpadła któregoś dnia jego Olejnikowa z tak strasznym lamentem, iż, odtrąciwszy część jego na karb przesady babskiej, pozostawało w nim jeszcze tyle szczerogo bólu, że przejął jednak doktora, chociaż, słysząc z jej bezładnych dość wykrzykników o pobiciu jakiegoś dziecka a nasłuchawszy się przedtem w towarzystwie, w którym się znajdował, przeważnie potępienie strejku, traktował kwestyę tegoż raczej niechętnie.

„Siostrzeńca, synaczka po mojej rodzonej, co to, wie pan doktor, mieszkała dawniej na Jeżycach, zbili tak, że się musiał zaraz do łóżka położyć,—żeby pan doktor był tak dobry i poszedł go oglądnąć,—tak się skarży, że go cosik boli wewnątrz. Akurat wstąpiłam, jak wrócił ze szkoły...”

Poszedł,—po trochu z ciekawości. Rzecz się przedstawiała znacznie gorzej, niż sobie

wyobrażał. Chłopak, dwunastoletni, z twarzą niebrzydką i inteligentną, nie skarżył się już, bo leżał bledziutki z zaciśniętymi ustami na łóżku. Doktor w pierwszej chwili myślał, że ma już trupa przed sobą. Docucił się go jednak, ale ruszyć się chłopiec nie mógł. Oprócz pręg sinych i krwią nabrzmiąłych i spękanych na całym ciele, świadczących o niepomiarnej barbarzyńskiej chłoście ukarania, niewątpliwie poniósł ciężkie obrażenia wewnętrzne. Od niego się dowiedzieć czego było trudno, ale rodzice powtórzyli opowiadanie kolegi, który z polecenia nauczyciela odprowadził, podtrzymując ją, z mozołem ofiarę do domu, mając sobie przytem od tegoż nauczyciela najsurowiej zakazane opowiadać szczegóły ukarania. Wygadał się jednak, gdy go zrozpaczeni rodzice opadli, i z jego opowiadania wynikało, że katujący pedagog przydusił tak nagle i silnie chłopca właśnie do kanciatego narożnika ławki, że tenże krzyknął w tej chwili przeraźliwie i potem się już tak mało pod łapą, gniotącą go, poruszał, że patrzące dzieci aż się dziwiły, iż przy tak strasznem biciu, jak się wyraził ów kolega, nawet nogą nie fajtnie. Potem gdy go nauczyciel rzucił na

miejsce, trzymał się tylko za żołądek i jęczał. Pan nauczyciel powiedział mu, że drugi raz dostanie więcej jeszcze, spytał go się potem, czy ma może „Bauchweh“, kazał dać mu szklanę wody, którą mały zwrócił, i posłał go do domu.

Słuszewski zajął się pacjentem i, na prośbę rodziców, wystawił atest, że tenże do szkoły chodzić nie może z powodu obrażeń wewnętrznych, poniesionych przy chłóście.

Dzieciak w parę dni umarł.

Wypadek ten stał się rozgłośnym. Gazety opisały go z podaniem szczegółów, podanych im przez rozżalonych rodziców. Oddrukowano także poświadczenie lekarskie.

W parę dni później doręczono doktorowi skargę nauczyciela o obrazę publiczną. Chłopaka, jak twierdził, ukarał w granicach, prawem dozwolonych i, w obec wypadku oporu, wskazanych i zaleconych, ale bynajmniej go przez ławkę nie przekładał, tylko uczeń już po otrzymaniu kary, odstąpiwszy, rzucił się z złością na ławkę, przyczem może być, że o kant zawadził, w czem jednakże nie ma żadnej winy nauczyciela. Za lekkomyślne rozgła-

szenie o nim wieści uwłaczających żąda przykładnego ukarania oskarżonego.

Temu ta sprawa była fatalną. Nie miał najmniejszej wątpliwości co do przebiegu sprawy. Dzieci, o ile widziały fakt, zbite i zastraszone a zagrożone dalszemi karami, po części nie będą chciały świadczyć przeciwko swemu nauczycielowi, w części sąd im nie uwierzy, przekładając nad opowiadania nawet kilku małoletnich opis przebiegu rzeczy, dany przez nauczyciela. Tak uczył przykład dawniejszych procesów tego rodzaju, które się już i przed strejkami szkolnym zdarzały. Za publiczną obrazę w tych stosunkach kara mogła być dłuższem więzieniem, z jeszcze gorszemi potem, grożącemi mu wprost odjęciem praktyki, następstwami w drodze dyscyplinarnej.

To już był pech jego osobisty, żeby akurat na niego padło, być męczennikiem. A to wszystko przez te przekłete agitacje, do których on się już przecież nie mieszał wcale.

Chodził jak struty przez te kilka tygodni, które go dzieliły od terminu rozprawy sądowej, i, ani przyjazd cesarza na manewra poznańskie, budzący ogólne zainteresowanie miejsco-

we, ani na ten sam czas przypadkiem, czy, jak doktor gotów już był przypuszczać, umyślnie demonstracyjnie wyznaczony wielki zjazd i narady reprezentantów Spółek Zarobkowych, zjednoczonych w największym polskim Banku Związku Spółek Zarobkowych, z stoma milionami kapitału,—prawda że odpowiednie kapitały w prowincjach niemieckich przewyższają jeszcze kilka razy tę cyfrę,—nie zdołał go tak dalece zainteresować.

Manewra,—jego, na szczęście, nie ściągnięto do służby czynnej,—odbyły się jak każde wojskowe manewra podług planu z góry ułożonego, który naprzód oznacza, kto ma być zwycięzcą a kto zwyciężonym, interesujące bliżej tylko fachowych, zwłaszcza o ile niedoświadczenie czy omyłka wodzów lub podwładnych krzyżuje ułożony w najdrobniejszych szczegółach w głównym sztabie plan, a ciekawych gapiów jedynie widokiem błyszczących mundurów. Od tych zaroilo się w Poznaniu. Plan kampanji był taki. Jedna armja atakuje Poznań od wschodu, druga broni miasta, użytkując z okalających je zawsze, nawet po częściowem zniesieniu murów fortecznych, fortów. Wynik nie mógł być wątpliwym. Z uśmiechem więc na-

wet nie wtajemniczeni patrzyli od początku na wzmocnianie sztucznych i naturalnych fortyfikacyi, wyrastające pod łopatami żołnierzy ziemne przeszkody, kopane wilcze doły, zakładane żelazne wstęgi koleczaste, budowę nowego na łodziach mostu na Warcie, która z rezygnacją swych setek lat poddawała swój grzbiet cierpliwie i temu eksperymentowi. Wszędzie w koło przeprowadzono druty telegraficzne.—Ale atmosfera gorączkowej czynności wojsk w podminowanym i przesączonym elektrycznością terenie, może potrochu nawet swem działaniem fizycznym, poczyniała przeciskać miasto. Ludzie zaczęli się interesować i ruchami i czynnością wojsk. Armaty grzmiały,—bitwa.

Z najwyższych punktów miasta można było dostrzedz, co się tam przed niem dzieje. Na wieży ratuszowej, na najwyższej kondygnacyi, do której już nie po drabinie, ale po belkowaniu trzeba się było wspinać, pod samą kopułą z orłem, kilku „gamazaków“, pomiędzy nimi młodzi Łużycki i Starzecki, ulokowali się jak w obserwatorium. Staś Łużycki, odstąpiwszy doskonałą lornetkę wojskową,—którą na ten cel „zwędził“ zawczasu szwagrowi,—koledze,

sam gorzej widząc, z wielkiej ciekawości aż wyszedł po za barjerkę, okalającą platformę, usiadł zewnątrz na kamiennych stopniach, nogi zwiesiwszy w powietrzu. Widać było zdaleka na łąkach i polach, ciągnących się nad rzeką, ciemne masy wojsk, przelatowały przez nie czasem błyski migające,—to rząd bagnetów na komendę spadał z ramion,—rozsypywały się te kolumny w czarne, zapadające się jakby w ziemię, pełzające, lilipucie przecinki tyralierów,—potem ciżba cała zrywała się znów społem do ataku. Dokładniej, lubo na dalszym planie, widać było polnej artylerii baterie, jak galopowały pod wzgórek, ustawić się na nim. Tam właśnie gdzie, podług opinii rzeczoznawców, ogień armatni zrobił swoje, czekająca na tę chwilę piechota pędziła do szturmu.

„Patrz, patrz, — tam już podłóżą pod wały!“

„Kto?“ Staś nie mógł dojrzeć.

„Masz, weź lornetkę,—a trzymaj się tam sztaby, bo zlecisz,—widzisz tam, po tamtej stronie rzeki ku tumowi, idą!“

„Aha, widzę, idą nasi, wygrają!“

„Jakto nasi?“

„Ano gdyby nasi zdobywali Poznań...“

„Chyba moskale!“

„Nasi, polacy z rosyjanami,—słowianie razem, tak być powinno,—dziadek Żarkowski mówił“.

Obok nich dwóch malców spierało się, czy postępującą zwycięsko armją, zagrażającą Poznań, dowodzi feldmarszałek Waldersee czy szef sztabu Schlieffen. Nie był to jeden ani drugi, ale ktobądź prowadził, atak był zręczny i energiczny, broniące dostępu do miasta z tej strony wojsko ustępowało. Część jego znalazła się odcięta, zaszła ją z boku rozdzierającym klinem kolumna piechoty nieprzyjacielskiej, docierająca już pod mury forteczne,—z frontu pchało na nią gros armji zaczepnej, przypychając ją do rzeki w punkcie, gdzie stał most pontonowy. Z załku wałów, ku oswobodzeniu tego oddziału, wypuszczono kilka szwadronów strzelców konnych,—stojących garnizonom w Poznaniu. Z kaskami błyszczącymi na głowach, w mundurach popielatych z zielonym, krojem szwedzkim, w długich butach, w połysku szabel, na rośłych doborowych koniach wiodła ich galopem, najwspanialszy widok na manew-

rach, szarża kawaleryi. Obok szeregów, w niewielkim odstepie, na rasowych anglezach, oficerowie, Köckeritze, Itzenplitze, Quitzowy.— Ale w błotnej łące, w małych stawkach, lgnąć zaczęli, przewracać się w wodę, mięszać. Pod ogniem karabinowym, skierowanym na nich, w razie wojny żywa noga z nichby nie uszła. Powtórzyłby się, na mniejszą liczbę, ale z większym procentem strat, krwawy dzień z pod Mars la Tour, gdzie szaspoty francuskie wystrzelały więcej niż trzecią część rzuconych na zwarte czworoboki ostrzeliwującej się piechoty pruskich kirysyerów i ułanów gwardyi, gdy w niejednym szwadronie zabrakło oficera i kwiat szlachty niemieckiej zaległ pole, ten dzień, wspominany dziś jeszcze przez siwo-włose matrony, których nie pocieszyła nigdy po stracie mężów i narzeczonych wielka jedność niemiecka.

Na wydostających się po trochu na twardszy grunt jeźdźców uderzył pułk czarnych huzarów, z trupiemi główkami na czapkach, dawniej przez lat kilkadziesiąt trzymający załogę w Poznaniu, znany z 48 roku. Nie przeszkadzało to w następstwie polakom z najpierwszych rodzin dobrowolnie wstępować do niego,

jak Sułkowskiemu, ostatniemu ordynatowi na Rydzynie.

„Ci brata dziadka zabili“, objaśniał młody Łużycki, „teraz to wołałbym, żeby strzelcy płazowali ich, a nie oni tamtych“.

Ale twierdza owija się w dymy dział i zwycięsko odpira atak.—

Zwycięzcy i zwyciężeni zapełniają wieczorem piwiarnie. I polaczki po trochu z rozpacz-
czy piją na umór.

Słuszewski wracając nocą z Kasyna do domu spotykał jeszcze chwiejących się po ulicach niedobitków.

Jakiś wyrostek,—krawczyk czy szewczyk z mizernego pozoru,—trzymając się z drugim takiego samego wyglądu pod rękę, w rozpaczliwej opozycji intonuje: Jeszcze Polska nie zginęła.—Ale z pod latarni wysuwa się wąsata twarz policyanta i głos zamiera w kogu-
ciku.

Tu smarkacze—a tam mąż dojrzały.—

— W głowie badającego tymczasem w samotni bilans Spółek Zarobkowych Zakliki wi-
ły się inne, dalsze refleksye. Czyż kapitały te
posłużyłby nie mogły do stworzenia wielkie-

go,—nie tylko domowego, na skromny, niedaleki użytek obliczonego,—przemysłu?

Na czem ma się polskość w Poznańskim oprzeć, gdy może niezadługo ziemi nie stanie? Czyż dymy różnorodnych fabryk czeskich nie są wskazówką?

XII.

„Wiecie, że Starzecki dwa żebra połamał swemu służącemu,—to bestya mocna dopiero!“—opowiadał w Kasynie Makocki, tryumfując, że on pierwszy przynosi nową wiadomość.

„A z kąd wiesz? kto mówił?“

„Ady widziałem jego żonę,—nastraszona taka,—właśnie przyjechali,—Józiek zaraz polecił do prezydenta policyi, żeby to jakoś zatuszowali, bo podobno tamten gałgan chce oddać tę rzecz do prokuratora“.

„A bardzo go tam poterał?“

„Ano, jak to Józiek, dobry człowiek, ale raptus,—lokaj coś mu tam hardo odpowiedział, takie dzisiaj czasy!—a ten pchnął go na bufet i trzask, dwa żebra złamane“.

„To ten stary Stanisław, co jest u nich, od, Bóg wie już kiedy?“

„Ano pewnie,—oni hardzieją wszyscy“.

„I co będzie? zapakują Józka?—przecie chyba nie!“

„Eh, wykpi się,—zna tu wszystkich, prezydenta policyi i pierwszego prokuratora“.

„Jak to mądrze jednak, jak się z nimi jest dobrze!“

„Tylko czy jednak będą mogli tak łeb skrócić całej sprawie, jeżeli już jest skandal?“

„Kpi pan sobie, czy co? Wszystko można, jak się jest dobrze zapisanym u góry“.

„A Józiek mądrała, nigdy się w żadne polskie rewolucye nie wdaje“.

„A więc“.

„Jednak się będzie musiał kręcić“.

„Wykręci“.

Słuszewski z niewielkiem zainteresowaniem, zajęty własnym kłopotem, słuchał tej klubowej rozmowy. Co najwyżej budziła w nim irytacją i zgryzotę, że sam nie potrafił tak mądrze kręcić, i w własnej sprawie, chociaż nierównie mniej, a raczej zgoła nie zawiął, narażonym jest nierównie więcej od szambelana.

Ten pokazał się, powitany radosnemi wykrzykami przez ciekawych. Uścisnął jednak tylko szybko wyciągające się doń z wszech stron dłonie i zwrócił się niespodziewanie do doktora.

„Doktorku, proszę na słówko“.

„Ten doktor nie jest od żeber, ino od żołądka“, krzyczał baron.

„Onby chętnie pomacał żeberka, ale Marjetce...“—urągał plugawy Makocki.

Ton ten tu był tak zwyczajny, że większości nie raził.

Szambelan odprowadził Słuszeńskiego w ką, odsuwając najnatrętniejszego Makosia prośbą, żeby wyciągnął tymczasem bile bilardowe do partyjki karambolu, którą potem zagrają.

„Doktorze, pojedziesz dziś nocą ze mną na wieś, dobrze? Czas przecież masz? jutro wrócimy,—mam tam dla ciebie pacyenta“.

„Słyszałem,“ odpowiedział Słuszeński, trochę zdziwiony, dla czego na niego właśnie padł wybór.

„Pewnie plotki“, — pośpieszył zaręczyć szambelan. „Służący u mnie złamał sobie żebro,—pośliznął się, podając wazę do stołu,—stare kości, to kruche. Najgorzej że posłali do mego miasteczka po doktora, a to jakiś ludowiec, wszechpolak czy co,—znasz go przecie? Ten Buszkiewicz, co przesiedlił się niedawno z Poznania, bo tu z głodu zdychał, i teraz tam rozwija wielkie agitacye,—oni mnie i tak

tam nie bardzo lubią, te polaczki, wiesz,—opiszą mnie w dziennikach,—no damit können sie mir gestohlen bleiben,—ale ten stary gapa ma jakieś pretensye, a ja się po sądach włóczyć nie chcę, rozumiesz? Prezydenta policyi nie zastałem, ale spotkałem Langerę,—poradził mi, żeby wziąć jakiego porządnego lekarza, w miejsce tego durnia,—i to najmądrzej polaka, to się równocześnie tym krzykaczom gęby zamknę, chociaż to tam najmniejsza,—wskazał mi ciebie“.

„Mnie?“

„Ano, zapaskudziłeś się niepotrzebnie w innej sprawie, tem możesz z tego wyleźć“.

Słuszewski zrozumiał, że jego los się rozstrzyga. To był ratunek. Co prawda zerwanie już na zawsze z wszystkim, co szczerze polskie, połączenie się przez jednego z tubylczych pionierów niemczyzny z tąże w serdecznym uścisku dozgonnym, ale, jeżeli odrzucał propozycję, więzienie, utrata karyery... „a przede wszystkim wszyscy powiedzą, że byłem głupi“, zakonkludował w myśli.

„Dobrze,—już my to zrobimy razem, panie szambelanie“.

„A widzisz,—ja im mówiłem już dawniej, że ty jesteś zdolny i rozsądny człowiek i chcą

sobie ciebie pozyskać. Zawsze ci niemcy to są bardzo porządni ludzie. Niech tam sobie na mnie urągają głupie polaczki,—póki żyję, moja na wierzchu,—oder nicht?”

Pogwizdując zwrócił się ku salce bilardowej. „Będę tu czekał,—idź pan tymczasem zapakować, co potrzebujesz na drogę,—mamy jeszcze potem czas na parę robrów“.—Gdy jechali, instruował jeszcze doktora. „Zdaje mi się, że on już dawniej musiał mieć to żebro złamane“.

Po oględzinach lekarskich, popartych udzieloną przez szambelana obietnicą stu talarów dla poszkodowanego, ten dał się przekonać, że istotnie dawniej już mu coś chrzęściało w piersiach i pewnikiem było złamane.

Ofiarujący jeszcze raz dobrowolnie swą pomoc Buszkiewicz zdziwił się takiemu zdaniu kolegi, ale musiał ustąpić. „Winszuję, winszuję dyagnozy, jeszcze kolega jednak krajsfizykiem zostanie“,—zauważył szyderczo.

Słuszewski uśmiechnął się pobłaźliwie. W słowach kolegi wyczytał nie więcej nad zazdrość dla swojej zręczności życiowej.

Cała historia wpadła w wodę. Stanisław zamilkł i nawet reporter prowincjonalnego

dzienniczka nic nie mógł z niego wyciągnąć; gazetka, która już zaczęła się rozpisywać o tym fakcie, w obec opinii danej przez Słuszeńskiego, musiała sprostować swe pierwsze twierdzenia.

Polityka Słuszeńskiego przyniosła mu pożądane owoce. Nie potrzebował długo czekać na cofnięcie skargi nauczyciela. Przykrem było co prawda przytem, że musiał tegoż przeprosić publiczną deklaracją za lekkomyślne i niesprawdzone zarzuty.

Równocześnie zamierzona w celu poruszenia opinii kraju i zagranicy w imieniu rodziny zmarłego dziecka akcja przeciw jego mordercy, tytułem jedynie możliwym,—gdyż prokuratora przyjąć jej nie chciała,—żądania zwrotu kosztów choroby i pogrzebu, stała się tembardziej niemożliwą, że Słuszeński oświadczył, iż nie życzy sobie, żeby go mieszano do tej awantury.

Działo się to w gabinecie adwokata, który poprosił doktora o łaskawe skomunikowanie się z nim w tej kwestyi znaczenia publicznego.

„Więc pan doktor nam swego współdziałania odmawia?“

Słuszewski milczał, mnąc w palcach numer Kuryera Poznańskiego, który w zakłopotaniu z ogromnego, zielonem suknem przykrytego biurka pochwycił. Mignęły mu przed oczami, jako wstęp do jakiegoś artykułu służące, czerniejące, wydatniej zacytowane słowa Staszica: Zginać może nawet naród wielki,—upaść tylko nikczemny.

Ale i te, godne po wiek wieków postawienia obok maksym starożytnych słowa jednej z najmędrszych głów, jakie wydała Polska, wydały mu się filozofją nie do użytku codziennego. Polska? Kwintessencją tego, co słyszał wciąż w okół, i na co patrzył było: Każdy sobie. Zresztą, czyż on przestawał przez to być polakiem, że nienarażał się niemądrze?

Toż salwując swoją praktykę doktorską, działał w kierunku pomnożenia majątku swego i narodowego. Tak uczono. Że przytem pozwoli zatracać się narodowość, nie podpadało proklamującym to utylitarne hasło, a jeżeli, nie raziło ich.

Tamten odwrócił się do niego plecami.

Aspekt ten, niezbyt zaszczytny, ale na który znalazł pociechę w poczuciu własnej mądrości, która każe być obojętną na tego

*don co by musi
Zy co nam*

rodzaju drobne nieprzyjemności, spotkał go jeszcze u kilku osób, czasem u takich, u których się tego byłby najmniej spodziewał, kolegów, obywateli i, co mu się wydawało najśmieszniejszym, w niższych warstwach społeczeństwa, dokąd widocznie tajne informacje o czynach i postępkach osobników z klas wyższych przecierały się bardzo szybko.

Dorożkarz Wawrzynowicz, stacyonujący na placu Wilhelmowskim, który kłaniał mu się, ile razy doktor przechodził, teraz machnął pogardliwie batem na jego widok. Inni przechodzili na drugą stronę ulicy, unikając go. Był to jakby jakiś rodzaj cichej masoneryi pomiędzy ludźmi różnych zawodów i sfer,—a może mu się tylko zdawało.

W każdym razie ogół był obojętnym, bo, o ile manifestował się w słowach, raczej pochwalał jego zachowanie się, niżby miał mu je jakkolwiek naganiać. Wpływała na to i ogólna depresja, po nieudanym finalnie strejku, przyniesionym nietyle w krwi i w łzach dzieci polskich, ile w sowitych, obok więziennych, karach pieniężnych, nakładanych na rodziców opornych.

Bodaj z strony przywódców strejku prze-

ciągnięto też strunę, przedłużając go zbytnio wtedy, gdy już widocznem było, że rząd pod żadnym warunkiem nie ustąpi, dawszy przez ministra oświaty delegacyi do niego przybyłej niejasne nadzieje zrobienia może czegośkolwiek w kierunku dopuszczenia języka polskiego, ale tylko w najniższej,—nie, jak było jeszcze kilkanaście lat wstecz, w trzech najniższych klasach,—w nauce religii, „o ile się tego okaże potrzeba“, ale dopiero po ustaniu strejku.—Niech rząd da nam najpierw,—odpowiadano. Było to niesłusznem, gdyż ruch już widocznie słabł, dobijany tem wścieklej coraz sroższemi karami. Rząd pruski, nie związawszy się żadnemi przyrzeczeniami,—a nawet gdyby się niemi był związał!—i tak nie byłby dał nic, a ludzenie ludzi przez przywódców nadzieją zwycięstwa przejęło tychże, gdy nastąpiła klęska na całej linii, ostatecznem przeświadczeniem o naszej własnej niemocy i rozpaczliwą niewiarą w przyszłość.

Chłop, którego utwierdzano w oporze, stawiając mu w perspektywie niedaleki rezultat jego wytrwałości, gdy sięgnąć musiał do kieszeni na zapłacenie kar i jeszcze tem nic nie uzyskał, drapał się w głowę stroskany. „I kto

im tam da radę, proszę panów,—dyć pon Jezus nas chyba opuścił docna za grzechy nasze!“

O ile więc dobrym był sam wybuch strejku ogólnego na podtrzymanie gasnącego ducha, jako przeliczenie własnych sił, i nie sprawie narodowej nie mogło zaszkodzić, że padło przytem ofiar kilka, bo ofiary być muszą, gdzie jest walka, i heroicznym przykładem podnoszą miłość ojczyzny na długo u tych, co na nie patrzyli, o tyle błędem było nie poprzestać na tej olbrzymiej masowej demonstracyi i przeprowadzać ją w bezcelową partyzantkę z żalonym wynikiem. Znowu posypały się liczniej gospodarstwa chłopskie na kolonizacyę. Zaczął się też pojawiać typ chłopa-geszefciarza, niby „inny“ polski, naprawdę wynaradawiający się.

— Tem silniej zacisnął teraz rząd pruski obręcz germanizacyjną na nadkruszonym materiale. Księża wydali się wpływem swoim najniebezpieczniejszymi przeciwnikami planu niemczenia za pośrednictwem szkoły i kościoła. Księża polscy okazali się w najdodatniejszym tych słów znaczeniu godnymi sukni kapłana i miana polaka. Odpokutowali to niektórzy srogo. Kilkomiesięczne kary więzienne stały na porządku dziennym,—ks. Szal półtora-

roczną kaźnią, z natychmiastowem aresztowaniem na sali sądowej, ukaranym został za stwierdzenie swych obowiązków duszpasterza i obywatela polaka,—nie mówiąc o innych skazaniach.—Nawet schorowanemu śmiertelnie arcybiskupowi gnieźnieńsko-poznańskiemu Stablewskiemu, grożono Ostrowem, śladem innego prymasa polski, Halki-Ledóchowskiego, więzionego w murach tamtejszego więzienia podczas Kulturkampfu. Ale gdy deputacja obywateli Kujaw, tej najzdrowszej jeszcze i najwybitniejszej duchem patryotycznym dzielnicy Księstwa, pod wodzą zacnego Ponińskiego, stanęła przed prymasem, wzywając go do stawienia czoła coraz czelniejszym żądaniom Berlina, energiczny okólnik pasterski zmazał zarzuty, któremi nieraz „ugodowego“ arcybiskupa obrzucano. Pamiętał i dowiódł, że był dobrym polakiem.

A lubownik anegdot historycznych, które nie od rzeczy czasem wpleść w historią, bo charakteryzują nastrój chwili i charakter narodowy, może odczuje, co jest poważnego na dnie wersyi o ostatnich chwilach prymasa Stablewskiego. Gdy wycieńczony organizm podsycano już tylko środkami łatwo przyjmo-

wanemi, chory z tym humorem polskiego szlachcica, który przebija i przez fiolety, przełykając kilka ziarenek zaleconego kawioru, uważa: „W Ostrowie mi go nie dadzą!“—

Ale Bóg pojednanego z Nim i z narodem powołał w dalszą podróż, dokąd pruscy żandarmi nie eskortują.

Tymczasem rząd nie ustawał w translokacji najgorliwszych księży, w obsadzaniu najbogatszych i najwpływowszych probostw Niemcami. Na szpiegów, denuncyujących każde słowo z kazalnicy, podpytujących o sekreta spowiedzi, wytresowano-nauczycieli. Niestety byli to po części i polacy zniemczeni, odgrywający smutną rolę w procesach politycznych.

Z kolei przerzedziwszy szeregi duchowieństwa polskiego, krępując je kagańcem szpiegostwa i kar, kuszając je tłustemi prebendami, hakata rządowa, podciawszy już egzystencją lekarzy i adwokatów polaków przez niedopuszczanie pierwszych do posad państwowych, drugich do, urzędowego także, notaryatu,—notaryusz Wyczyński z Brodnicy ukarany został dyscyplinarnie za akt sporządzony w sprawie polskiej i w następstwie wołał wziąć dymisyę, niż mieć sobie dalej systematycznie uniemożli-

wioną praktykę,—a godząc już w drobne kupiectwo po małych miejscach systemem izolowania miast kręgiem majątków kolonizacyi, zaludnionych przez Niemców, którzy potrzeby swoje zaopatrują w sklepach, prowadzonych przez kolonizacyą samą, godząc więc w rdzenie polskie i patryjotyczne drobne kupiectwo, co później miało wywołać taki fakt jak zadenuncjowanie w jednym z miasteczek przez cech polski *in corpore* jednego z swych członków jako niebezpiecznego Polaka, uniemożliwwszy parcelacyą, nie pozwalając w ten sposób na dalsze pomnożenie drobnej własności włościańskiej, i tak więc systematycznie zagroziwszy w swym bycie narodowym każdą z klas społeczeństwa polskiego, przeszła do wykonania ulubionego swego i przygotowywanego oddawna planu osłabienia lub uzależnienia przynajmniej zupełnie od swego widzimisie większej własności ziemskiej, stanowiącej w jej oczach najsilniejsza tamę przeciwko fali germanizacyjnej. Toż każdy dwór wiejski, niezależnie od większego czy mniejszego uczucia patryjotycznego, nawet pomimo bierności lub wręcz, rzadkich co prawda, wypadków spruszczenia samego właściciela, przez innych człon-

ków rodziny tegoż, administracyę i podwładnych, dawał oparcie polskości, był jej pepiniarą i rozsadnikiem. Możliwość zakupna większego majątku wobec cen wyśrubowanych stawiała się dla komisji kolonizacyjnej coraz cięższą. Radykalnemu środkowi przeciwko temu było na imię—wywłaszczenie. Wprowadzone w wykonanie, czy nie, musiało groźbą niepewności losu, zawieszoną nad głową posiedziciela a podzielaną przez każdego, z którym wchodził w interesa, obniżyć kredyt, bez którego w kosztownych warunkach ekstenzywnego gospodarstwa rzadko który, chyba szczęśliwiec, rozporządzający znaczną gotówką, może się obywać,—próbowano już osiągnąć podobny efekt tem, że bank rzeszy wymówił stosunki finansowe wszystkim swoim klientom polakom, ale w bankach polskich znalazło się dosyć gotówki,—zredukować tem samem o znaczny procent cenę ziemi, mogło każdej chwili posłużyć do usunięcia niemiłych czy niedogodnych jednostek, a w każdym razie zawieszone, jak topór nad ziemiaństwem, odstraszyć je zupełnie od brania udziału w pracy społeczno-polskiej.

Podczas narad, które w ostatniej chwili, gdy prawo już zostało wniesione do izb pra-

wodawczych, zgromadziły kilkakrotnie obywatelstwo polskie w Poznaniu a które oczywiście nie mogły już wydać żadnego praktycznego rezultatu, spotkał Słuszewski Jadzię. Nie widział jej od bardzo długiego czasu, od chwili, gdy sam wziął rozbrat z polskością.

Nie mógł wątpić, że jej tam na niego, jak to sam określał, nagałano, boć te polki, których się bał sam Bismarck, zadokumentowawszy to zakazem, żeby się broń Boże żaden urzędnik niemiecki nie odważył ożenić z polką, a motywując ten ukaz wyraźnie tem, że polki swych mężów i dzieci polonizują,—pilnowały nie tylko garnków, ale miewały też swoje zapalczywe zdania o kwestyach polskości, i chłód, który mu okazywała jego rodzona siostra Marynia, był mu dowodem tego mieszania się niewiast do nieswoich rzeczy; ale z drugiej strony też, od czasu swego rozsądnego postępu, czuł, że cieszył się jako człowiek, który dał dowód swego rozumu, tak wyraźnym szacunkiem u mężów, którzy w jego oczach i oczach wielu reprezentowali opinią zdrowego i praktycznego rozsądku, że niedalekim był od ułudy, iż mu się da przekonać o swej wyższości umysłowej i loiczności swego postępo-

wania i tych, którzy do zrozumienia jego nie dorośli, tem łatwiej kobietę, która przecież kochała go.

Co prawda Styczyńska zekpała go na środku Wilhelmowskiego placu. „Jak się pan mógł tak zblamować?”

Ale gdy wspominał jej o więzieniu,—nie tam jakimś głupim tygodniu, którym się ona chlubiła, bo teraz sypano po dwa lata i więcej,—i utracie prawa praktyki lekarskiej, widział, że to zrobiło na niej pewne wrażenie, chociaż upierała się przy swoim.

Z Jadzią jednak nie doszedł do rozmówienia się. Ujrzawszy go zdaleka, zrobiła się bledziutka, jak chusta, zacisnęła wargi i minęła go, patrząc w inną stronę. No niech tam,—kiedy tak, to miał tej dumnej hrabianki dosyć!—Towarzyszący jej szwagier obejrzał go, jakby pierwszy raz w nim odkrył coś nowego, ciekawym wzrokiem i kiwnął doktorowi z protekcyjnalno-ironicznym uśmiechem, w którym mogło być wszystko, i zdziwienie nad odkryciem w nieznanym sobie z tej strony niepozornym człowieku jakichś ukrytych przymiotów, czy wad, i pogarda i szacunek w niezdecydowanej kombinacyi.

Stary Żarkowski, wyraźniej przyłożył tylko dwa palce do kapelusza, jak się, z grzecznością niegrzeczności, oddaje ukłon komuś, kim się ma słuszne prawo pogardzać.

Ale, prawdę powiedziawszy, najczęściej zirytowała go kiedyś pani Marjetta, z którą się zetknął na wencie dobroczynnej w podmiejskim ogrodzie w Urbanowie. Asystował jej teraz nieodstępny Henio Włastowski, z którym się bawiła jak kot z myszką, traktując go z wyraźnem lekceważeniem. Jednakże poufałość, jaką przy niezgrabstwie Henia można było dostrzedz w jego zachowaniu się względem niej, potwierdzała, że dała mu prawa, idące bardzo daleko.

„Quelle nouvelle! to pan się zapisał do awangardy kolonizacyi?”

Był oburzony,—ta ścierka, ladacznica, śmiała w ten sposób odzywać się do niego, poważnego człowieka.

Afera Dobrowa Grabowskich, która jeszcze krótko przed zapadnięciem uchwał wywłaszczających, poruszyła Księstwem, miała dowieść ostatecznie, że w tej ścierce tkwiła polka. Mąż jej, wyrwawszy się z zakładu, gdzie odbywał swoje delirium tremens, narobił w Wrocławiu,

dostawszy się w odpowiednie męskie i żeńskie towarzystwo, długów wekslowych przechodzących sumę półmilionu. Trzeba było płacić zaraz,—natychmiastowa sprzedaż Dobrowa okazała się konieczną. Komisya kolonizacyjna chętnie stanęła, jako gotowy kupiec, płacący od razu wszystko na stół. Nawet było to „bardzo porządnie“ urządzone. Jako nabywca stawał wysłany przez rodzinę do Afryki marnotrawny syn jednej z rodzin obywatelskich Poznańskiego, który wracał, jakoby zaręczony z bardzo bogatą angiolką. Za nim dopiero stał inny osobnik, z polakami polak, z niemcami niemiec,—za tym Bank Bydgoski, filja kolonizacyjnego Ostbanku, tak że Grabowskim znacznie ułatwiono zachowanie pozorów. Zdemaskował ten zamach Zaklika, upiwszy się podobno na śmierć z Regirungsratem Langnerem, który po pijanemu z wszystkiego się wygadał. Sam Zaklika skarżył się, że w życiu swoim tyle piwa naraz nie wypił, co wtedy, i że to jest jednakże także swojego rodzaju poświęceniem. Polecał co prędzej do Dobrowa, zabrawszy z sobą wielkiego spekulanta na ziemi, Bagnierowskiego, z banku parcelacyjnego Czypik i Bagnierowski, jedyne kupca z polskiej stro-

ny, jaki, mogący w przybliżeniu ofiarować cenę, podobną, do tej, którą dawała kolonizacya, się dał znaleźć. Pani Marjetta poświęciła sto tysięcy marek i Dobrowo zostało uratowanem—na razie.

Kolonizacya, widząc się w ostatniej chwili zawiedzioną w swych nadziejach, zapalała wściekłością. Czy było to za radą spowinowaczonego z Grabowskimi, a oddanego równocześnie na usługi rządowej hakaty Starzeckiego, czy był on tylko narzędziem wykonawczem tamtej wyższej woli, faktem zostało, że zagrożono pani Marjecie Grabowskiej za jego pośrednictwem uniesamowolnieniem sądowem i ogłoszeniem jej za waryatkę na podstawie jej niezaprzeczonych oryginalności prowadzenia, wybryków erotycznych—Starzecki dostarczył znanych sobie szczegółów dowodowych,—a nawet dodając, jako motyw, jej niczem jakoby nieuzasadnione rozrzutnicze zrzeczenie się tak poważnej sumy. Za tem kontrakt sprzedaży miał być unieważniony,—potem niktby nie stanął oprócz kolonizacyi. Nie doszło jednak do kroków sądowych. Bliskie uchwały wywłaszczenie dawało komisji kolonizacyjnej łatwiejszą i szybszą do zastosowania broń w rękę, a rów-

noczesna reorganizacji tej, zdaniem nawet najgorliwszych hakatystów, zbyt kosztownie działającej maszyny powstrzymała tymczasem jej działalność. Zresztą, jako natychmiastowy skutek nieszczęsnego prawa okazała się zwiększona dobrowolna podaż polskich majątków po cenach niższych.

Napróżno Koło Polskie z czcigodnym księciem Ferdynandem Radziwiłłem, czczonym przez swoich jakichkolwiek odcieni a szanowanym i przez wrogów, na czele walczyło do ostatka.

Uchwała ta na razie wywołała popłoch, miejscami wprost wstrętny. Jak nie chciano wierzyć do ostatniej chwili, że prawo to przejdzie, szydząc i ogłaszając za głupców tych, którzy przestrzegali zawczasu, tak pod obuchem odrazu polskie barany pochyliły szyje, łaszcząc się do obroży. Obywatelstwo ziemskie powystępowało w znacznej części z organizacyi politycznych, gorliwsi na dzień imienin cesarskich podążyli na uroczysty obiad do landrata, krzycząc „hoch“ zalekłą pierśią.

Wszystko to dla nienarażania się.

Głupi,—jeżeli będą chcieli, to was pierwszych wywłaszczą!

Inni przywdziewali pośpiesznie szaty walenrodzizmu,—dla naiwnych dzieci.

Równocześnie spadł zakaz używania mowy polskiej na wiecach w okręgach, mających mniej niż 60% ludności, „obcojęzycznej“. Do tych okręgów należy i Poznań.

Słowu polskiemu drukowanemu przypadła teraz przeważna rola przenikania do domów i dusz polskich.

Tych którzy oburzali się już głośno na wszelkie „niepotrzebne drażnienie Niemców“ to jest na każdą akcją skierowaną przeciwko nim, spotkała ta satysfakcja, że Zaklika, widząc sobie praktykę uniemożliwioną ciągłymi mściwymi szykanami i denuncjacjami,—przekupiwszy sekretarza, przetrząsano mu u niego w jego nieobecności akta, chociaż bez skutku,—adwokaturę swoją zwinął i wyjechał za kordon.

„Aha,—krzyżyk na drogę“,—zaśpiewał mu requiem w Kasynie z zadowoleniem osiągniętego rezultatu Starzecki.

— Nie bawiono się już pod tę porę w Poznaniu w obec ogólnego przygnębienia, jednakże doktor Słuszewski został któregoś dnia zaproszonym przez papę Styczyńskiego na skromną herbatkę, na której miało być tylko

kilkanaście osób. Zaproszenie to oznaczało definitywnie uznanie z strony bogatego winiarza dla młodzieńca, który się w krótkim stosunkowo czasie tak wyrobił na człowieka. Potwierdził mu to najwyraźniej przy kieliszku węgierskiego, do którego mężczyźni zasiedli po kolacyi.

„Przed trzema laty, kiedy pana poznałem, panie doktorze, przyznam się, że jakoś nie miałem do pana jeszcze przekonania“.

„Prawda, że to dopiero czwarty rok mija, jak się kolega tutaj osiedził“, przypominał obecny doktor Bronowicz „tak,—toć to jak twierdzi fizyologia, w niewiele dłuższym przeciągu czasu się nasza materya cielesna tak przemienia, że każda tkanka w człowieku się z gruntu odnawia“.

Słuszewski nie był zupełnie pewnym, czy to czasem nie miała być ironja, ale zresztą traktowano go w tem towarzystwie samych porządnych, bo miennych lub posiadających jakieś stanowisko ludzi, jak doktor Samkiewicz, przecie członek rady administracyjnej Gazety, którego zięciowi i pupilowi udała się tak ślicznie sprzedaż majątków, iż znalazły się w rękach kolonizacyi, jak radca sprawiedli-

wości Miler i inni,—tak na stopie równouprawnienia, jako przynależącego już do grona tych, którzy traktują życie poważnie, wykreśliwszy z niego wszelki czułościowy idealizm, że opanowało go błogie uczucie tego spokojnego szczęścia, którego się zażywa, zawdzięczając je własnemu mądrym postępowaniu. Droga po której kroczył, przedstawiała się dalej niestroma, wiodąca do uznania pieniędzy, szacunku ogólnego. Z tem uczuciem spoglądał w koło siebie, oddychając z miarowym spokojem z szerokiego na krótkich nogach tułowi. Nawet brzuszki mu już rósł.

Jedyną czarną plamką na tym ogólnym horyzoncie szczęśliwości doczesnej, obecnej i przyszłej, było, że Paulina boczyła się jeszcze.

Ale miał wszelką nadzieję że da się obejść.

A jak nie ta, to inna. Któryż ojciec nie powierzyłby mu losów swojej córki? Dzieci ich może jeszcze będą tak zwanymi polakami,—może już nie. Lata dziś w życiu jednostek i narodów liczą podziesiątne.

A zaledwie drugie lustrum XX-go wieku przeminęło.

Chyba, że—Deus mirabilis, fortuna variabilis.

Historya życia nauczycielką.

Jak ongi za Szweda Wielkopoleanie pierwsi poddali się dobrowolnie, tak też i szybko się ocknęli, prawda, że im palce do kurków od muszkietów wkręcać poczęto. Czyż już nie tak źle dziś jest?

Połowa ziemi w ręku niemieckiem, sprzedana—dobrowolnie.

Na trzydziestkę posłów ledwo tuzin polaków; gnieźnieńskie wysyła posła Niemca. W Poznaniu nie może się odbyć wiec polski, z braku 60⁰/₀ polskich wyborców.

Ktokolwiek z innych dzielnic zwiedza dziś Księstwo, wraca stale z tem samem uczuciem: Bronią się, ale Niemceją.

Gdy zabrzmi pytanie: Co tam u was?—słyszać zwykle odpowiedź:

Lepiej niż dawniej, —bogacimy się ekonomicznie.

Lepiej?—Logika cyfr jest nieubłagana.

Bogacie się —kosztem ziemi straconej, mowy skażonej i—ducha polskiego.

A Niemcy nie bogacą się równolegle, przeganiając was?

Nieustającym złotym deszczem roszące wielkopolskie niwy złoto kolonizacyi, które przylgnęło do palców zbyt wielu, z jednej, postrach z drugiej strony nie mogą nie działać demoralizująco.

Tym, którzy w złocie kolonizacyi splugawili ręce, któż dłoń cofa? Zasiadają na urządach honorowych.

Obojętnych, klnących jeszcze po polsku, a myślących po niemiecku, dochodzących coraz więcej do tego amalgamatu, który określeniem dzienników niemieckich różni się tylko jeszcze od niemieckich współobywateli swoją gwarą i niektórymi narodowymi potrawami,—coraz więcej.

Pobłażliwość na występki przeciwko ojczyźnie jest zaraźliwą.

Zaprzkańcom pogarda w twarz,—miłości ojczyzny cześć!

Na mimowolne przenikanie kulturą niemiecką może tylko dać przeciwwagę ścisłą łączność idejowa z bratnimi zaborami.

Tej idejowej i kulturalnej łączności nie ma.

Wszelkie denegacye i pompatyczne zapewnienia parafialnej zarozumiałości nie zmieniają tego faktu.

Bo tak jest.

Pada już nieraz, gdy obliczamy nasz stan posiadania narodowego, słowo, na które oburzano się jeszcze kilka lat temu: Poznańskie stracone.

Stracone?—Nie!

Ten, który żył wśród was i cierpiał z wami i nie niechętną krytyką, tylko prawdą, gorzko może, zaświecić wam chciał w oczy, temu wyrokowi nie przywtórzy.

Toż serc polskich wśród was jeszcze nie brak.

Tylko ocknijcie się, wielkopolscy Drzymalici, czyż już potrzeba, żeby nie tylko z chat i nór ziemnych, ale i wozów cygańskich was wyrzucano, żebyście pojęli, że wam w następstwie grozi groźniejsze wyzucie z skarbów ducha polskiego?

Ziemię mogą wam zabrać, mowa może się skazać,—toż i wasz Dąbrowski z młodu z niemiecka zatrać, —lecz myśl jego, ogarniająca całą Polskę, nie jedną jej prowincję, niech dźwięczy w sercach waszych starą nutą!

Pisałem w roku 1910/11-ym.

24

